

Materiały edukacyjne Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie

# POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ



Fundacja Polsko-Niemieckie  
**POJEDNANIE**  
Stiftung Polnisch-Deutsche  
**AUSSÖHNUNG**

Wstęp i wprowadzenia do rozdziałów: Agnieszka Dzierżanowska

Cytowane fragmenty wspomnień pochodzą z:

-Z kart historii polskich janczarów XX wieku, Zrzeszenie Dzieci Polskich Germanizowanych przez Reżim Hitlerowski, Łódź 2000

ze zbiorów

Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie”

Wybór relacji:

Rafał Degiel,

Agnieszka Dzierżanowska

Redakcja i korekta:

Magda Cieszkowska,

Rafał Degiel,

Agnieszka Dzierżanowska

Projekt współfinansowany ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach programu: Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r.



---

Rzeczpospolita Polska  
Ministerstwo  
Spraw Zagranicznych

Fundacja „Polsko-Niemieckie Pojednanie”  
Warszawa 2014

Fundacja „Polsko-Niemieckie Pojednanie”  
00-921 Warszawa, ul. Krucza 36  
tel. 22 695 99 41, fax: 22 629 52 78  
e-mail: [informacja@fnpn.pl](mailto:informacja@fnpn.pl), [www.fnpn.pl](http://www.fnpn.pl)

Druk: Drukarnia Murugumbel

ISBN: 987-83-63736-03-3

Fundacja „Polsko-Niemieckie Pojednanie”

**POD  
OKUPACJĄ  
NIEMIECKĄ**

Warszawa 2014

---



---

# Spis treści

- 7 Wstęp**
- 9 1. Obozy koncentracyjne**  
 12 Jan Ryszard Sempka, *Byłem tylko numerem 95959*
- 24 2. Getta. Zagłada Żydów i Romów**  
 26 Piotr Wyrzykowski, *Wspomnienia dziadka bez schematu*  
 32 Stanisław Zalewski, *Wydarzenia i znaki czasu z lat 1939-1945*  
 34 Stanisław Solarewicz, *Pomóżcie nam zachować pamięć*  
 [Lwów, Obóz pracy na ul. Janowskiej]
- 37 3. Obozy karne i więzienia**  
 39 Janina Muszyńska, *Wspomnienia z pobytu na Gestapo*  
*i w więzieniu białostockim w 1943 roku*  
 45 Antoni Górski, *Niewolnicza praca w Niemczech*
- 50 4. Roboty przymusowe**  
 53 Irena Chrzanowska, *Wspomnienia z Prus Wschodnich*  
 61 Jan Sroka, *Relacja z pracy przymusowej na rzecz Trzeciej Rzeszy*
- 68 5. Niewola jeniecka**  
 71 Czesław Stokowski, *Z niewoli do domu. Wspomnienia żołnierza*  
 77 Henryk Łagodzki, *W niewoli*
- 84 6. Wysiedlenia**  
 87 Zenon Mikołajczyk, *Moje chłopięce przeżycia podczas niemieckiej*  
*akcji wysiedleń Polaków z terenów przyłączonych do Rzeszy*  
 90 Kazimierz Bączkiewicz, *Losy wysiedlonych*  
 92 Wiesław Szczepański, *Przeżycia 10-letniego chłopca z wysiedlenia*  
*podczas okupacji hitlerowskiej*  
 96 Benon Bakalarski, *Nędza młodości to nie jest bajka*  
 98 Franciszka Twardowska, *Wspomnienia*
- 102 7. Germanizacja dzieci polskich**  
 103 Barbara Paciorkiewicz, *Kim jestem?*  
 106 Henryk Wojciechowski, *Zamknięty krąg. Będiesz Wochingerem*  
 110 Wiesław Kuligowski, *Wspomnienia z lat germanizacji 1942-45*
- 116 8. Okupacyjna codzienność**  
 117 Henryk Jakubowski, *Walka o przetrwanie. Wspomnienia z lat 1939 – 1945*  
 120 Juliusz Rybarski, *Okupacyjna młodość*  
 122 Irena Rowińska, *Młodzi od Kolumbów*
- 126 Bibliografia**
-



---

# Wstęp

Polska i Niemcy od 26 stycznia 1934 roku – to jest od chwili podpisania deklaracji polsko-niemieckiej o niestosowaniu przemocy – zobowiązane były do wzajemnej nieagresji i pokojowego rozwiązywania sporów. Pod koniec lat 30. wzajemne stosunki stawały się coraz bardziej napięte. Bezkrwawy Anschluss Austrii, aneksja Sudetów, a następnie zajęcie Czechosłowacji, zachęciły Hitlera do wysuwania wobec Polski żądań terytorialnych dotyczących oddania tzw. korytarza pomorskiego i włączenia Wolnego Miasta Gdańsk do Trzeciej Rzeszy. Władze polskie konsekwentnie odrzucały te żądania. Polsce gwarancji niepodległości udzieliły Francja i Wielka Brytania. Niemcy znalazły sojusznika w Związku Radzieckim – 23 sierpnia 1939 roku w Moskwie podpisano pakt o nieagresji zwany paktem Ribbentrop–Mołotow. Był on faktycznie sojuszem skierowanym przeciwko Polsce, państwu nadbałtyckim i Rumunii. Zgodnie z tajnym protokołem granica między Niemcami a Rosją miała przebiegać wzdłuż linii Narew-Wiśła-San.

Niemcy zabezpieczyli więc swoje granice i bez przeszkód mogli 1 września 1939 roku uderzyć na Polskę, tym samym rozpoczynając II wojnę światową. 3 września Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom, nie podjęły jednak żadnych działań zbrojnych, pozostawiając Polskę swojemu losowi. Sytuację pogorszyło wkroczenie 17 września 1939 roku wojsk Armii Czerwonej na tereny wschodnie II RP. Opór był sprawą beznadziejną. 28 września skapitulowała Warszawa, a w początkach października rozegrały się ostatnie bitwy, które ostatecznie zakończyły działania kampanii wrześniowej.

Po upadku II RP po stronie niemieckiej znalazło się 48,6 % jej obszaru zamieszkałego przez 20,4 miliona ludności, po stronie radzieckiej 50% terytorium i około 14,3 miliona ludności. 1,4 % terytorium Polski z 0,5 milionem obywateli zajęła Litwa. Po 1940 roku tereny te włączono do ZSRR.

W październiku obaj okupanci przystąpili do organizacji administracji na zajętych przez siebie terenach. Władze hitlerowskie na mocy dekretu z dnia 8 października 1939 roku włączyły do Trzeciej Rzeszy w całości województwa: poznańskie, pomorskie, śląskie, część łódzkiego z Łodzią i warszawskiego oraz kilka powiatów kieleckiego i krakowskiego. Pod koniec października z terenów tych utworzono dwa nowe okręgi Rzeszy: Gdańsk-Prusy Zachodnie i Kraj Warty. Resztę ziem wcielonych włączono do prowincji śląskiej, bądź Prus Wschodnich. Z pozostałych terenów położonych na zachód od Bugu, utworzono 12 października Generalne Gubernatorstwo (GG) – namiastkę państwa polskiego – ze stolicą w Krakowie. Na jego czele stanął Generalny Gubernator Hans Frank.

Podział ziem polskich wiązał się z planami niemieckimi oddzielnego ich traktowania. Tereny wcielone do Rzeszy miały być w ciągu kilku najbliższych lat całkowicie zgermanizowane, a ludność polska usunięta w całości. Jej miejsce powinni zająć koloniści niemieccy. GG miało stanowić obszar zamieszkały głównie przez Polaków, którzy powinni stać się niewykwalifikowaną siłą roboczą służącą „rasie panów”. Plany te zaczęto realizować natychmiast po wkroczeniu do Polski.

Jeszcze we wrześniu 1939 roku przystąpiono do wysiedlania ludności z terenów, które później włączono do Trzeciej Rzeszy. Dla wysiedlanych stworzono szereg obozów przejściowych i przesiedleńczych. W pierwszej kolejności wysiedlano właścicieli ziemskich, inteligencję, kupców, rzemieślników, rolników posiadających własne gospodarstwa. Musieli oni pozostawić cały swój majątek, który przechodził na własność Rzeszy. Los wysiedlonych rodzin był niezwykle ciężki, władze okupacyjne nierzadko ograniczały się do wywiezienia ich i porzucenia na pierwszej stacji kolejowej w GG. Ludzie ci, ograbieni z dorobku całego życia, pozostawali bez dachu nad głową i środków do życia.

W 1941 roku, po ataku na ZSRR, zmieniły się plany Hitlera wobec GG. Zdecydował on, że w ciągu 15-20 lat również te tereny mają być wolne od ludności polskiej, którą należy wymordować albo przesiedlić na Syberię.

Już od pierwszych dni wojny rozpoczęto bezwzględny walkę z inteligencją polską, która nie była Niemcom potrzebna, a jako „element wykształcony i myślący” stanowiła ogromne zagrożenie dla nowej władzy. W oparciu o z góry przygotowane przez Niemców listy, dokonywano aresztowań lub

---

natychmiastowych egzekucji. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, trafiali do obozów koncentracyjnych. Niemcy nie zachowywali nawet pozorów legalności swoich działań. Egzekucje, transporty do obozów koncentracyjnych nie były poprzedzane procedurą śledczą. Przed niemieckimi sądami doraźnymi oskarżony Polak nie miał żadnych szans obrony, a lista przewinień zagrożonych karą śmierci była niezwykle rozbudowana.

Niemcy zorganizowali na ziemiach polskich sieć obozów koncentracyjnych, obozów pracy – w tym karnych i więzień. Polaków wysyłano także do setek obozów położonych na terenach Trzeciej Rzeszy. Starano się osiągnąć jak największe korzyści z ich darmowej pracy, przy jak najmniejszych nakładach. Deficyt siły roboczej, związany z ogromnymi kosztami prowadzenia wojny totalnej, prowadził do zaostrzenia terroru. Wobec fiaska dobrowolnego naboru na roboty do Niemiec, powszechne stały się organizowane na szeroką skalę łapanki. Na wsie nakładano przymusowe kontyngenty robotników – liczbę osób, które należało skierować do pracy w Rzeszy. Polacy nie mieli żadnych praw pracowniczych, zarabiali mniej niż Niemcy, nie mogli zmieniać pracodawcy, nie mieli prawa do urlopu, swobodnego poruszania się itp. Kobiety pracowały na równi z mężczyznami. Dodatkowo polscy robotnicy przymusowi musieli nosić na prawej piersi przyszyty znak z literą „P” tzw. „petkę”. Wszelkie wykroczenia przeciwko prawu pracy karane były umieszczeniem w wychowawczych obozach pracy, a w przypadku recydywy – w obozach koncentracyjnych. Za sabotaż groziła kara śmierci. Do pracy zmuszani byli również Polacy, którzy pozostali w miejscu swojego zamieszkania. Zatrudniano ich do prac rolnych, w przemyśle, do budowy dróg. Szczególnie uciążliwe była praca na tzw. „okopach”, to jest przy budowie umocnień obronnych i pracach fortyfikacyjnych. Powszechne stawało się też zatrudnianie dzieci.

Władze hitlerowskie pragnęły zniszczyć polskie życie społeczne i kulturalne. Pozamykano polskie szkoły i wyższe uczelnie, zlikwidowano polską prasę, zbiory muzealne spalono albo zrabowano, wywożąc je do Niemiec. Tępieno język polski w życiu publicznym, w urzędach, kościołach, w nazwach ulic i miejscowości. Trochę lepiej przedstawiała się sytuacja w GG, gdzie utrzymano polski język i mogły działać w ograniczonym zakresie i tylko pod nadzorem niemieckim niektóre polskie instytucje i organizacje (PCK, PKO). Aby odstraszyć Polaków od podejmowania jakichkolwiek działań przeciwko Niemcom, okupant stworzył największy w Europie aparat terroru. Powszechnie stosowano zbiorową odpowiedzialność – w odwecie za zabicie Niemca dokonywano publicznych egzekucji ulicznych, pacyfikacji wsi bądź masowych aresztowań.

Niemcy stworzyli system obozów pracy przymusowej dla Żydów. Wkrótce całą ludność żydowską przesiedlono do gett. Panowały w nich niewyobrażalnie trudne warunki. Ogromny głód, brak jakiegokolwiek opieki medycznej, nadmierne zagęszczenie prowadziły do niespotykanej dotychczas skali śmiertelności. A był to tylko wstęp do kolejnych działań podejmowanych przeciwko Żydom i Romom. W 1942 roku na ziemiach polskich Niemcy wybudowali obozy natychmiastowej zagłady, w których w ciągu półtora roku wymordowano około 2 milionów Żydów.

Gdy niemieckiej armii zaczęło brakować rekruta, niemieckie władze zaczęły uciekać się do prób podziału polskiego społeczeństwa. Uznały, że część Polaków nadaje się do zniemczenia. W tym celu stworzono specjalną kategorię tzw. volksdeutsche. Szczególną presję wywierano na mieszkańców Śląska i Pomorza, aby ci zapisywali się na niemiecką listę narodowościową. Rozpoczęto też akcję germanizacji dzieci posiadających „cechy aryjskie” – niebieskie oczy, blond włosy. Nie udało się ustalić liczby polskich dzieci, które poddano germanizacji i wywieziono do Rzeszy.

Nie ma chyba w Polsce miejscowości, której mieszkańcy nie byli w trakcie wojny poddani prześladowaniom. Świadczą o tym tysiące grobów, pomników, miejsc pamięci i tablic pamiątkowych. Nie ma rodziny, która nie straciła kogoś bliskiego, nie była poddana wysiedleniu, zmuszona do pracy przymusowej, bądź podlegała innego rodzaju represjom. Wybór relacji naocznych świadków tamtych wydarzeń, proponowany w niniejszym pakiecie edukacyjnym, to materiał źródłowy, który pozwoli lepiej poznać i pełniej zrozumieć tamte czasy.



# Obozy koncentracyjne

Pierwsze obozy koncentracyjne powstały na terenie Niemiec już w marcu 1933 roku. Obozem wzorcowym był Konzentrationslager Dachau, utworzony na podstawie zarządzenia Heinricha Himmlera z 21 marca 1933 roku. Początkowo był obiektem doświadczalnym, przeznaczonym do izolacji politycznych przeciwników reżimu hitlerowskiego, duchownych i Żydów. Tutaj także szkolono personel kierowniczy i funkcyjny SS dla innych niemieckich obozów koncentracyjnych. W latach 1933-1937 w Trzeciej Rzeszy stworzono model obozu koncentracyjnego z określeniem jego wewnętrznej organizacji, uprawnień załogi SS, systemu karania i nagradzania więźniów. Obozy koncentracyjne podlegały Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy, Głównemu Urzędowi Gospodarki i Administracji SS oraz Inspektorowi Obozów Koncentracyjnych. Uwięzienie w obozie następowało zawsze na podstawie decyzji o tzw. Schutzhaft (areszcie ochronnym), wystawionej przez Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

W latach 1936-1939 na terenie Trzeciej Rzeszy powstały następujące obozy koncentracyjne: Sachsenhausen-Oranienburg (1936), Buchenwald (1937), Mauthausen (1938), Flossenbürg (1938), Ravensbrück (1939 – dla kobiet). Szacuje się, że do wybuchu wojny przez obozy niemieckie przeszło 165 – 170 tysięcy więźniów.



Więżniarki obozu koncentracyjnego w kamieniołomach KL Kraków-Plaszów, 1944 r. (IPN)

W początkowym okresie wojny ludność polska wywożona była do obozów koncentracyjnych zlokalizowanych na terenie Niemiec. Jeszcze w 1939 roku Niemcy wywieźli do obozu koncentracyjnego w Dachau grupę księży i zakonników oraz inteligencji.

Gwałtowna rozbudowa obozów wiąże się z napaścią Niemiec na Polskę. Obozy, które do tej pory były miejscem izolowania rodzimej opozycji antyhitlerowskiej, stały się podstawowym instrumentem terroru, eksploatacji siły roboczej i ludobójstwa narodów z ziem okupowanych.

Pierwszym obozem koncentracyjnym założonym przez Niemców po wybuchu wojny poza terytorium tzw. Starej Rzeszy był uruchomiony 2 września 1939 roku obóz w Stutthof (obecnie Sztutowo) na terenie przedwojennego Wolnego Miasta Gdańska.

Pierwszy obóz koncentracyjny na rodzimych terenach Polski powstał na przełomie maja i czerwca 1940 roku w Oświęcimiu – Konzentrationslager Auschwitz. Niemcy motywowali potrzebę jego utworzenia koniecznością dysponowania dodatkowymi miejscami odosobnienia w związku z prowadzoną akcją aresztowań inteligencji zarówno na terenach włączonych do Rzeszy, jak również GG. W sierpniu 1941 roku uruchomiono kolejny obóz na terenie Polski – KL Lublin – Majdanek. W tym czasie tworzone nowe obozy również na terenach Niemiec. Największe z nich to: Neuengamme (czerwiec 1940), Natzweiler-Struthof, (lipiec 1940), Gross-Rosen (sierpień 1940), Bergen-Belsen (październik 1940), Mittelbau-Dora (koniec 1943). Przy lokalizacji obozów brano pod uwagę m.in. dogodnie położenie komunikacyjnie, sąsiedztwo wielkich zakładów produkcyjnych lub kamieniołomów. Od 1942 roku więźniów zaczęto wykorzystywać jako darmową siłę roboczą. Tereny Niemiec i tereny okupowane pokryły się gęstą siecią obozów i ich komand, stanowiących miejsca nadludzkiej eksploatacji więźniów zmuszanych do pracy niewolniczej.

Już transport do obozu a potem przekroczenia bramy odbywały się według z góry określonego schematu i miały dać uwięzionemu przedsmak tego, co go dalej czeka. Każdej czynności nowoprzybyłych towarzyszyło bicie, popychanie, przekleństwa, szczucie psami. Więźniowie stłoczeni na placu obozowym, po wielogodzinnym oczekiwaniu, poddawani byli upokarzającym zabiegom higienicznym. Rozebranych do naga strzyżono, golono, a następnie wydawano im ubrania obozowe – tzw. pasiaki. Gdy tych zabrakło, wydawano stare, zużyte mundury wojskowe albo odzież cywilną. Znakowano ją w widocznym miejscu farbą, wycinano albo naszywano kawałki materiału, by podkreślić obozową przynależność właściciela. Zabierano także obuwie, w zamian przydzielając ciężkie i niedopasowane drewniaki, a w późniejszym okresie także szmaciane buty na drewnianych podeszwach. Wszystkie rzeczy osobiste podlegały konfiskacie. Więźniom przydzielano numery obozowe. Od tej chwili nie używano już imion ani nazwisk – uwięzieni stawali się tylko numerami. Numer zapisany na kawałku materiału wraz z kolorowym trójkątem mieli obowiązek przyszyć do obozowego ubrania. Kolor trójkąta wskazywał na kategorię więźnia: czerwony – więzień polityczny, lila – świadkowie Jehowy, czarny – tzw. aspołeczni i uchylający się od pracy, zielony – więźniowie kryminalni, różowy – homoseksualiści, niebieski – hiszpańscy republikanie. Każdy z więźniów musiał mieć wypisaną pierwszą literę narodowości, a dla Żydów przewidziano żółtą lub dwubarwną gwiazdę Dawida.

W większości obozów więźniowie mieszkali w drewnianych barakach, które były stale przeludnione. W początkowym okresie funkcjonowania obozów spali na rozrzuconej słomie, potem na papierowych siennikach, a następnie na dwu-, trzykondygnacyjnych pryzkach (wielokrotnie po dwóch na każdej). Do przykrycia dostawali tylko jeden cienki koc. Bloki wyposażone były w żelazny piecyk, stół blokowego, kilka stołów i wiadra. Tragiczne warunki sanitarne, brak bieżącej wody, bielizny, prowadziły do szerzenia się plag insektów i rozwoju różnego rodzaju chorób. Eksterminacji więźniów służyły również głodowe racje żywnościowe (wartość kaloryczna dziennych posiłków dla ciężko pracujących wynosiła ok. 1000 kalorii). Więźniowie byli karani za najdrobniejsze przewinienia. Poniżanie, bicie, głód, strach, ciągłe zagrożenie życia, to – obok morderczej pracy – główne doświadczenia pobytu w obozie. Śmierć groziła z każdej strony. Więźniów katowano, rozstrzeliwano, wieszano, topiono, a chorych, słabych i niezdolnych do pracy uśmiercano gazem albo trującym zastrzykiem lub pozostawiano bez opieki, by umierali z głodu i zimna. Więźniów, których Gestapo albo kierownictwo obozu chciało uśmiercić w przyspieszonym trybie, wysyłano do kompanii karnej. Władze niemieckie nie dbały o opiekę zdrowotną, a umierających zastępowano wciąż nowymi. Więźniowie zatrudniani byli masowo do ciężkich prac fizycznych w zakładach przemysłowych bez żadnego wynagrodzenia. W 1941 roku Niemcy wybudowali w kilku obozach koncentracyjnych komory gazowe, w których rozpoczęli masowe uśmiercanie więźniów.



*Więźniarki obozu koncentracyjnego podczas pracy w kopalni żwiru w KL Auschwitz-Birkenau, 1942-1943 r. (IPN)*

Do 1942 roku zasadniczą funkcją obozów koncentracyjnych była eliminacja osób uznanych za politycznych i rasowych wrogów Trzeciej Rzeszy. Maksymalne wykorzystanie siły roboczej więźniów dokonywało się niejako przy okazji. Te priorytety uległy zmianie dopiero, gdy Niemcy zaczęły ponosić kolejne klęski na froncie. Wykorzystanie darmowej pracy więźniów stało się wtedy głównym zadaniem „kacetów”. W tym czasie nieco zelżał obozowy terror. Nastąpił też gwałtowny rozwój systemu podobozów, rozsianych niemal po całym terytorium Niemiec. Zakładano je w pobliżu wielkich zakładów przemysłowych. Większość więźniów kierowano do pracy w fabrykach zbrojeniowych, prac budowlanych albo porządkowych. W końcowym okresie wojny wielu z nich zginęło w trakcie bombardowań tych zakładów przez lotnictwo alianckie. Więźniowie ginęli też masowo podczas tzw. marszów śmierci, które urządzili im Niemcy, ewakuując obozy przed nadchodzącym frontem.

W Auschwitz, Buchenwaldzie, Dachau, Mauthausen, Natzweiler-Struthof, Neuengamme, Ravensbrück, Sachsenhausen prowadzono na więźniach okrutne eksperymenty, nazywane przez Niemców medycznymi. Prowadzono je – nie zwracając uwagi na ilość ofiar – także na dzieciach, które umierały w ogromnych męczarniach w trakcie prowadzonych zabiegów.

Obozy koncentracyjne, przede wszystkim Auschwitz-Birkenau, pełniły od 1942 roku także rolę ośrodków natychmiastowej zagłady dla Żydów, co omawiamy szerzej w następnym rozdziale.

**JAN RYSZARD SEMPKA**

# **Byłem tylko numerem 95959**

*Jan Ryszard Sempka – urodził się 13.05.1928 r. w Warszawie. Przed wojną mieszkał na ulicy Zakroczymskiej 1. Brał udział w Powstaniu Warszawskim – walczył na Starówce. Po upadku powstania podzielił tragiczny los mieszkańców stolicy. Potraktowany przez Niemców jak osoba cywilna trafił do obozu koncentracyjnego w Mauthausen.*

---

[...] 4 września 1944 roku, około godziny 11, pociąg zatrzymał się na stacji w Mauthausen. Wśród ludzi powstała panika – nazwa Mauthausen była znana wielu osobom. Pociąg stał około dwóch godzin i w tym czasie nic się nie działo. Kolejarze mówili, że czekają na wolną trasę i że jedziemy do Linzu. Około godziny 13 pociąg został otoczony przez SS-manów, którzy gwałtownie wyrzucili nas z wagonów, kazali formować się w kolumny i popędzili nas przez miasto w nieznanym nam jeszcze wówczas kierunku. Za miastem ujrzelśmy w pewnej odległości na górze warowny obóz. Widoczne były kamienne mury z wieżyczkami strażniczymi. Zorientowaliśmy się wtedy, że nie prowadzą nas na roboty do winnic, ale droga wiedzie do znanego obozu koncentracyjnego.

Mężczyzn wpędzono na jego teren przez olbrzymią drewnianą bramę, kobiety z dziećmi zatrzymano na zewnątrz, przed murem. SS-mani zapędzili nas na plac znajdujący się między murem a blokami, w których mieściła się łaźnia i jakiś inny blok, chyba gospodarczy. Polecili nam rozebrać się do naga, pozwalając jedynie pozostawić buty i pasek lub szelki. Następnie kazali wszystkim zdać do depozytu kosztowności, pieniądze, dokumenty i inne pamiątki. Na placu tym byliśmy przetrzymani do godzin wieczornych, kiedy to grupami zapędzono nas do łaźni. Tu ostrzyżono wszystkich do gołej skóry, a przez środek głowy wygolono pas szerokości 3-4 centymetrów. Z łaźni wypędzono nas drugim wyjściem, przy którym stali więźniowie. Każdemu wychodzącemu rzucano po jednej sztuce bielizny: koszulę lub kalesony, bardzo zniszczone, z jedną nogawką krótszą, koszule bez rękawów itp. Wśród krzyku i bicia SS-mani pędzili nas centralną ulicą obozu (podzielonego na trzy części) do ostatniej jego części, tzw. lagru trzeciego. Było już ciemno, teren nie był oświetlony. Wpędzono nas do mrocznych parterowych baraków i kazano siadać na podłodze w rozkroku, zaczynając od ściany z lewej strony. Odbywało się to przy bieganiu „funkcyjnych” – blokowego i kapo, którzy poganiali innych więźniów. W ten sposób wciśnięto do bloku tyle osób, ile tylko dało się upchnąć. Więźniowie siedzieli przez całą noc na gołej podłodze, ściśnięci, natomiast z prawej strony baraku, poukładane były aż do sufitu sienniki. W nocy siedzący przede mną więzień wstał i wyszedł z baraku. Następnego dnia rano znaleziono go wiszącego na pasku umocowanym do belki w pomieszczeniu umywalni, miał on również podcięte żyły. Wokół niego było pełno krwi. Słyszałem z opowiadań współwięźniów, że był to właściciel apteki ze Starówki. Prawdopodobnie nie wytrzymał nerwowo i popełnił samobójstwo.

Przed wschodem słońca wypędzono więźniów z pięciu baraków, ponumerowanych od 26 do 30. Było bardzo zimno, temperatura musiała być poniżej zera, ponieważ dookoła wszystko pokryte było szronem. Ludzie ogrzewali się własnymi ciałami, tworząc tak zwane „kominki”, to jest przytulając się jeden do drugiego w grupach po kilka osób. Widok ogolonych więźniów, w pojedynczych częściach podartej bielizny był okropny, nie poznawali siebie nawet najbliżsi znajomi. To pierwsze zetknięcie z obozem koncentracyjnym było przerażające. Od chwili przybycia, a właściwie od skromnego posiłku w Wiedniu, nie otrzymaliśmy nic do jedzenia ani picia. Przez kilka godzin staliśmy na dworze, aż wreszcie przyniesiono na teren tej części obozu kilka stołów i rozpoczęła się rejestracja więźniów, polegająca na spisaniu personaliów i nadaniu każdemu z nas numeru obozowego. Ja otrzymałem numer 95959 i od tego momentu stałem się tylko numerem.

Przydzielono mnie do bloku nr 27. Pogoda w tym dniu i w dniach następnych była piękna, mimo przymrozków w godzinach nocnych i rannych. W południe temperatura dochodziła do 35 stopni ciepła. Przez cały dzień blokowi nie wpuszczali nas do baraków, musieliśmy stać na placu pozbawionym jakichkolwiek drzew. Staraliśmy się skryć w cieniu baraków i muru. Na skutek nadmiernego przegrzania zdarzyło się kilka porażień słonecznych. Jednemu z więźniów część twarzy spuchła do tego stopnia, że nie widać było oka. Towarzyszyło nam ciągłe pragnienie. Przyniesioną z kuchni na śniadanie kawą, blokowy kazał młodocianym więźniom myć podłogę w baraku. Nam natomiast przydzielał jedną porcję dla trzech, czterech osób. Kolejno piliśmy z miski po kilka łyków tego gorzkiego, ciemnego płynu. Już w pierwszych dniach pobytu w obozie na tzw. kwarantannie niektórzy chorowali na biegunkę. Zabrano ich do obozowego szpitala tzw. rewiru.

Okres mojej kwarantanny trwał do 12 września 1944 roku. W tym dniu, w godzinach rannych, wraz z grupą liczącą ponad 400 osób, przewieziono mnie do podobozu w miejscowości Melk. Poprzedniego dnia każdemu z nas wydano bieliznę, tj. koszulę i kalesony, a także spodnie, bluzę i okrągłą czapkę w szaro-niebieskie pasy. Każdy z więźniów otrzymał również dwa paski materiału, na których wydruko-

wany był czerwony trójkąt (oznaka więźnia politycznego). Na paskach tych chemicznym ołówkiem musieliśmy wypisać nadany uprzednio numer obozowy. Jeden z nich musieliśmy przyszyć do bluzy z lewej strony nad piersią, drugi natomiast na lewej nogawce spodni, z boku, powyżej kolana.

[...] Do Melku oddalonego około 90 km od Mauthausen i mniej więcej tyle samo kilometrów od Wiednia, przybyliśmy w godzinach południowych. Obóz mieścił się w dawnych koszarach wojskowych. Na jego terenie znajdowało się kilka murowanych budynków, niektóre dwu i trzypiętrowe, było także kilka baraków. Samo wejście do obozu nie wróżyło nam nic dobrego. Podwójne zasieki z drutu kolczastego pod napięciem elektrycznym, wieże strażnicze z wartownikami uzbrojonymi w broń ręczną i maszynową. Przy bramie stał słup, do którego za ręce i nogi przywiązany był więzień. Była to kara za nieznaną mi jeszcze wtedy „przewinienie”. Przygnębiający był również widok innych więźniów. Niektórzy z nich usiłowali wygarnąć z pustych kotłów po zupie resztki pożywienia. Inni, szukając jedzenia, przetrząsali śmietnik. Oczywiście starali się to czynić w sposób dyskretny, ponieważ groziły za to dotkliwe kary (w najlepszym razie pobicie przez SS-manów bądź też niektórych funkcyjnych).

Całą naszą grupę przybyłą z Mauthausen przydzielono do bloku nr 13, znajdującego się w dużym pomieszczeniu na pierwszym piętrze. Pomieszczenie to podzielone było deskami (z dużymi prześwitami) na cztery części. Każda część stanowiła odrębny blok, to jest blok nr 10, 11, 12 i 13. Ogółem w całym tym pomieszczeniu znajdowało się około 2 tysiące więźniów. Każdy blok miał swoje władze blokowe. Naszym blokowym został więzień – Niemiec oznaczony zielonym trójkątem wskazującym, że jest to więzień kryminalny. Natychmiast zarządził zbiórke, wyznaczył szereg osób do różnych prac związanych z uporządkowaniem i urzędzeniem bloku [...].

Urządzenie bloku polegało przede wszystkim na przyniesieniu i ustawieniu trzy poziomowych prycz przylegających jedna do drugiej, z wąskimi tylko przejściami umożliwiającymi dostanie się do poszczególnych „legowisk”. Na pryczach zбитych z nieheblowanych desek ułożone były worki papierowe wypełnione drewnianymi wiórami. Na każdym „legowisku” znajdowały się dwie stare, powycierane, szare, cuchnące derki.

Tego samego dnia założono kartotekę każdego więźnia oraz podzielono nas na grupy robocze, tzw. komanda. Mnie przydzielono do 50-osobowej grupy noszącej nazwę komando Keller Lutz Wasser. Nazwa komanda pochodziła od nazwy firmy, na rzecz której pracowało się. Następnego dnia około godziny 4 rano zbudził nas głos dzwonu, a po chwili krzyk blokowego i innych funkcyjnych, którzy z okrzykiem „aufstehen” [wstawać] biegali po bloku. Pierwsze napotkane przez nich osoby zostały popędzone do kuchni po śniadanie, które składało się z kubka czarnej, gorzkiej wody tzw. kawy oraz 1/8 części bochenka kilogramowego czarnego chleba. W tym samym czasie więźniowie musieli w pośpiechu ubrać się, przygotować „legowiska” i zbiec na dół do umywalni, a następnie ustawić się w bloku według podziału na komanda. Posiłki wydawano bowiem zgodnie z ilością osób pracujących w konkretnym komandzie. Wszystkim tym czynnościom towarzyszył krzyk, przekleństwa i popędzanie przez blokowych. Spóźnieni byli popychani i bici. Po spożyciu śniadania – wszystko w ogromnym tempie, często na stojąco – więźniowie ustawiali się przed budynkiem w kolumny, po pięciu w każdym rzędzie. Następnie, po wielokrotnym przeliczeniu i sprawdzeniu obecności, przeprowadzano nas na plac apelowy. Tu o godzinie 5 odbywał się ogólny apel obozu. Tu byliśmy powtórnie przeliczani przez blokowego, Blokführera (SS-mana), Rapportführera, a następnie przez komendanta obozu. Po zakończeniu odprawy-apelu udawaliśmy się do pracy: jedni na terenie obozu, inni natomiast pod stałym nadzorem uzbrojonych SS-manów, często z psami, wychodzili poza teren obozu.

Moje komando pracowało w odległości około 5 km od obozu. Pilnowane było przez pięciu SS-manów. Praca polegała na wykuwaniu w skalistej glebie rowów, a następnie umieszczaniu w nich rur o dużej średnicy, którymi to rurami miano przeprowadzać wodę z Dunaju do odległych sztolni kamieniołomów. Codzienną drogę do pracy i z powrotem odbywaliśmy pieszo. Posiłki obiadowe, składające się z rozgotowanej kapusty, brukwi, marchwi, a w późniejszym zimowym okresie z suszonych jarzyn, dostarczano nam samochodem na miejsce pracy. Zdarzały się jednak przypadki, że takiego posiłku nam nie dostarczono, a otrzymywaliśmy go dopiero łącznie z posiłkiem wieczornym na terenie obozu, w bloku, w którym mieszkaliśmy. Każdy z więźniów musiał mieć ze sobą naczynie do spożycia posiłku. Strzegł go jak żrenicy oka, bowiem kto nie miał naczynia, nie otrzymywał posiłku. Jedni mieli blaszane miski, inni ciężkie miski

fajansowe, jeszcze inni stare puszki po konserwach. To samo dotyczyło łyżek wydanych w momencie przyjazdu do obozu w Melku. Różne też były sposoby noszenia tych naczyń, z którymi nikt się nie rozstawał. Najłatwiej było przymocować miskę blaszaną. Przeważnie wybijało się w takiej misce dziurkę z boku i przywiązywało do paska. Z miskami fajansowymi były już większe kłopoty. A poza tym były ciężkie, co przy codziennym 10-kilometrowym marszu odczuwało się dotkliwie. Kolacja składała się przeważnie z jednej łyżki wazowej czarnej, gorzkiej tzw. kawy i 1/8 części bochenka chleba, a czasami także z łyżki twarogu albo kawałeczka margaryny (kilka gramów) lub marmolady. Zdarzało się również, że w dni świąteczne otrzymywaliśmy plasterek kiełbasy. Niejednokrotnie, dla własnej wygody, blokowi wydawali podwójną porcję chleba raz dziennie, rano lub wieczorem, co miało tę ujemną stronę dla więźnia, że przeważnie zjadał całą rację chleba od razu i albo szedł głodny spać, albo też rano szedł do pracy na czczo.

17 września 1944 roku wypadła wolna od pracy niedziela. Więźniowie pracujący poza terenem obozu mieli co drugą niedzielę wolną, z uwagi na konieczność dokonania zmian w systemie pracy (prace w sztolni prowadzone były na trzy zmiany), jak również zabezpieczenie odpoczynku SS-manom pilnującym więźniów oraz majstrom cywilnym. Na apelu porannym i wieczornym był komplet więźniów (z wyjątkiem tych, którzy przebywali na rewirze). Po normalnym przeliczeniu więźniów komendant obozu zwrócił się do nowo przybyłych, ostrzegając ich przed łamaniem dyscypliny i próbą ucieczki, która zawsze kończyła się złapaniem więźnia, a w konsekwencji jego śmiercią. Oznajmił też, że w obozie tym nikt nie ma prawa żyć dłużej niż trzy miesiące i że wyjście z obozu jest tylko jedno – kominem. Kilkudniowy pobyt w obozie, ciągłe stykanie się z wypadkami ciężkich pobić, śmierci, karania biciem, przywiązywaniem do słupa, topieniem w beczce z wodą i innymi formami znęcania się nad więźniami – w zestawieniu z wypowiedzią komendanta obozu – przekonało nas, że faktycznie przeżycie dłuższego okresu w tym obozie nie jest możliwe. Należało za wszelką cenę unikać sytuacji, w których można było zostać pobitym lub zabitym.

„Wolna niedziela” nie była dla więźniów dniem odpoczynku. Wymyślano różne formy udręczeń. Blokowy z mojego bloku miał wyjątkowe „ambicje”, aby więźniowie z jego bloku zachowywali się na apelach jak wojsko na defiladzie. Dlatego też, bez względu na pogodę, całymi godzinami przeprowadzał ćwiczenia szybkiego ustawiania się w kolumny po pięciu lub po dziesięciu więźniów w jednym rzędzie. Więźniowie, którzy nie zdążyli w krótkim czasie stanąć w odpowiednim miejscu kolumny, za karę musieli skakać żabką dookoła kolumny. Ćwiczone zdejmowanie i zakładanie czapki na tempo w ten sposób, aby przy komendzie „mützen ab” (czapki zdjąć) - słychać było jedno głośne uderzenie czapką o udo prawej nogi, a na komendę „mützen auf” (czapki włożyć) – czapki musiały być równo i błyskawicznie założone na głowy. Więźniowie, którzy opóźniali te polecenia, byli karani skakaniem żabką, biciem, sprzątaniem sal, myciem podłóg itp.

Inną formą dręczenia więźniów było tzw. zbiorowe mycie i dezynsekcja odzieży. W nocy, bez wcześniejszego uprzedzenia, robiono alarmy śpiącym na bloku więźniom. Wszyscy musieli rozbierać się do naga, ubranie trzeba było wiązać w kostkę, numerem na zewnątrz. Wyznaczeni więźniowie odnosili je do parówki. Rozebranych więźniów, niezależnie od pogody – w deszczu lub na mrozie, pędzono przy krzykach i biciu do łaźni, oddalonej około 150-200 metrów od bloku, w którym mieszkaliśmy. Tutaj, w zależności od humoru obsługujących łaźnię, puszczano zimną lub bardzo gorącą wodę. Po kilku minutach wypędzano z łaźni jedną grupę i wpędzano na jej miejsce drugą. Więźniowie biegli do bloku, a tam czekał już na nich blokowy z innymi kapomanami i sprawdzał, czy więzień jest czysty. Jeśli uważał, że więzień nie jest dobrze umyty albo jest zachlapany błotem, co przy szybkim biegu po błocie zdarzało się, to pędzono go powtórnie do łaźni, aż wrócił czysty. Tej nocy nikt już nie spał, bo po pewnym czasie przynoszono z parówki najczęściej mokre i już nie ułożone numerami do góry ubrania. W tych warunkach odszukanie swojego ubrania trwało bardzo długo. A na poranny apel każdy musiał wyjść ubrany. Były to dla więźniów koszmarnie noce i szczęśliwi byli ci, którzy pracowali wówczas na nocnej zmianie.

Na komandzie Keller pracowałem w 50-osobowej grupie warszawiaków około sześć tygodni. Na początku koledzy pracujący w sztolni zazdrościli nam, że pracujemy cały czas na powietrzu i tylko na jedną zmianę. Ale kiedy zaczęły się szarugi i śloty, a później mrozy, kiedy cały czas przebywaliśmy w mokrym, cienkim ubraniu, bez jakiegokolwiek możliwości schronienia się przed deszczem lub ogrzaniem, my zazdrościliśmy tym pracującym w sztolni. Był to dla mnie najcięższy okres podczas pobytu w obozie

koncentracyjnym. Pamiętam jak z kolegą Zbyszkim Wąsowiczem, starszym ode mnie o trzy lata i mającym wówczas 19 lat, nieraz z zimna i głodu, pod cieknącą na nas strumieniem wodą z rur zawieszonych na łańcuchach nad rowami, które ręcznie wykuwaliśmy oskardami, po prostu płakaliśmy. Myśleliśmy, że w takich warunkach nie możemy nawet marzyć, aby udało nam się przeżyć te trzy miesiące, o których wspominał komendant obozu.

Pewnego dnia, przechodząc na inne stanowisko pracy, nasza grupa – niosąc różne przyrządy, narzędzia, belki, łańcuchy itp. – szła w sposób nie zwarty, rozciągnięta na dość dużym odcinku drogi. Z daleka dojrzał nas jadący samochodem komendant obozu SS-Hauptsturmführer Julius Ludolf. Dojechał do nas z krzykiem i pobił naszego kapo – węgierskiego Żyda, który w porównaniu z innymi kapo był bardzo przyzwoitym człowiekiem. Komendanta grupy zawieszono w czynnościach, przekazując dowództwo grupy innemu SS-manowi. Po powrocie z pracy do obozu, całą naszą grupę rozwiązano, przydzielając nas do innych komand. Jakoś nie miałem szczęścia, bo przydzielono mnie do jednego z cięższych, tzw. komanda Merkendorf, noszącego nazwę od miejscowości, w której budowaliśmy osiedle baraków dla zbombardowanych Wiedeńczyków. Komando to cieszyło się złą sławą, ze względu na wyjątkowego sadystę Komandoführera i wybranych przez niego pomocników SS-manów. Również dotarcie do miejsca pracy po ciężkich, gliniastych drogach około 4 km w jedną stronę wykończało siły. Praca polegała na wożeniu taczkami żwiru, przenoszeniu ręcznie dużych żelbetonowych elementów, rozładowywaniu cementu, noszeniu w konwiach wody itp. Nie było dnia, żeby Komandoführer nie pobił kilku więźniów do utraty przytomności lub co najmniej do silnego pokrwawienia. Jego ulubionym systemem bicia więźniów było ustawianie ich przy murowanej budce i uderzanie pięścią w twarz w ten sposób, aby odrzucona do tyłu głowa uderzała o mur tej budki. Kończył bicie dopiero wtedy, gdy więzień mocno już krwawił. Każdy powód do bicia był dobry. Mógł to być nierówny marsz w szeregu kolumny idącej do pracy, zbyt wolna jego zdaniem praca, włożony pod przemokniętą bluzę kawałek papieru z torby po cemencie, nie zdjęcie na czas przed SS-manem czapki itp.

Jeden dzień z tego okresu szczególnie utkwił mi w pamięci. Komando nasze, liczące kilkaset osób, aby dostać się do miejscowości Merkendorf, odbywało część trasy pociągiem, w wagonach towarowych. W niedalekiej odległości od stacji kolejowej Melk ustawiona była rampa drewniana, na którą wpędzano więźniów, po czym podjeżdżał pociąg towarowy. Więźniowie, po wejściu do wagonów, musieli stłoczyć się po lewej i prawej stronie wagonu w taki sposób, aby środek był wolny dla eskortujących nas SS-manów. Przewożono nas kilka kilometrów na teren budowy sztolni, gdzie zbudowana była taka sama rampa. Tego dnia, idąc do pracy, poczułem, że mam trudności ze zginaniem nóg. Stwierdziłem, że spowodowane to jest ich opuchnięciem, które z każdą chwilą potęguje się. Po przewiezieniu nas na teren sztolni i wyładowaniu na rampę sformowano kolumnę. W kolumnie chodziliśmy zawsze trzymając się pod rękę w taki sposób, że trzymało się prawą ręką współwięźnia z prawej strony. Kiedy miałem zejść z rampy, miałem duże trudności ze zginaniem nóg, w związku z czym hamowałem część kolumny idącej za mną i powstała między nami przerwa. Idący z boku SS-man nakazał więźniowi idącemu z mojej prawej strony wziąć mnie pod rękę, aby przyspieszyć marsz kolumny. Nakaz ten wywołał u niego odruch niechęci. SS-man uderzył go kolbą karabinu w tył głowy także padł twarzą do przodu. Zrobiło się zamieszanie, mnie wycofano do następnej piątki, natomiast więzień, na którego miejsce przesunięto mnie, wraz z drugim z mojej piątki musiał wziąć nieprzytomnego i donieść na plac, na którym odbywał się apel przed przystąpieniem do pracy. Liczba więźniów zawsze musiała się zgadzać. Na placu położono nieprzytomnego obok naszej kolumny. Po krótkim czasie do naszej grupy doszedł Oberkapo – kryminalista z zielonym trójkątem, przezywany przez nas „Cyganem”, i kopiąc leżącego, nieprzytomnego więźnia, wołał „aufstehen”. Ponieważ więzień nie reagował, położył mu na szyi leżący nieopodal kołek i stojąc na nim butami, udusił swoją ofiarę.

Wyczyny tego kryminalisty były ogólnie znane w obozie. Mało było bowiem dni, w których nie przyniesiono by do obozu zamordowanego przez niego więźnia. Ulubionym sposobem mordowania było topienie więźniów przez zanurzenie głowy w beczce z wodą. Tego dnia po przyjsciu wieczorem z pracy udałem się na rewir, gdzie zawsze wieczorem lekarze-współwięźniowie przyjmowali chorych na badanie. Decyzję pozostawienia chorego więźnia na leczenie w szpitalu musiał jednak zaakceptować lekarz SS-man. Byłem tak spuchnięty aż do pasa, że spodnie musiano mi rozpruć. Podjęto decyzję zatrzymania mnie



w szpitalu. Choroba ta, zwana popularnie w obozie „odemą”, była spowodowana przede wszystkim głodem, a także warunkami zewnętrznymi i ogólnym wycieńczeniem organizmu. Bardzo trudno było dostać się na rewir. Przebywanie na rewirze uważane było przez więźniów za wielkie szczęście, ponieważ człowiek nie musiał iść do wyczerpującej pracy, przebywał pod dachem, miał większe możliwości zdobycia pożywienia z uwagi na to, że wielu chorych, szczególnie tych z bardzo wysoką temperaturą, nie przyjmowało pokarmów, odczuwało tylko bardzo silne pragnienie. Chorzy wymieniali jedzenie na płyn (kawę). Warunki na rewirze były bardzo ciężkie. Jako miejsce do leżenia przygotowane były piętrowe prycze, a na każdym pojedynczym miejscu, w zależności od okresu, leżało trzech, a nawet czterech więźniów. W okresie jesienno-zimowym ilość chorych gwałtownie wzrastała. Śmiertelność również. O ile w miesiącach wczesnojesiennych zmarłych odwożono do spalenia w krematorium w Mauthausen, a na terenie Melku był tylko jeden barak rewirowy, to pod koniec 1944 roku zbudowano już drugi blok rewirowy, a także krematorium, w którym palono zmarłych i pomordowanych.

Więźniowie przebywający na rewirze, którzy mogli jeszcze poruszać się, musieli wykonywać szereg różnych prac zleconych im przez komendanturę rewiru. Między innymi prace porządkowe, przynoszenie żywności z kuchni, dowożenie innego zaopatrzenia, transport zmarłych itp. Pamiętam, jak pewnego dnia wysłano mnie do piwnicy, celem przepchania zatkanego przewodu kanalizacyjnego. Kiedy schodziłem na dół, z przerażeniem stwierdziłem, że w piwnicy tej znajduje się wiele trupów rzuconych na stos bezładnie i aby dostać się do zatkanego rury znajdującej się pod sufitem, muszę wspiąć się po tych trupach na górę. Świadomość konsekwencji niewykonania tego polecenia była silniejsza od strachu. Myśl, że będę musiał chodzić po trupach moich kolegów przerażała mnie dodatkowo. Mimo straszliwych oporów wewnętrznych, polecenie wykonać musiałem. Do dziś pamiętam trzask kruszonych pod moimi nogami kości, pomimo tego, że starałem się wchodzić możliwie ostrożnie i delikatnie. Najgorsze było to, że pod zawieszoną pod sufitem rurą musiałem przejść na drugą stronę schylając się bardzo nisko, prawie czołgając się po nieboszczykach. Przerazające jeszcze było to, że ten stos pod naciskiem moich nóg rozsuwał się. Wydawało mi się, że ręce i nogi tych nieboszczyków unoszą się. Nigdy tego nie zapomnę!

Mój pobyt na rewirze trwał zaledwie kilka dni. Przebywanie we względnie ciepłym pomieszczeniu oraz fakt, że nie chodziłem do pracy, a leżałem na pryczy spowodował, że opuchlizna ustąpiła.

Ponieważ co kilka dni, w godzinach rannych, komendant rewiru lekarz SS-man dokonywał przeglądu więźniów, a ja nie miałem już temperatury, zdecydował, że mam wrócić na swój blok. Jeszcze tego samego dnia wyznaczono mnie do pracy na nocnej zmianie w komandzie Czernichowski Lochschuppen. Była to 15-osobowa grupa więźniów, której zadaniem było rozładowywanie wagonów na terenie budowy sztolni. Był to przeważnie cement, żwir, tłuczeń kamienny i inne materiały budowlane. Praca była bardzo ciężka, cały czas na powietrzu, podczas słońca, zadynek, przymrozków, silnych wiatrów. Należy przy tym pamiętać, że odzież nasza nie była przystosowana do pracy w takich warunkach. Na grzbiecie miałem tylko koszulę i cienką bluzę oraz z takiego samego materiału fartuch w pasy zwany „mantlem”. Moje buty, w których przybyłem do obozu, dawno uległy zniszczeniu, dostałem drewniane trepy, które przywiązywałem drutem do nóg, ażeby nie spadały. O skarpetach nie było mowy. Nogami najczęściej okręcało się jakimiś szmatami, albo papierem z toreb po cemencie. Niektórzy chodzili boso, bo nie mieli trepów.

Szczególnie utkwił mi w pamięci okres Bożego Narodzenia 1944 roku. W Wigilię do pracy w sztolni wyjechała tylko pierwsza zmiana, ponieważ przerwa miała trwać przez okres dwóch dni Świąt Bożego Narodzenia. Tego dnia apel wszystkich pracujących więźniów na terenie sztolni zarządzono około godziny 13. Należy dodać, że apele takie odbywały się zawsze przed rozpoczęciem i po zakończeniu pracy. Każdy kapo spisywał rano numery więźniów pracujących w jego grupie i meldował Komandoführerowi stan ilościowy osób w grupie. Po zakończeniu pracy ponownie zbierał grupę i sprawdzał, czy wszyscy są obecni. Stan musiał się zgadzać. Jeżeli któryś z więźniów zmarł lub został w czasie pracy zamordowany, wówczas kładło się zwłoki obok grupy. Wyznaczony przez Komandoführera SS-man – Rapportführer sumował stany osobowe poszczególnych grup i sprawdzał czy są one zgodne ze stanem przed rozpoczęciem pracy, a tym samym ze stanem osób, które wyprowadzono z terenu obozu. W Wigilię, po zakończeniu pracy, długo i wielokrotnie nas liczono. Nie zgadzał się bowiem stan osobowy jednej z grup. Brakowało więźnia, jak się później okazało Polaka, przywiezionego kilka dni wcześniej z Oświęcimia. Tego dnia padał mokry śnieg z deszczem. Teren sztolni był duży. Było bardzo wiele miejsc, gdzie można było się

ukryć. Wiadomo było wszystkim, że na okres Bożego Narodzenia pilnujący w budkach wartowniczych SS-mani pojedą wraz z nami do obozu, do swoich koszar i teren miejsca pracy nie będzie pilnowany. Prawdopodobnie więzień ten miał nadzieję, że uda mu się w tym czasie, kiedy nie będzie posterunków, uciec z obozu. Zdenerwowanie wśród SS-manów, jak też wszystkich pilnujących nas osób funkcyjnych, było bardzo duże. O ile pamiętam, w obozie naszym dawno nie było próby ucieczki, a wszystkie poprzednie kończyły się złapaniem i zamordowaniem więźnia.

Na placu apelowym trzymano nas do późnych godzin wieczornych bez jedzenia, na mokrym śniegu, w coraz większym błocie. Około godziny 22 przyjechała duża grupa SS-manów, którzy zmienili wartowników na wieżach wartowniczych i wtedy podstawiono pociąg, którym przewieziono nas do miasta Melk. Idąc do obozu ze stacji, cały czas pod górę, widzieliśmy w oknach mieszkańców tego miasta światła na choinkach, słychać było śpiew kolęd. Tego dnia pędzący nas SS-mani zachowywali się wyjątkowo brutalnie. Po przyjeździe do obozu zobaczyliśmy na placu apelowym piękną, dużą, oświetloną choinkę. Na blokach wydano nam po pół chleba na cały okres Bożego Narodzenia, a także każdemu z więźniów przydzielono szczyptę pokrojonych korzeni i liści tytoniowych. Był to świąteczny przydział tytoniu i jedyny, jaki pamiętam dla wszystkich więźniów.

Następnego dnia, w bardzo wczesnych godzinach rannych, zarządzono na placu apelowym zbiórkę dla osób funkcyjnych, to jest blokowych, kapo i policji obozowej. Po wybraniu dużej grupy ludzi, więźniowie ci wraz z dużym oddziałem SS-manów pojechali na teren sztolni szukać więźnia. Dla tych, którzy zostali, dzień rozpoczął się normalnie. Po porannym apelu wróciliśmy do bloku i zaczęto wydawać kawę, która tego dnia wyjątkowo była nieco inna, lekko słodka, prawdopodobnie zmieszana z suszonymi, palonymi burakami cukrowymi. Chleb otrzymaliśmy, jak już wspomniałem, poprzedniego dnia na cały okres świąteczny. Dla mnie dzień ten zaczął się wyjątkowo tragicznie. Podchodząc do kotła z kawą natknąłem się na blokowego, który zwrócił uwagę, że na szyi mam flanelową szmatę. Była to opaska, jaką Niemcy wydali niektórym więźniom pozostającym na bloku, a której nie zwróciłem. Blokowemu nie podobało się, że tą opaską mam owiniętą szyję. Zerwał mi ją z szyi, a następnie kazał mi rozebrać się do naga i oddać wszystkie rzeczy do dezynsekcji. Ponieważ pracowałem przy transporcie cementu, nosząc worki, które niejednokrotnie były popękane, miałem więc ślady cementu na głowie oraz na szyi. Warunki w obozie nie pozwalały nam na utrzymanie czystości, gdyż we wspólnej umywalni i ubikacji nie zawsze była woda nawet zimna, brak było mydła, nie było ręczników do wytarcia, a do tego jeszcze miałem odmrożone ręce z otwartymi ranami na palcach.

Blokowy zawołał jednego z młodych więźniów, pełniącego funkcję Stubendiensta [porządkowego], dał mu szczotkę ryżową i kazał mnie zapędzić do umywalni i tą szczotką wyszorować. Umywalnia ta znajdowała się w małym budynku obok bloku, w odległości około 30 m od wejścia do bloku. W tym dniu rozpoczęły się silne mrozy, które potem już trwały nieprzerwanie do połowy marca. Wszystkie drzewa, druty pokryte były białym szronem. W tej sytuacji miałem jednak trochę szczęścia, ponieważ Stubendienst był Polakiem ze Śląska i starał się pomóc mi w usunięciu śladów cementu, jedynie możliwie lekko pocierając szczotką z wodą, mydła nie dostałem. Tego dnia cały czas chodziłem okryty tylko kocem. Tak przetrwałem aż do następnego dnia, kiedy wydano mi mokre ubranie.

W godzinach popołudniowych (w pierwszy dzień Świąt) powróciła do obozu grupa więźniów funkcyjnych wraz z SS-manami. Przywieziono także pobitego więźnia, którego poprzedniego dnia nie można było znaleźć. Ukrył się on bowiem w jednej z rur kanalizacyjnych. Niestety, uciec nie mógł, ponieważ cały teren strzeżony był silnie, zarówno przez posterunki SS na wieżyczkach wartowniczych, jak też poruszające się patrole. Na wieczornym apelu więźnia tego, okrytego jakimiś kolorowymi szmatami, niosącego tablicę z napisem w języku niemieckim o treści: „uciekłem, zostałem złapany”, przeprowadzono przed frontem wszystkich więźniów, stojących na placu apelowym. Jak mi wiadomo, w stosunku do tego więźnia zastosowano swoistą formę amnestii z okazji Bożego Narodzenia. Nie otrzymał normalnej w takich przypadkach porcji 75 batów i nie przywiązano go na dwie, trzy doby do słupa bez jedzenia i picia. Nie wiem natomiast, nie pamiętam, czy wysłano go do karnej kompanii do Mauthausen.

[...]Ponieważ śmiertelność więźniów – z uwagi na panujące warunki – była bardzo duża, co pewien czas przychodziły do Melku kilkusetosobowe nowe transporty więźniów na miejsce tych, którzy już nie żyli, a których trzeba było zastąpić w pracy. Po Nowym Roku napływ więźniów znacznie się zmniejszył,

z uwagi na przesuwający się do granic Niemiec front. W tej sytuacji więźniowie zmuszani byli do pracy nie tylko na jednej zmianie.

Około połowy lutego 1945 roku, po powrocie z pierwszej zmiany, zostałem powiadomiony przez Schreiberera [pisarza] blokowego, że mam pójść do pracy na nocną zmianę, a więc za kilka godzin. Po otrzymaniu posiłku wieczornego, mając jeszcze przed sobą dwie godziny do apelu przed wyjściem do pracy, wyczerpany już fizycznie do granic wytrzymałości, przemarznięty, narażając się na karę, położyłem się na górnej pryczy w kącie baraku i usnąłem. Obudziły mnie krzyki i zamieszanie w bloku. Usłyszałem swoje nazwisko kilkakrotnie wywoływane, co w warunkach obozowych nie zdarzało się, albowiem posługiwano się wyłącznie numerami więźniów. Nie wiedziałem co się dzieje. Okazało się, że po sprawdzeniu więźniów przed wyjściem na plac apelowy, brakuje w komandzie jednego więźnia. Stwierdzono na podstawie kartotek, że tym więźniem jestem właśnie ja. Zerwałem się szybko z pryczy i pobiegłem w stronę ustawionej kolumny. Zobaczył mnie Schreiber i blokowy. Natychmiast wymierzono mi karę. Kazano mi położyć się na stole, po czym blokowy uderzył mnie gumą 10 razy po plecach. Kiedy schodziłem ze stołu, jeszcze raz uderzył mnie w głowę. Kolumna więźniów z bloku 13 szybko udała się na plac apelowy. Więźniowie z wszystkich bloków już stali. Blokführer SS-man zaczął krzyczeć na naszego blokowego, dlaczego spóźniliśmy się. Na co ten odpowiedział, że jeden z więźniów schował się, bo nie chciał iść do pracy. W wyniku tej informacji komendant obozu polecił policjantowi obozowemu wymierzyć mi 25 bykowców. Ile „razów” dostałem nie wiem, pamiętam tylko, że doliczyłem na głos do czternastu. Liczenie głośne należało do obowiązku skazanego na bicie. Po odliczeniu głośno „czternaście” straciłem przytomność. Tego dnia nie poszedłem już z komandem do pracy, ponieważ koledzy-więźniowie zanieśli mnie na rewir. Po kilku dniach wezwano mnie do pokoju, w którym urzędował lekarz SS-man. Byłem badany przez kilku lekarzy, między innymi przez lekarza w mundurze SS.

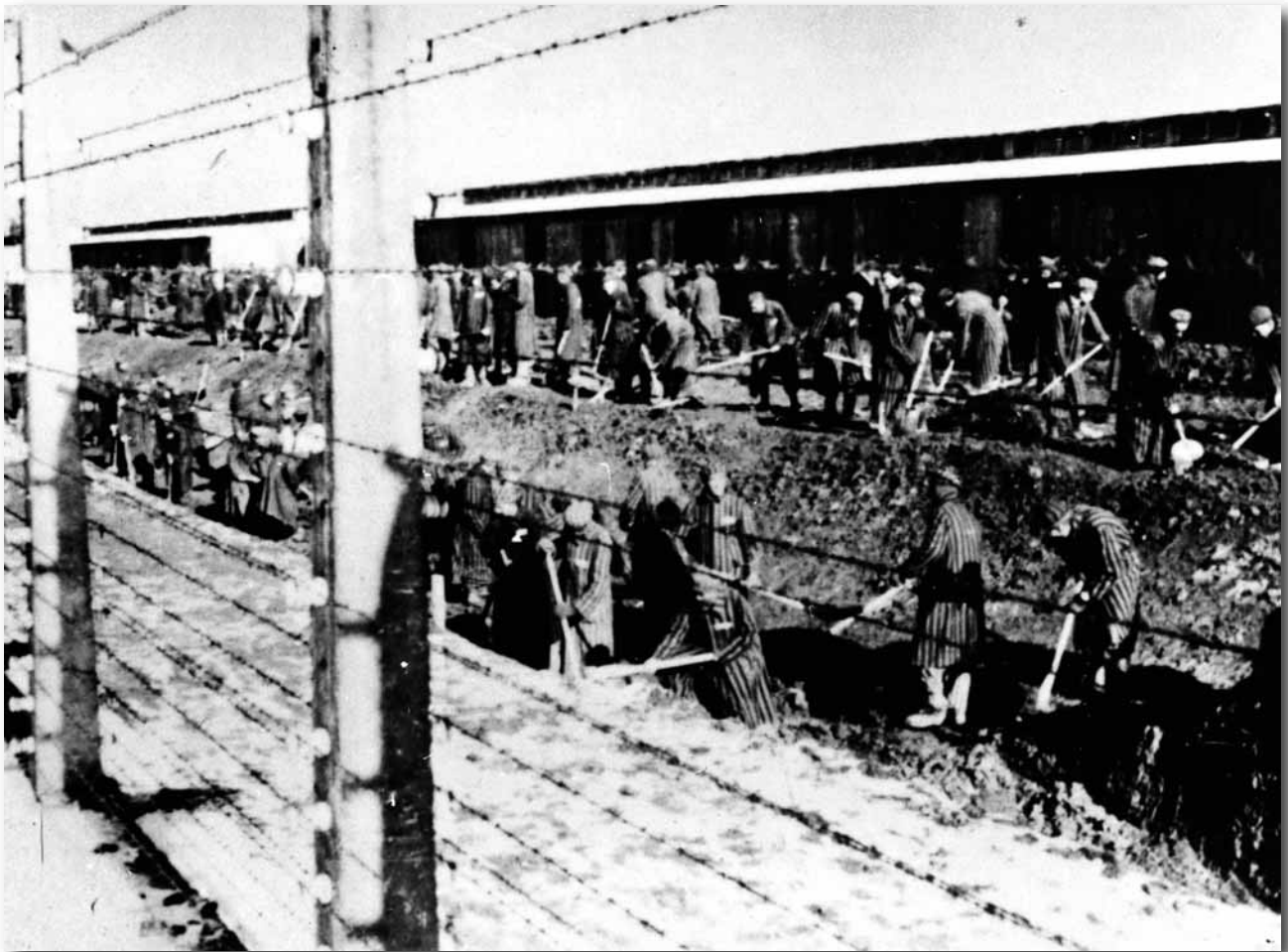
Następnego dnia, lub dwa dni później (dokładnie nie pamiętam), poddano mnie zabiegom. Otrzymałem kilka zastrzyków w nogę, powyżej kolana. W następnych dniach robiono mi okłady z jakiegoś ciemnego płynu, po których to zabiegach dostałem wysokiej temperatury. Noga spuchła mi, przybierając kolor czerwono siny, a następnie zaczęły się tworzyć ropiejące rany na stopie, ponad kostką, pod kolanem oraz pod prawą pachą. Sanitariusz – więzień nazywany przez nas „Dzadzia Jasza” [z ros. wujek Jasza] powiedział mi, że jest to „flegmona”. Według krążących po rewirze pogłosek, lekarze hitlerowsky prowadzili w tym czasie jakieś eksperymenty związane z tą chorobą.

Wszyscy chorzy leżący razem ze mną w jednym pomieszczeniu mieli podobnie jak ja ropiejące rany. Z braku miejsc leżeliśmy po trzech, czterech na jednym pośłaniu. O śnie w ogóle nie mogło być mowy, ponieważ jeden drugiego bez przerwy urażał. Dodatkową plagą była niesamowita ilość wszy. Leżeliśmy nago, bez bielizny, przykryci jedynie jedną derką. Pod opatrunki zawijane taśmami papieru dostawało się robactwo i oprócz bardzo silnego bólu dokuczało także niesamowite swędzenie, śmiertelność chorych więźniów była bardzo duża. Niejeden więzień, leżący razem ze mną na jednym łóżku, zmarł, a na jego miejsce czekali już inni. W takich warunkach przeleżałem, aż do pierwszych dni kwietnia, to jest do ewakuacji obozu.

W nocy poprzedzającej dzień ewakuacji, nikt nie spał. Więźniowie funkcyjni biegali zdenerwowani. Rozeszła się wiadomość, że zdrowi więźniowie będą ewakuowani do Mauthausen pieszo, natomiast wszystkich chorych będą likwidować. Wśród chorych na rewirze powstała panika. Tak dotrwaliśmy do świtu.

Rano na teren obozu przyjechały samochody ciężarowe (podobno były też furmanki) i zaczęto na nie ładować chorych więźniów. Następnie przewieziono nas na stację kolejową w Melku, gdzie stał pociąg towarowy. Więźniowie, którzy mogli się poruszać, sami wchodzili do wagonu. Pozostałych chorych wrzucano do nich jak snopy siana.

W zadrutowanych wagonach wożono nas ponad dwie doby bez odrobiny jedzenia i picia. Często trzymano nas na bocznicach. Trzeciego dnia rano pociąg zatrzymał się na stacji w Mauthausen. Cały czas nie wiedzieliśmy, jaki nam gotują los. Wagony zostały otoczone przez uzbrojonych wartowników (nie tylko SS-manów) i znów wśród krzyku i poganiania wyrzucano chorych więźniów z wagonów na peron. Padał drobny, gęsty deszcz, było bardzo zimno. Z naszego wagonu wyrzucono kilku nieżywych już więźniów. Podobnie z innych wagonów. Ze stacji do obozu chorych więźniów przewożono samochodami



*Więźniowie przy pracy w KL Auschwitz-Birkenau, 1942-1943 r. (IPN)*

ciężarówkami, a także chłopskimi furmankami. Z uwagi na małą ilość środków transportowych, przewożenie to trwało kilka godzin. Pierwsi do obozu pojechali ci, którzy mogli poruszać się sami. Inni chorzy czekali, aż wrzucą ich na samochód lub furmankę. Po kilku godzinach leżenia na peronie, na gołej ziemi, przemarznięty do szpiku kości, zobaczyłem znajomego więźnia, który pomagał ładować chorych na samochód. Zawołałem go ostatkiem wydobytych z siebie sił. Znajomy ten razem z drugim więźniem zaniósł mnie do stojącej ciężarówki. Po przejściu przymusowej „mykwy” [łaźni] jaka obowiązywała zawsze przy przyjęciu więźnia do obozu, rozebranych do naga, popędzono na rewir tych, co mogli jeszcze chodzić, a innych, wśród nich i mnie, wyznaczonych do tego więźniowie zawieźli na rewir czterokołowym wózkiem. Warunki były okropne. W tym czasie na rewirze przebywało kilka tysięcy chorych. Chorzy więźniowie otrzymywali połowę głodowych racji żywnościowych, jakie wydawano więźniom w centralnym obozie. Na pryczach, przeznaczonych dla jednej osoby, leżeliśmy po czterech. Położono mnie na najniższym poziomie. Wraz ze mną leżał młodszy ode mnie chyba o rok, a więc 15-letni, Józio Rosołowski, którego starszy brat zginął w obozie.

Jak się dowiedziałem już po wyzwoleniu, do likwidacji więźniów w Melku nie doszło. Po wywiezieniu obłożnie chorych do Mauthausen, chorych mogących iść wyprowadzono pieszo również do obozu głównego. Niewielu z nich dotarło do celu wędrówki. Wyczerpanych i niezdolnych do kontynuowania marszu konwojujący SS-mani zabijali. Pozostałych w obozie więźniów 15 kwietnia w wielkim pośpiechu przewieziono pociągiem towarowym oraz statkiem po Dunaju do Linzu, a następnie do obozu w Ebensee.

Pewnego dnia (dokładnej daty nie pamiętam), jeden ze współwięźniów leżących z nami na pryczy zmarł. O fakcie tym nie powiadomiliśmy flegera [sanitariusza, z niem. Pfleger] opiekującego się naszymi pryczami. W ten sposób przejmowaliśmy jego racje żywnościowe, którymi dzieliliśmy się między sobą. Okropny głód był silniejszy od samego faktu, że wśród nas leży nieżywy człowiek. Stan taki trwał około trzech dni.

Około połowy kwietnia rozeszła się na rewirze wiadomość, że część chorych więźniów zostanie przewieziona do obozu centralnego, gdzie otrzymywać będą większe racje żywnościowe dla poprawienia ich stanu zdrowia. Dawało to iskierkę nadziei na przeżycie i doczekanie wyzwolenia tym bardziej, że było nam wiadomo, iż zbliżają się w kierunku obozu z jednej strony wojska radzieckie, z drugiej zaś amerykańskie. Opiekującym się nami „flegerem” był Polak z Warszawy – stary więzień, noszący numer niewiele ponad dwa tysiące. Pamiętam tylko, że przed aresztowaniem mieszkał przy ul. Wspólnej. Niestety nazwiska jego nie znam. Rewir, w którym przebywałem, znajdował się poniżej centralnego obozu. I właśnie w tym czasie, kiedy mówiło się o przewiezieniu niektórych więźniów na górę (do obozu głównego), przyszedł do nas ów „fleger” i powiedział mi oraz Józiovi Rosołowskiemu, żebyśmy się nie zgłaszali, gdy wywołają nasze numery, jako tych do przewiezienia „na odżywienie”. Powiadomił nas również, że podmienił nam numery na nieżyjących Francuzów. Ta informacja, jak również fakt, że podczas zabierania chorych z rewiru, bloki były obstawione SS-manami, świadczyły o tym, że cel zabrania chorych więźniów był zupełnie inny, aniżeli ich odżywienie. Ale dopiero po wyzwoleniu dowiedzieliśmy się, że więźniowie wybrani z rewirów w połowie kwietnia byli gazowani.

[...] Obóz Mauthausen został wyzwolony przez Armię Amerykańską w dniu 5 maja 1945 roku, w godzinach przedpołudniowych. Od 5 do 7 maja władzę w obozie sprawowały komitety narodowe więźniów. Dopiero 7 maja władzę w obozie przejęły wojska amerykańskie. Natychmiast zorganizowano pomoc sanitarną. Najciężej chorych przewieziono do obozu centralnego, gdzie w jednym z bloków zorganizowano szpital ewakuacyjny Armii Amerykańskiej, oznakowany numerem 130. W tym też dniu przewieziono mnie na noszach sanitarnym samochodem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Byłem skrajnie wyczerpany, nie mogłem nawet samodzielnie jeść. Dodać muszę, że przy wzroście około 174 cm ważyłem zaledwie 34 kg. Karmili mnie między innymi dwaj moi koledzy, przebywający także na rewirze, a jeszcze poruszający się o własnych siłach. Byli to Zbyszek Wąsowicz, z którym od urodzenia mieszkałem w jednym domu przy ul. Zakroczymskiej 1, i z którym zabrany zostałem z Warszawy oraz Zdzisław Piskorek, z którym rozpocząłem walkę w Powstaniu Warszawskim, a którego spotkałem dopiero na rewirze w Mauthausen.

9 maja 1945 roku wykonano mi transfuzję krwi, oraz poddano mnie operacji nogi. Operowano mi ją w pięciu miejscach, zakładając dreny. Oprócz ropowicy (flegmony) stwierdzono u mnie uszkodzenie prawego oka (0,1 widoczności) oraz ostre zapalenie opłucnej prawego boku z wysiękiem, w związku z czym wysoka temperatura, powyżej 39 C°, utrzymywała się jeszcze do początku czerwca i konieczne było ściągnięcie wody z prawego płuca. Tylko bardzo intensywnemu leczeniu zawdzięczam moje życie [...].

W szpitalu leżałem do połowy lipca 1945 roku, tj. do czasu kiedy w wyniku ustalenia linii demarkacyjnej w Austrii tę stronę Dunaju, po której znajduje się Mauthausen, przejęły pod okupację wojska radzieckie. Po obudzeniu się rano stwierdziliśmy, że nie ma w szpitalu personelu amerykańskiego, natomiast po korytarzu chodzą żołnierze radzieccy. Tego samego dnia sprowadzono z okolicy furmanki konne i kilkudziesięciu chorych ze szpitala przewieziono do odległej o kilka kilometrów wsi Katzdorf. Tam umieszczono nas w murowanym, jednopiętrowym budynku, w którym mieszkały poprzednio osoby starsze. Sytuacja chorych zmieniła się diametralnie. Zostaliśmy bez pomocy lekarskiej, a także bez normalnego wyżywienia. Na śniadanie i kolację dostawaliśmy trochę razowego chleba, kawałek margaryny i marmolady, czasami parę plasterków wędliny, najczęściej kiełbasy. Na obiad trochę gotowanej zupy i przeważnie ziemniaki w łupinach. „Opiekę” nad nami sprawował żołnierz radziecki w stopniu „starszyna” [starszy sierżant], który raz na kilka dni przyjeżdżał z Mauthausen, gdzie stacjonowało na terenie obozu wojsko radzieckie. Wśród chorych był lekarz, dr Wartanowicz, Polak pochodzenia żydowskiego, któremu udało się ze szpitala w Mauthausen zabrać trochę różnych leków i to on udzielał pomocy potrzebującym. Były jeszcze jakieś dwie pielęgniarki Austriaczki.

Sytuacja taka trwała do połowy sierpnia, kiedy ogłoszono, że organizowany jest transport do Polski. Pomimo trudności w poruszaniu się, nawet przy pomocy kul, zgłosiłem chęć powrotu do kraju. W dniu 18

lub 19 sierpnia (dokładnej daty nie pamiętam) rano podjechały przed budynek trzy traktory z przyczepami, na których były zamontowane deski do siedzenia. Każdy z nas, wyjeżdżających do Polski, otrzymał na drogę pół kilograma razowego chleba, ćwierć kostki margaryny oraz około 15 dkg kiełbasy. Traktory zawiozły nas do odległej o kilka kilometrów stacji kolejowej Amstetten, gdzie załadowano nas do dwóch pustych wagonów towarowych. Wracalem do kraju o kulach, z poważnym przykurczem ścięgien pod prawym kolanem, zabandażowaną prawą stopą, bez buta, w obozowym pasiaku, starej watowanej kurtce i przymałej czapce cyklistówce, chociaż był to środek lata. Moim całym majątkiem był jeszcze koc, który udało mi się zabrać ze szpitala w Mauthausen, a także kartonowe pudełko, w którym oprócz materiału opatrunkowego były jakieś nieistotne drobiazgi i karta choroby ze szpitala amerykańskiego.

Droga powrotna do Kraju była bardzo ciężka. Jechaliśmy przez pierwsze kilka dni odkrytymi wagonami towarowymi, które często odstawiane były na bocznice, zatrzymywane w polu, doczepiane do różnych pociągów. Żywność musieliśmy zdobywać na własną rękę. Ponieważ nie mogłem poruszać się swobodnie, byłem na łasce współtowarzyszy. Dopiero w Bratysławie do dyspozycji powracających z obozu Polaków oddano wagony osobowe, którymi dotarliśmy do punktu granicznego w Petrowicach. Tam przesiedliśmy się do polskich wagonów i dojechaliśmy do Dziedzic. Podróż do punktu repatriacyjnego w Dziedzicach trwała sześć dni.

W Dziedzicach ulokowano mnie oraz innych ciężko chorych w Punkcie Sanitarnym PCK. Po kilku nocach spędzonych na deskach wagonu towarowego, miałem możliwość przespania nocy na łóżku z pościelą, a także zjedzenia normalnego posiłku. Ponieważ osoby przebywające na tym punkcie PCK były w ciężkim stanie i nie miały możliwości udania się osobiście do Biura Repatriacyjnego, formalności związane z repatriacją dokonane zostały na miejscu. Do punktu PCK przybył urzędnik wraz z fotografem i tu załatwiano potrzebne dokumenty. Pragnąłem jak najszybciej udać się w dalszą drogę do rodziny. Byłem jeszcze bardzo słaby, chociaż ważyłem już wtedy 42 kg. Otrzymałem zaświadczenie repatriacyjne uprawniające mnie m.in. do bezpłatnego przejazdu do rodziny w okolicy Dębina oraz 100 zł zapomogi, za którą w tym czasie można było kupić najwyżej kilka paczek papierosów.

Postanowiłem już następnego dnia jechać do rodziny w okolicy Dębina. Miałem nadzieję, że spotkam się tam z mamą i rodzeństwem, ponieważ w obozie dochodziły do nas informacje, że matki z małymi dziećmi i osoby starsze wywożono z Pruszkowa na teren Generalnej Guberni, przeważnie do dawnego województwa krakowskiego. W tym czasie, kiedy przyjechałem do kraju, koleje nie kursowały normalnie według rozkładów i były tak załadowane, że ludzie jeździli również na dachach pociągów i na stopniach wokół wagonów. Z Dziedzic wyjechałem pociągiem jadącym do Poznania i musiałem się przesiąść w Koluszkach do pociągu jadącego w stronę Lublina przez Radom i Dęblin. W Koluszkach był tłum ludzi oczekujących, podobnie jak ja, na pociągi w różnych kierunkach, ponieważ jest to stacja węzłowa. O znalezieniu miejsca w poczekalni nie było mowy, więc usiadłem na ziemi oparty o budynek. Jak już wspominałem, byłem bardzo słaby, z zanikiem mięśni i sam nie miałem siły wstać, a wstydziłem się prosić kogoś o pomoc, tak więc przez kilka godzin oczekiwania na pociąg siedziałem, nie mając możliwości zjedzenia czegokolwiek w bufecie czy nawet skorzystania z toalety. Jakies małżeństwo w średnim wieku, obserwujące mnie od dłuższego czasu, nawiązało ze mną rozmowę. Gdy dowiedzieli się, że wracam z obozu koncentracyjnego, poczęstowali mnie zupą przyniesioną z kolejowego bufetu. Po przybyciu pociągu jadącego do Lublina, załadowanego po brzegi, ludzie ci pomogli mi zająć miejsce na stopniu starego typu wagonu, do którego przedziałów wchodziło się bezpośrednio z zewnątrz. Po pewnym czasie – może po godzinie lub więcej – na prośbę stojących obok mnie pasażerów, którzy widzieli w jakim jestem stanie, wpuszczono mnie do przedziału zajętego przez żołnierzy radzieckich.

W miarę zbliżania się do celu podróży, coraz bardziej wzrastał mój niepokój o losy pozostałych członków rodziny. Przez cały ten czas od powstania nie miałem żadnej wiadomości o nich.

Podróż była długa, z licznymi postojami w polu i na stacjach, a ja byłem bardzo głodny. Tak dojechałem po wielu godzinach do Zajezerza – stacja przed Dęblinem.

Mój powrót do kraju nie był, niestety, radosny. Już na stacji w Zajezerzu zainteresował się mną – ze względu na mój wygląd, niespotykany już w tym czasie – zawiadowca stacji i zapytał mnie, kim jestem i do kogo przyjechałem. Od niego dowiedziałem się, że cztery osoby z mojej najbliższej rodziny nie żyją.



*Więżniowie przy budowie baraku na terenie KL Groß-Rosen, 1941 r. (AMGR)*

Ta tragiczna wiadomość kompletnie mnie załamała. Gdy przybyłem do domu moich dziadków, babcia – matka mojej mamy, która nie widziała mnie rok, nie poznała mnie z odległości kilku metrów, tak okropnie wyglądałem. Podczas rozmowy z rodziną dowiedziałem się, że 31 sierpnia 1944 roku, wkrótce po tym jak rozstałem się z mamą i młodszymi siostrami na terenie magazynów na Stawkach w Warszawie, z kolumny ludzi, w której była moja mama i siostry, Niemcy wyciągnęli dużą grupę ludzi starych, chorych, a także dzieci, mówiąc, że ludzie ci zostaną odwiezieni samochodami do obozu w Pruszkowie. Dopiero po wyzwoleniu okazało się, że wszystkich zamordowali na terenie fabryki przy ul. Okopowej. Była wśród nich moja mama Anna wówczas 44 letnia oraz siostry Basia lat 12 i Wandeczka lat 4 i pół.

Niemcy zamordowali również moich najbliższych sąsiadów [...]. Należy dodać, że prawie wszyscy pozostali moi sąsiedzi zostali wywiezieni do obozów koncentracyjnych, gdzie wielu z nich zginęło. [...] Kobiety zostały wywiezione do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. W grupie tej znalazła się moja dziewiętnastoletnia starsza siostra Maria. [...] dowiedziałem się również, że podczas powstania, 10 września 1944 roku, na Placu Trzech Krzyży, zginął mój starszy brat Wacław. Z najbliższej rodziny jedynie mój ojciec uniknął obozu koncentracyjnego, a to dlatego, że w momencie wybuchu powstania znalazł się w okolicach ul. Złotej i nie mógł już dotrzeć do domu na Starówkę. Po powstaniu został wywieziony w okolice Opoczna[...].

---

# Getta.

## Zagłada Żydów i Romów

Niemal równocześnie z dojściem Hitlera do władzy w 1933 roku, w Niemczech rozpoczęła się dyskryminacja osób uznawanych w doktrynie faszystowskiej za „podludzi”. Do tej kategorii zaliczono Żydów, Cyganów a później także Słowian. W 1933 roku usunięto ich z urzędów państwowych, a Ustawy norymberskie, które wprowadziły podział na aryjczyków i niearyjczyków, pozbawiły ich praw obywatelskich. Sinti i Roma, Żydzi i Słowianie, jako obcy rasowo i niewartościowi, zostali przeznaczeni do wytępienia. Próbowano ich zmuszać do emigracji, pozbawiano majątków, szykanowano.

W chwili wybuchu wojny w II Rzeczypospolitej zamieszkiwało ponad 3,2 miliona Żydów (ponad 9 % wszystkich mieszkańców). Już w czasie kampanii wrześniowej występowały przypadki mordowania ludności żydowskiej przez wkraczającą armię niemiecką. Był to jednak tylko wstęp do późniejszych działań prowadzących do unicestwienia całego narodu. Pod koniec października 1939 roku zapadła decyzja o wysiedleniu 550 000 Żydów z ziem wcielonych do Rzeszy – do Generalnego Gubernatorstwa. Podjęto też decyzję o koncentracji ludności w wydzielonych dzielnicach żydowskich. Przed wysiedleniem do gett ludność poddawano szykanom – wprowadzono przymus pracy, zakazano zmiany miejsca zamieszkania bez zezwolenia władz, zakaz przebywania na ulicach w godzinach nocnych, nakazano pod groźbą ciężkiego więzienia nosić znak identyfikacyjny z gwiazdą Dawida. Odebrano wszelką własność, zamknięto szkoły i zakazano praktyk religijnych. Od listopada 1939 roku w miastach powoływano żydowskie Rady Starszych – Judenraty. Musiały one wykonywać rozporządzenia władz niemieckich. Przystąpiono też do zamykania dzielnic żydowskich i tworzenia gett.

Do końca 1939 roku niemalże całkowicie wysiedlono na tereny GG Żydów z Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Przymusowym wysiedleniom towarzyszyły doraźne egzekucje tych, którzy stawiali opór, próbowali uciec bądź zbyt wolno wykonywali rozkazy.

Inaczej rzecz się miała w Kraju Warty. Tu utworzono getta, pierwsze powstało w Piotrkowie Trybunalskim (październik 1939), największe – w Łodzi, ale funkcjonowały też w innych, mniejszych ośrodkach. W latach 1939-1940 w Kraju Warty w gettach zamknięto ponad 380 000 osób. Jeszcze inaczej przedstawiała się sytuacja w rejencji katowickiej, w której zamieszkiwało ponad 100 000 Żydów. Na obszarze tym do 1942 roku nie było gett, kilka utworzono dopiero w 1942 roku.

Po wprowadzeniu w 1939 roku przymusu pracy tworzone specjalnie obozy pracy dla Żydów. (Zwangsarbeitslager für Juden, Julag, Judenarbeitslager). Najwięcej powstało ich na terenie GG. Były organizowane przez administrację, policję i SS. Największy tego typu obóz powstał przy fabryce zbrojeniowej w Skarżysku-Kamiennej. Obozy te były otoczone drutem kolczastym, panował w nich terror. W latach 1942-1944 były sukcesywnie likwidowane.

Podstawą powstawania gett na terenach GG było zarządzenie Generalnego Gubernatora Hansa Franka z 1 października 1940 roku w sprawie ograniczenia miejsca pobytu Żydów. W 1941 roku uległa likwidacji większość gett w małych miastach, a mieszkańców przesiedlono do kilkunastu gett w dużych ośrodkach. Ludziom tym nie zapewniono żadnych mieszkań, a obowiązek znalezienia lokum zrzucono na Judenraty.

Getta, oddzielone murami od reszty świata, z biegiem czasu stawały się dzielnicami hermetycznie zamkniętymi. Brakowało w nich jedzenia, lekarstw, panowało przeludnienie. 15 października 1941 roku wprowadzono karę śmierci za samowolne opuszczenie dzielnicy oraz za pomoc w ukrywaniu Żydów. Polska była jedynym krajem, gdzie obowiązywał aż tak drakoński wymiar kary. Warunki stworzone w gettach służyły jak najszybszemu unicestwieniu narodu żydowskiego.

Niemcy planowali zlikwidować żydowskie zakłady przemysłowe. Jednak pod wpływem realnych potrzeb gospodarki Trzeciej Rzeszy stworzony został plan wykorzystania zarówno bezpłatnej siły roboczej, jak i istniejących firm przez przedsiębiorców niemieckich. Początkowo firmy niemieckie występowały w charakterze nakładców, od połowy 1941 roku dominującą formą produkcji były tzw. szopy – wielkie przedsiębiorstwa kapitalistyczne, wchłaniające setki drobnych zakładów. Praca w szo-



pach miała charakter pracy niewolniczej. Władzom niemieckim zależało na jak najefektywniejszym wykorzystaniu darmowej siły roboczej, dlatego dla zachęty zawieszono część zakazów dotyczących oświaty, kultury i życia religijnego. Ciężka, wyniszczająca praca, brak jedzenia, skupienie na niewielkim terenie dużej ilości ludzi prowadziły do wybuchu epidemii chorób zakaźnych. Śmiertelność w getcie warszawskim spowodowana głodem, chorobami i ogólnym wyniszczeniem organizmu była przerażająca. Ludzie umierali masowo na ulicach.

Przełom 1941/1942 miał przynieść „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”. Na konferencji w Wannsee zapadła decyzja o fizycznej zagładzie Żydów europejskich. Akcja wymordowania mieszkających w GG Żydów nosiła kryptonim – „Aktion Reinhardt”. Była prowadzona systematycznie i wieloetapowo, a w jej konsekwencji całkowitej likwidacji ulegały kolejne getta. W przypadku dużych gett (Warszawa) proces ten był rozciągnięty w czasie. Niemcy zmuszali Judenraty do wyznaczania osób, które w pierwszej kolejności znajdą się w transporcie do utworzonych specjalnie w tym celu ośrodków natychmiastowej zagłady.

Pierwszym z nich – utworzonym pod koniec 1941 roku – był Kulmhof (Chełmno nad Nerem). Transporty z ludnością żydowską, głównie z Kraju Warty, przybywały do tego obozu od grudnia 1941 do kwietnia 1943 oraz w czerwcu i lipcu 1944 roku. Kolejne takie ośrodki powstały w Bełżcu, Sobiborze, Treblince. Funkcję obozu natychmiastowej zagłady pełniło komando Auschwitz-Birkenau (Brzezinka) oraz Majdanek. Do obozów tych przywożono Żydów z gett położonych na terenie Polski i Żydów z Europy Zachodniej. W obozach postępowano według z góry ustalonego schematu. Po podróży pociągiem, zazwyczaj w straszliwych warunkach, przywiezieni byli poddawani selekcji już na rampie. Oddzielano osoby posiadające rzadkie umiejętności, zdrowe i młode. Pozostałych kierowano na plac, na którym musieli zostawić swoje rzeczy i rozebrać się przed przejściem do „łaźni”, która okazywała się komorą gazową. Do uśmiercania ofiar używano silników spalinowych, a w Birkenau i Majdanku także gazu Cyklon B. Proces ten trwał około 20 minut. Następnie zwłoki palono. Zarówno do obsługi komór gazowych jak i do palenia zwłok wykorzystywano więźniów żydowskich. Do obozu w Sobiborze ofiary zwożono od maja do września 1942 roku, do Bełżca – od marca do listopada 1942, do Treblinki – od lipca 1942 do listopada 1943. Obozy te zostały zlikwidowane na przełomie 1943/44 roku. Zdemontowano wszystkie urządzenia i komory gazowe, zniszczono baraki i ogrodzenia, a na terenie Sobiboru posadzono las. Najdłużej, do 28 listopada 1944 roku, działała komora gazowa w Birkenau. Szacuje się, że w wyniku Akcji Reinhardt zginęło od miliona siedmiuset do dwóch milionów Żydów.

Do końca lata 1943 roku zlikwidowano prawie wszystkie największe getta na terenie GG. W marcu 1943 przestało istnieć getto w Krakowie, w kwietniu w Warszawie. W sierpniu zlikwidowano getto w Białymstoku. Na terenie Kraju Warty, po likwidacji gett w 1942 roku, do sierpnia 1944 roku funkcjonowało jeszcze getto w Łodzi. Było ono doskonale zorganizowanym obozem pracy niewolniczej przynoszącym ogromne zyski.

Ostatecznego unicestwienia Żydów dokonano w trakcie ewakuacji obozów koncentracyjnych przed nadchodzącym frontem wschodnim. Ocenia się, że jeszcze przed ewakuacją w obozach znajdowało się około pół miliona Żydów, z których 60% nie przeżyło marszów śmierci.

Niestety, nie sposób ustalić dokładnej liczby żydowskich ofiar. Najbardziej miarodajne wydają się szacunki Czesława Madajczyka. Przyjmuje on, że w Zagładzie (Shoah) zgotowanej przez Trzecią Rzeszę zginęło 2,7 miliona polskich Żydów, w tym 2 miliony w różnego rodzaju obozach, 500 000 w wyniku zakładania, funkcjonowania i likwidacji gett, a pozostali w trakcie obław i doraźnych akcji likwidacyjnych. Nie ulega natomiast wątpliwości, że ocaleć z Zagłady zdołało tylko 2-3 % Żydów.

Równoległe do zagłady Żydów realizowany był przez Niemców plan wyniszczenia ludności romskiej. Po wybuchu wojny z Polską niemieckie grupy Sinti i Roma deportowano na tereny polskie. Tu zmuszano ich do ciężkiej pracy, potem umieszczano w obozach koncentracyjnych. Zgodnie z rozporządzeniami Himmlera Cyganie, jako grupa, której cechą jest „przestępczość wrodzona”, powinni zostać całkowicie wyniszczeni. Mordowano ich więc w miejscu schwywania, zamykano do gett, wywożono do ośrodków masowej zagłady. Na terenie obozu Auschwitz-Birkenau utworzono dla nich specjalny obóz. Został on ostatecznie zlikwidowany po buncie więźniów w 1944 roku, a wszyscy Romowie uśmierceni. W obozie oświęcimskim zginęło ponad 21 000 Sinti i Roma z Niemiec i Polski.

**PIOTR WYRZYKOWSKI**

# **Wspomnienia dziadka bez schematu**

*Tekst jest zapisem rozmów przeprowadzonych przez autora Piotra Wyrzykowskiego z dziadkiem Tomaszem Miedzińskim.*

*Tomasz Miedziński urodził się w 1928 r. w Horodence, w powiecie stanisławowskim, na terenach dzisiejszej Ukrainy, w rodzinie żydowskiej. W czasie okupacji niemieckiej podlegał wszystkim możliwym represjom z przyczyn narodowościowych. Przebywał w getcie, obozie dla Żydów we Lwowie, ukrywał się. W holokaście stracił całą najbliższą rodzinę.*

---

**Dziadku, byłeś małym chłopcem, kiedy wybuchła wojna. Czy pamiętasz miasteczko swojego urodzenia – Horodenkę, swoją rodzinę, szkołę, kolegów...**

Horodenka, wówczas około 12 tysięczne miasto w województwie stanisławowskim było miastem trójnarodowym. Mieszkało tam około 2 tys. Polaków, 5 tys. Ukraińców, 4,5 tys. Żydów, a także ze trzystu przedstawicieli innych narodowości – Rosjan, Rumunów, Ormian, Słowaków i Cyganów. W tym tyglu narodowościowym żyliśmy w zasadzie zgodnie i spokojnie do 1939 roku, po czym tereny te zajął Związek Radziecki. Do przyścia Rosjan chodziłem do szkoły polskiej, potem do ukraińskiej. W domu rozmawialiśmy po żydowsku tj. w jidysz, byłem więc niemal od urodzenia dzieckiem trójjęzycznym. Ojciec – Józef był stolarzem, matka Klara krawcową. Miałem starszego brata, starszą siostrę i dwóch młodszych braci. Ponadto w Horodence mieszkali dziadkowie Kupfermanowie i około 50 osób najbliższej rodziny.

Po napaści Niemiec Hitlerowskich na Związek Radziecki, pod koniec czerwca 1941 roku miasto zajęli Węgrzy jako sprzymierzeńcy Niemców, a pod koniec sierpnia tego roku miasto przejęli Niemcy. Od razu rozpoczęły się prześladowania ludności żydowskiej, konfiskowano majątki, lekarzom – narzędzia pracy, zamknięto szkoły, utworzono dzielnicę żydowską ogrodzoną drutem kolczastym. Nasz dom został w tej dzielnicy, dokwaterowano nam kilka rodzin. Mężczyźni od czternastego roku życia, kobiety od piętnastego, zmuszeni zostali do noszenia opasek z Gwiazdą Dawida. Do wychodzenia poza dzielnicę uprawnieni byli tylko pracujący po stronie aryjskiej. Narastały trudności aprowizacyjne, lecz początkowo dawaliśmy sobie radę. Mieliliśmy trochę zapasów mąki, kartofli, oleju słonecznikowego. Ojciec – pracując w warsztatach wojskowych jako stolarz – mógł codziennie przynosić garnek zupy. Aresztowania objęły przede wszystkim inteligencję żydowską i byłych urzędników radzieckich, niektórych wywożono do Kołomyi i tam zabijano. I tak to trwało do grudnia 1941 roku.

**Dziadku, wiem, że dla Ciebie są to straszne wspomnienia i widziałeś takie okropności mając niewiele lat. Wiem też, że do tej pory śnią Ci się koszmary z tamtego okresu. Czy teraz jesteś w stanie o tym opowiedzieć?**

Od sierpnia do grudnia, jak wspominałem, miały miejsce okropne wydarzenia. Ukraińscy nacjonaliści, którzy objęli administrację i policję dokonywali pogromów w miasteczkach i wsiach wokół Horodenki, np. Niezwiskach, Woronowie, Podwerbcach, Żywaczowie, tamtejszych Żydów powiązali drutem kolczastym i potopili w rzece Dniestr. Mordowali ludzi w Kosowie, Kutach, Obertynie, Jaremczy, Śniatyniu. Pozostałych przy życiu zmuszano do przeniesienia się do getta w Horodence lub Kołomyi.

3 grudnia 1941 roku Niemcy wydali nakaz stawienia się nazajutrz o 7 rano wszystkim Żydom w celu dokonania szczepień przeciw tyfusowi. Na placu przed Wielką Synagogą zebrało się ponad 2700 osób, całe rodziny, wówczas plac został otoczony przez Niemców i ukraińskich policjantów, którzy zapędzili ludzi do synagogi. Tam przetrzymywano ich w strasznych warunkach do następnego ranka, po czym samochodami ciężarowymi wywieziono wszystkich do wsi Siemakowce, gdzie ich wymordowano. Wśród nich była cała wielka nasza rodzina. Nas – ojca, starszego brata i mnie – mama ukryła na strychu wśród desek, sama powiedziała, że jej z moimi dwoma młodszymi braćmi nic nie zrobią.

**Wspomniałeś, że z tej masakry uratował się Twój młodszy braciszek Szmulek zwany Dziunkiem. Jak to było możliwe, że z tego wyszedł cały?**

Relację znam od samego Dziunka, a było to tak. Po przywiezieniu ludzi na miejsce straceń wszystkim kazano się rozebrać do bielizny i przebiec po śniegu około 50-60 metrów do wykopanych dołów. Gdy mama zobaczyła jak strzałem w potylicę wszystkich zabijają, strąciła obu chłopców do dołu i sama skoczyła nakrywając ich swoim ciałem. Warto wspomnieć, że Dziunek miał wtedy 11 lat, a Mordechaj zwany Martkiem – 9 lat. Mama i Martek zostali zabici, Dziunek zaś tylko draśnięty. Pod trupami przeleżał cały dzień, wieczorem, po odejściu siepaczy, wygramolił się z jamy, nałożył na siebie jakieś ubranie oraz buty i poszedł w kierunku wsi, szukając tam ratunku. Zaszył się w stogu siana, rano został odkryty przez gospodarza. Ten dobry człowiek zabrał go do chaty, obmył, napoił gorącym mlekiem, nakarmił i prze-

chowował go przez trzy dni. Po tym czasie Dziunek był dopiero w stanie opowiedzieć, kim jest, i że we wsi Kolanki, oddalonej o 7-8 kilometrów mieszka nasz krewny, rolnik Hersz Gutman. Gospodarz odwiózł go do krewnego, który po 10 dniach furmanką przyjechał z nim do Horodenki. To był istny cud. Dzieciak był w szoku, od strzałów ogłuchł na lewe ucho, mówił monosylabami i dopiero po wielu dniach wydobyliśmy od niego relacje o tych strasznych wydarzeniach, zwanych wówczas potocznie „Akcją”. Zamieszkał z nami w getcie. Oprócz niego z masakry uratowało się jeszcze sześć osób. Po kilku dniach do Horodenki przybyli gestapowcy z Kołomyi, zabrali pięć osób, które następnie rozstrzelali, aby nie było świadków masakry w Siemakowcach. Dziunka ukryliśmy. Uratowała się jeszcze jedna osoba, żona byłego rzezaka rytualnego.

### **Jest sierpień 1942 roku, co się z Wami w tym czasie dzieje, co z rodziną?**

Starszy brat – Mojsze-Mendeł (16 lat) dołączył do grupy młodych mężczyzn, którzy zamierzali uciec do Rumunii przez starą granicę polsko-rumuńską, oddaloną od Horodenki o 6 kilometrów. Chcieli udać się do Czerniowców, gdzie prześladowania Żydów nie nabrały takiego charakteru jak w dystrykcie Galicja. Ujęto ich na granicy i odtransportowano do getta w Kołomyi. Tam pod koniec sierpnia odnaleźliśmy go. Na przełomie lipca i sierpnia 1942 roku ojciec z grupą rzemieślników został także wysłany do getta w Kołomyi. My z Dziunkiem ukrywaliśmy się w specjalnie zbudowanym schronie podziemnym, lecz w połowie sierpnia, po kolejnej „akcji” likwidacyjnej, podczas której zamordowano 450-500 osób, Horodenka została ogłoszona terenem wolnym od Żydów – „Judenfrei”. W ciągu 48 godzin wszyscy, którym udało się przeżyć, zabierając jedną sztukę bagażu, mieli opuścić Horodenkę i samodzielnie przybyć do getta w Kołomyi. Było to zgromadzenie ocalałych w jednym miejscu dla łatwiejszego dokonania „ostatecznego rozwiązania”. Do getta w Kołomyi dotarliśmy około 20 sierpnia 1942 roku. Zastaliśmy tam ojca i starszego brata. Zamieszkaliśmy w drewnianej komórce u kuzyna naszej mamy – Ziamy Gutmana, cenionego przez Niemców jubilera. Ojciec pracował w komendzie miasta w swoim zawodzie, ratując nas przed śmiercią głodową, ponieważ pozwalano mu zabierać resztki ze stołów w stołówce wojskowej, które przynosił do getta. Brat ponownie udał się w kierunku granicy rumuńskiej i odtąd wszelki ślad po nim zaginął. Dochodziły wieści, że na granicy rozstrzelano kilkudziesięciuosobową grupę uciekinierów z getta kołomyjskiego. W niedzielny poranek na początku września 1942 roku rozpoczęła się w Kołomyi straszliwa akcja likwidacyjna, zsynchronizowana na całej trasie od Kołomyi do Lwowa. Na wielkim placu przedwojennej firmy drzewnej „PAGED” zgromadzono od 5 do 6 tysięcy ludzi. Niektórych specjalistów, w tym naszego ojca, Niemcy wyreklamowali, łącznie może 80-90 osób. Resztę popędzono pod konwojem na stację kolejową, gdzie stały przygotowane bydłce wagony, do których zaczęto ładować „żywy towar”. Działy się tam dantejskie sceny, upychano nas w wagonach do granic ludzkich możliwości. My z Dziunkiem zgubiliśmy się i zostaliśmy rozłączeni. Co się działo wewnątrz, trudno opisać słowami. Krzyk dzieci, jęki zakatowanych i rannych, smród – ludzie załatwiali potrzeby fizjologiczne pod siebie – tratowanie się nawzajem, deptanie po trupach, obrazy jak z piekła, albo i gorzej. Gdy pociąg się rozpędził, wyłamano kratę i ludzie zaczęli wyskakiwać, często ginąc pod kołami pociągu lub od kul strażników rozlokowanych w budkach w co drugim, trzecim wagonie. Przed Stanisławowem po ramionach ludzi dostałem się do okienka, skąd siłą wypchnięto mnie i spadłem w przepaść. Było to zbyt blisko stacji i nie miałem żadnych szans na ucieczkę. Ujęto mnie ponownie i w tym nieszczęściu miałem jednak trochę szczęścia. Otóż spędzeni ludzie nie mieścili się już w wagonach stanisławowskich, wobec tego otwarto wagony kołomyjskie i tam upchnięto pozostałych, wśród nich i mnie. Stając w drzwiach na tle świateł stacyjnych, usłyszałem moje imię. Był to Dziunek i na tym polegało moje szczęście w nieszczęściu. Nasza radość była wielka. Postanowiliśmy ratować się razem. Pociąg mijał stację Halicz, Bukaczowce, Chodorów, Bóbrkę. Na każdej stacji dołączano nowe wagony pełne ludzi, gdyż w dniu tym odbyły się „akcje” na całej trasie do Lwowa. Jak się później dowiedziałem, miejscem docelowym transportów były komory gazowe w Bełżcu. Tylko nielicznych młodych mężczyzn skierowano do obozu koncentracyjnego we Lwowie („Janowska”).

Zaczęliśmy powoli przesuwać się do drzwi, w których tym razem wyrwano deskę. Przez dziurę mogły wydostać się od razu dwie osoby. Nas obu wypchnięto na zewnątrz i poleciliśmy w dół. Idąc sobie

naprzeciw, wkrótce spotkaliśmy się, była ciemna noc. Dziunek był cały, bez żadnego draśnięcia, ja miałem rozbitą głowę, potłuczone nogi. Umyliśmy się w przepływającym potoczku i ruszyliśmy do ściany lasu z zamiarem dotarcia do Lwowa. Nasza wędrówka, na granicy życia i śmierci, trwała pełne dwie doby. Żywiliśmy się burakami i surowymi kartoflami, które znajdowaliśmy w polu, a także jeżynami, które za dnia zbieraliśmy w lesie. Wreszcie zziębnięci, głodni, dotarliśmy do Lwowa. Przedostaliśmy się do getta i tu rozpoczął się następny etap mojego życia – lwowski.

**A więc jesteście we Lwowie, jak wcześniej wspominałeś – to miasto znałeś tylko z podręcznika szkolnego, Twój tata został w Kołomyi, o starszym bracie nic nie wiecie. Co się dalej z wami działo?**

We Lwowie, dokąd spędzono wszystkich ocalałych Żydów z całej okolicy, kończono techniczne zamykanie getta, wysoki parkan był niemal gotowy. W praktyce oznaczało to, iż wkrótce zaczyną się kolejne akcje likwidacyjne. W getcie nie było żadnego skrawka wolnej przestrzeni, gdzie można się było ulokować. Dowiedziałem się, że przy ulicy Zamarstynowskiej niedoszły nauczyciel z Kołomyi - Nachman Nusbaum opiekuje się grupą chłopców w naszym wieku, organizując im zajęcia i wyżywienie. Odszukaliśmy go, przyjął nas i przydzielił kąt w piwnicy tego budynku. Od Nachmana, pasjonującego się teoriami Korczaka i Makarenki, doznaliśmy od dawna niespotykanych, prawdziwych ludzkich uczuć. Dopiero z perspektywy wielu lat mogłem ocenić jego postawę – samozaparcie i dobroć. Nachman sprawiedliwie dzielił zajęcia zarobkowe starszych chłopców, polegające na płatnym zastępstwie lwowiaków przy pracach przymusowych: ja na przykład kilkakrotnie pracowałem po 12 godzin dziennie w garbarni na tej samej ulicy Zamarstynowskiej, przy porządkowaniu dworca kolejowego, wyładunku węgla itp. Zarobki, około 10 zł za dniówkę, szły do wspólnej kasy z przeznaczeniem przeważnie na żywność. Nachman organizował nam codziennie wiadro zupy z tzw. „Kuchni Ludowej”, którą sprawiedliwie rozdzielał. Młodsze dzieci wystawały pod nasypem kolejowym, po którym przejeżdżały pociągi a z okien czasem wyrzucano kartofle, marchew, kapustę, czasem kawałki chleba. Częściej jednak sypały się obelgi i wyzwiska. Gdy z zaopatrzeniem było bardzo źle, to młodsze dzieci szły na żebry, ale w wyłodniałym getcie niewiele to dawało.

Tak minął wrzesień 1942 roku. Pod koniec tego miesiąca, gdy zastępco pracowałem w mieście w brigadzie śmieciarzy, całą 20 osobową grupę zgarnęli Niemcy i odwieźli nas do obozu na Janowskiej. Tam dopiero bezpośrednio poznałem, co to znaczy żydożerca i sadysta. W obozie codziennie ginęło wielu ludzi. Piasek na placu, gdzie wykonywano egzekucje, był wielokrotnie czerwony od krwi. SS-mani, którzy odbywali staż przed wyjazdem do Majdanka lub Oświęcimia, często dla zabawy zabijali ludzi.

Praca w obozie była ciężka, wyżywienie głodowe. Na moje szczęście spotkałem tu kilku znajomych z Horodenki – Ruwena Prifera, Dawida Glogera, którzy nauczyli mnie wytrwałości i dali mi lekcję „samoratunku”. Bardzo mi się to przydało, pozwoliło przeżyć.

We Lwowie, w getcie, pozostał przecież Dziunek, o którym nic nie wiedziałem. W obozie byłem ponad miesiąc. Pewnego razu, po wyładowaniu węgla z węglarek, schroniłem się na dworcu, wieczorem wróciłem do getta, gdzie zastałem jeszcze Dziunka. Nie było za to Nachmana, o jego losie nikt nic nie wiedział. Najprawdopodobniej zginął ten wspaniały człowiek.

**Wspomniałeś kiedyś, że zaryzykowaliście i jako aryjczycy wróciliście pociągiem do Kołomyi. Jak to było możliwe? Przecież na każdym kroku czyhało na Was niebezpieczeństwo. Jakie były Wasze dalsze losy? Czy mieliście wiadomości od ojca?**

Od ojca nie mieliśmy żadnych wiadomości, nie działała przecież poczta. Wierzyliśmy, że żyje, został przecież przez swojego „dobrego Niemca” wyreklamowany jako specjalista i bezpłatna siła robocza. Był zresztą potrzebny swemu szefowi, któremu między innymi wytwarzał małe, delikatne skrzyneczki, które ten pełne „zdobyczy” wysyłał swojej rodzinie do Niemiec. Opracowaliśmy i przeciwiczyliśmy następujący plan: nazywamy się Darek (Dziunek) i Tomasz Miedzińscy (spolszczone nazwisko naszej mamy – Kupferman). W getcie musimy zdobyć pieniądze na bilet kolejowy do Kołomyi, wydostaniemy się z getta i udając aryjczyków, udamy się koleją legalnie do Kołomyi. Zgodnie z tą legendą, ojciec jako urzędnik w fa-

bryce marmolady w Kołomyi został wraz z naszą mamą w 1940 roku wywieziony do Rosji. My z Dziunkiem przebywaliśmy wówczas na wakacjach u krewnych na wsi pod Lwowem i to nas uratowało. Mama zmarła na zesłaniu, ojciec miał przeżyć i według posiadanych informacji wrócił do Kołomyi. My jedziemy teraz do niego.

W realizacji tych planów pokonywaliśmy niezliczoną ilość przeszkód. Nie mieliśmy żadnych dokumentów, a czternastolatka taki „Ausweis” już obowiązywał. Znajomość języka polskiego Dziunka nie była najlepsza, używał na przykład twardego „r”, nie pozbył się strachu przed mundurem niemieckim, semickie rysy ułatwiłyby „szmalcownikom” jego rozpoznanie. Dlatego też ustaliliśmy, że w drodze śpi, udaje głuchoniemego, posługuje się wyuczoną mimiką. Ja, mając „dobry wygląd” i władając bezbłędnie polskim i ukraińskim, przejmuję inicjatywę całego przedsięwzięcia. Wykupiłem w kasie kolejowej bilety III klasy i ruszyliśmy do Stanisławowa, gdzie czekała nas przesiadka. Zajęliśmy miejsca przy miło wyglądającej pani powracającej do domu. Był to szczęśliwy dla nas traf, pani ta okazała się nauczycielką, osobą wyjątkowo życzliwą i serdeczną, współczującą naszej niedoli. Mało brakowało, aby Dziunek nas zdradził, otrzymując bułkę, chciał podziękować słownie, ale zawczasu się połapał. Z rozmowy wynikało, że pani ta jest żoną oficera polskiego, przebywającego w niewoli niemieckiej, sama utrzymuje 15-letniego syna. Znała Kołomyję, istotnie, była tam znana w okolicy fabryka marmolady. W pociągu uratowała nas przed kontrolą niemieckich żandarmów, w poprawnej niemczyźnie podała im naszą legendę, po czym zostawili nas w spokoju. Dziunek ze strachu się zmoczył.

Do Stanisławowa dotarliśmy wieczorem, połączenie do Kołomyi mieliśmy nazajutrz rano. Nasza wybawicielka zaprosiła nas do siebie, udzieliła gościny w wolnostojącym domku, poznaliśmy jej syna – harcerza. Nakarmiła nas specjami, których od lat nie widzieliśmy na oczy, przydzieliła nam pokój, w którym ułożyliśmy się do snu. Rano obudził nas syn, na drogę otrzymaliśmy kanapki i z jej błogostawieństwem, w towarzystwie syna udaliśmy się na dworzec. Dopiero po pożegnaniu zorientowałem się, że z kieszeni spodni wypadła mi ukryta tam opaska z Gwiazdą Dawida, która została w sypialni. Wtedy prawdopodobnie zorientowała się, kogo gościła w swoim domu i jakie mogło jej i synowi grozić niebezpieczeństwo, w przypadku ujawnienia naszej tożsamości. Przez wszystkie późniejsze lata, gdy myślałem o ludziach dobrych, szlachetnych, życzliwych, zawsze przychodziła mi na myśl piękna postać Pani Nauczycielki ze Stanisławowa. Dotąd żywię wobec niej niekłamaną podziw i wdzięczność.

**To rzeczywiście musiała być bardzo odważna i jednocześnie pełna serca osoba, udzieliła azylu dwóm nieznanym chłopcom... Co było dalej?**

Około godziny 7 rano wsiedliśmy do zatłoczonego pociągu. Dziunek udawał śpiącego. W zasadzie nie podejmowałem rozmów ze współpasażerami. Na pytania ciekawskich odpowiadałem monosylabami. Do Kołomyi dojechaliśmy około południa, idąc przez miasto, dotarliśmy do ogrodzenia getta. Wsunęliśmy się przez dziurę w płocie i poszliśmy do domu Ziamy Gutmana. Ojca już nie zastaliśmy. Ziama nam odpowiedział, że przed miesiącem gestapo zabrało większość wyreklamowanych specjalistów, wywieźli ich do lasu w Szeparowcach i tam rozstrzelali. Byliśmy więc znowu sami. Zamieszkaliśmy ponownie w komórce Ziamy, w „komfortowych warunkach”, nie mieliśmy bowiem żadnych sublokatorów. Bardzo nam pomagał Ziama, który codziennie z aryjskiej strony przynosił nam kociołek zupy. Pewnego listopadowego dnia 1942 roku Dziunek wyszedł na ulicę i więcej nie wrócił. Prawdopodobnie wywieźli go z grupą do Szeparowiec i tam zginął. Tak więc okrutna śmierć, której uniknął przed rokiem w Siemakowcach, dosięgła go tutaj. Tym razem zostałem już zupełnie sam.

**Przeczuwałaś chyba, że pozostanie w Kołomyi nie jest dla Ciebie bezpieczne?**

To prawda, wszelkie znaki zapowiadały, że tej zimy nie dadzą nam już przeżyć. W getcie codziennie odbywały się łapanki, wyznaczane były dzienne normy do wywózki, coraz mniej zostało specjalistów. Szła zima, był już grudzień 1942 roku. Szans na zaczepienie się u gospodarza – Ukraińca na służbę nie miałem, mimo „dobrego wyglądu” i znajomości języka, gdyż chłopci na zimę zwalniali parobków do domu. Dowiedziałem się, że w województwie tarnopolskim są jeszcze ośrodki żydowskie w takich miastach jak

Czortków, Buczacz, Tłuste, Kopyczyńce, a także – utworzone na bazie byłych kołchozów i sowchozów – obozy pracy przymusowej, gdzie potrzebni są młodzi ludzie do pracy na roli. Pewnego wieczoru Zياما Gutman podkupił policjanta ukraińskiego przy bramie getta i wyprowadził mnie w przebraniu Hucuła na aryjską stronę, skąd koleją „na gapę” dojechałem do miasta Tłuste. Przekupionym policjantem był „Krwawy Iwan”, który miał na sumieniu wielu ludzi, między innymi proboszcza z parafii katolickiej, któremu przed śmiercią zabrał dwie krowy. Po wojnie został rozpoznany, sądzony w Jeleniej Górze i skazany na karę śmierci. Byłem świadkiem na jego procesie w 1946 roku. W getcie w Tłustem przebywałem do lutego 1943 roku, po czym skierowano mnie do obozu pracy przymusowej, początkowo w Różnówce, a następnie w Hołowczyńcach. Przedtem były jeszcze „akcje” w Tłustem, ucieczka z ciężarówki wiozącej nas do Czortkowa na rozstrzelanie, kilkutygodniowa praca parobczańska u bogatego chłopca pod Tłustem, skąd w obawie przed wydaniem wygrzył mnie znacznie starszy i silniejszy dezerterski z Armii Czerwonej.

W Różnówce i Hołowczyńcach pracowałem przy sortowaniu tytoniu, kopcowaniu ziemniaków i buraków, obsługiwałem konie. U miejscowych fernali cieszyłem się opinią „pracowitego żydka”. Wyżywienie było dostateczne, mogłem nawet część pożywienia przekazać bardziej potrzebującym w tzw. rodzinnej części obozu. Zbliżał się koniec żniw i coraz częściej pojawiali się gestapowcy i ukraińscy policjanci, wyławiali nieprodukcyjne osoby, wywozili na okoliczne żydowskie cmentarze i zabijali. Postanowiłem wtedy uciec na wieś i zatrudnić się u gospodarza za sam wikt i ewentualnie pud zboża po żniwach. Tak czynili Huculi – górale z Karpat, wynajmując się do pracy po lewej stronie Dniestru. W sierpniu w 1943 roku uciekłem z obozu, dotarłem do wsi Lisowce, gdzie udało mi się zatrudnić u wójta tej wsi Wasyla Dziuby. Moja pomoc była szczególnie cenna dla jego syna, 22-letniego Petro, który w nocy grasował z bandą UPA, w dzień odsypiał zarwane noce. W rodzinie była także córka, rozpieszczona przez ojca 17-letnia Natalka. Przez rodzinę Dziubów zostałem zaakceptowany, mimo że nie miałem metryki urodzenia, która była konieczna. Uwierzyli, iż pochodzę z miejscowości podkarpackiej Sołotwino, gdzie zostawiłem starą matkę, do której na jesieni zamierzam wrócić. Miałem spokój aż do dnia, gdy zamknięty w stodole miałem się wykąpać w balii. Podejrzała mnie wścibska Natalka i doniosła matce, że mam innego niż chłopcy „fiutka”. Wezwany następnie przez ojca na rozmowę przyznałem się, że jestem Żydem i że mój los jest w jego rękach. Początkowo chciał mnie zostawić, ale w obawie przed opiekunem wsi, policjantem o nazwisku Schab, postanowił mnie oddalić. Zostałem wyposażony w worek z zapasem chleba, słoniny, owoców i pożegnany „z Bohom Tošku”. Znowu poszedłem w świat szukać ratunku.

**Mamy więc wrzesień 1943 roku, do wyzwolenia przez Armię Czerwoną miałeś jeszcze 10 miesięcy. Jak potoczyły się Twoje losy?**

Miałem jeszcze różne przeżycia, lepsze i straszne, byłem uczestnikiem wielu zdarzeń. Ale odłóżmy to na inne czasy, może jeszcze będziemy kontynuować nasze rozmowy. Na razie zamknijmy ten rozdział – i tak masz wiele do przemyślenia i analizowania. Wydaje mi się, że mimo tych długich rozmów, chyba trudno będzie odpowiedzieć Ci na najważniejsze pytanie: „dlaczego ludzie ludziom zgotowali ten los”.

## **STANISŁAW ZALEWSKI**

# **Wydarzenia i znaki czasu z lat 1939-1945**

*Stanisław Zalewski urodził się w 1925 r. w Suchej Woli. Przed wybuchem wojny mieszkał w Warszawie, na Pradze. Tutaj uczęszczał do szkoły powszechnej. W 1940 r., z uwagi na ciężką sytuację rodzinną musiał przerwać naukę i rozpocząć pracę. Pracował w warsztacie samochodowym Cz. Kozikowski na ulicy Waliców.*

---



Zuwagi na ciężką sytuację rodzinną w lutym 1940 roku przerwałem ostatni rok nauki w Szkole Powszechnej i poszedłem do pracy do warsztatu samochodowego „Cz. Kozikowski” na ulicy Waliców, to jest na terenie ówczesnego żydowskiego getta. Warsztat – przejęty przez Niemców – naprawiał samochody wojskowe. Dostałem specjalny dokument tożsamości, tzw. Ausweis, przepustkę na wejście do getta i, co najważniejsze, dodatkowe kartki na żywność.

W getcie widziałem ludzi tak wychudłych, że wyglądali jak szkielety obciążone skórą. Widziałem jak upadali na ulicy, aby się już więcej nie podnieść. Widziałem wyciągnięte chude ręce i głęboko zapadłe oczy, proszące bez słów o pomoc.

Na terenie getta działały – sformowane przez Niemców – policja żydowska i rada żydowska, złożona ze starszyny. Jedni i drudzy musieli wykonywać drastyczne polecenia okupanta.

Spotykałem także Żydów dobrze odżywionych i odzianych. W naszym warsztacie pracowało za zgodą Niemców kilku żydowskich prominentów. Wielokrotnie prosili nas o przyniesienie ze strony aryjskiej bułki z szynką.

Żołnierze Wehrmachtu lub formacji SS, którzy przychodzili do naszego warsztatu, urządzali sobie sadystyczne zabawy, których ofiarami byli przechodzący obok bramy wjazdowej mieszkańcy getta. Rozrywką było dla nich zatrzymanie Żyda z długą brodą, podpalenie mu jej zapalniczką i nakazanie nieszczęśnikowi, aby z palącą się brodą szybko uciekał.

Kiedyś uległa awarii sprężarka do pompowania opon. Znajdujący się w warsztacie żołnierz wyłapywał mężczyzn i nakazywał im ręcznie pompować oponę, poganiając gumową pałką. Jak taki nieszczęśnik upadał ze zmęczenia, zastępował go następnym, a los leżącego zupełnie go nie interesował.

Mój brat Józef miał specjalne powiązania i przemycał do getta paszporty wystawione przez przedstawicielstwo Argentyny. Do końca życia nie chwalił się tym, a tajemnicę kontaktów w tej sprawie zabrał ze sobą do grobu. Ja nosiłem do getta tylko żywność [...].



*Żydówki urządzające gospodarstwo ogrodnicze na cmentarzu, Ostrów Wielkopolski, 1940/1941 r. (ŻIH)*

**STANISŁAW SOLAREWICZ**

**Pomóźcie nam  
zachować pamięć**

**[Lwów, Obóz pracy na ul. Janowskiej]**

*Autor, mieszkaniec Lwowa, został zatrzymany w trakcie łapanki i dostał się do obozu przy ulicy Janowskiej. Obóz ten pełnił również funkcję obozu pracy dla Żydów. Siedemnastoletni chłopiec był świadkiem ich zagłady.*

---

Lwów rok 1942. Upłynął rok administrowania w tym mieście okupantów niemieckich. [...] Przeprowadzają liczne łapanki, nakładają na mieszkańców kontrybucje, organizują obóz przymusowej pracy, lokalizując go przy końcu ulicy Janowskiej, nieopodal wzgórz piaszczystych. Miejsce to miało podwójne przeznaczenie. Po pierwsze gromadzono tu nieopłacaną siłę roboczą, a po drugie było ono miejscem zagłady ludności żydowskiej, cygańskiej i innych nacji. Obóz ten nosił nazwę „Zwangsarbeitslager in Lemberg”.

Do obozu dostałem się mając 16 lat i byłem najmłodszym więźniem. Po przywiezieniu do obozu trzymano nas do godzin wieczornych na placu przed budynkiem komendanta. W tym czasie trwała rejestracja więźniów, strzyżenie włosów we wszystkich miejscach, gdzie one występowały, oraz malowanie lakierami kolorowych pasów na plecach, wzdłuż kręgosłupa, co pozwalało strażnikom odróżniać narodowość więźnia. Więźniowie w obozie nosili ubrania, w które byli ubrani w czasie łapanki, i na tych ubraniach malowano pasy. Polakom malowano kolorem czerwonym, Ukraińcom niebieskim, a Żydom białym.[...]

W tym czasie w obozie panował tyfus. Chorobą tą zarażeni byli więźniowie, głównie Żydzi, przebywający w obozie od dłuższego czasu. Chorych wynoszono z budynku, mówiąc im, że zostaną odwiezieni do szpitala, ale umieszczano ich pod gołym niebem na placu otoczonym drutami kolczastymi, opodal placu apelowego. Tam byli uśmierceni przez młodego esesmana o rudych włosach. Procedura uśmiercania polegała na tym, że chodził on wśród chorych, co chwilę przystawał i gwizdał na palcach. Jeśli chory nie podnosił głowy, esesman ów podchodził bliżej do chorego i zabijał go wystrzałem z karabinu. Proceder ten powtarzał się codziennie o tej samej porze dnia.[...]

Z nowo przybyłych więźniów utworzono komanda robocze. Na placu apelowym oddzielnie stali aryjscy, oddzielnie Żydzi. Po sprawdzeniu stanu osobowego więźniów i przekazaniu raportu, rano odwożono nas do pracy, a wieczorem odsyłano do budynku obozowego.

Obóz, nazwany obozem przymusowej pracy, został zorganizowany na wzór istniejących obozów koncentracyjnych. W zasadzie był to obóz zagłady, przede wszystkim dla ludności żydowskiej, cygańskiej i częściowo polskiej. Otoczony był wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego. Więźniom nie wolno było zbliżyć się do ogrodzenia. Jeśli ktoś złamał ten zakaz, był ostrzeliwany z wież wartowniczych wzniesionych dość gęsto wokół obozu. Wieże te obsadzone były przez Ukraińców. Generalnie obozu pilnowali młodzi esesmani cofnięci z frontu, co miało być dla nich odpoczynkiem. Kilku z nich posługiwało się językiem czeskim, co pozwalało przypuszczać, że byli to Niemcy z Sudetów.

Komendantem obozu był wysoki rangą oficer SS o nazwisku Willhaus. Zastępcą jego – oficer SS o nazwisku Rokita. Różnili się tym, że Willhaus znęcał się nad więźniami, bijąc szpicrutą, a Rokita bił i zabijał. W obozie obowiązywał rygor szybkiego poruszania się i zdejmowania czapki, jeśli więzień ją miał, przed każdym gestapowcem. Kto o tym zapomniał lub ze względów zdrowotnych nie mógł przestrzegać tych rygorów był bity.

Rokita w obozie zawsze występował w skórzanych rękawiczkach, a na prawym nadgarstku zwisła szpicruta i pistolet. Był to mężczyzna w wieku około 50 lat, średniego wzrostu, dość tęgi z całkowitą łysiną na głowie. We Lwowie mieszkał sam. Żona przebywała w Krakowie. Gdy pojawiała się we Lwowie sadyzm Rokity malał.

Wykorzystując łagodniejsze niż zwykle zachowanie gestapowca, czterej żydowscy więźniowie austriaccy udali się z misją do jego żony, by wpłynęła na męża, by ten nie stosował w obozie takich morderczych metod. Efekt tej misji był dla nich tragiczny. Na drugi dzień, na apelu porannym Rokita kazał wystąpić przed szereg więźniom, którzy odważyli się pójść do jego żony. Zaczął strzelać do nich z pistoletu, a oni biegali po placu apelowym, aż do padnięcia na ziemię. W tym dniu nie pojechaliśmy do pracy, traktory odjechały, a nam kazano stać do czasu, aż ucichło charczenie ostatniego konającego, co nastąpiło około południa. Nie uśmiercił ich od razu, mieli umierać w powolnym konaniu. Rokita w obozie nazwany był „Eichmannem Galicji”.

Obóz ów miał dwa oblicza, gromadził bezpłatnych robotników i był miejscem zagłady. Morderstw dokonywano na pojedynczych osobach oraz masowo – na Żydach przywożonych z getta lwowskiego. Podczas mego pobytu w obozie zorganizowano dwie akcje masowego uśmiercania Żydów. Drugą akcją oglądałem z ukrycia w budynku komendy. Nie wolno mi było go opuścić ani patrzeć przez okna. Taką

decyzję podjął Rokita. Plac, na którym gromadzono przywożonych Żydów, zlokalizowano w odległości około 100 metrów od budynku komendy. Był on podzielony na kilka części i każda z nich odgradzona była płotem z drutu kolczastego. Pierwszy transport ludzi przywieziono jeszcze za dnia, a następne już o zmroku i w nocy. W pierwszym były młode panny żydowskie. Przywieziono je czterema samochodami ciężarowymi. Kilka z nich młodzi esesmani zabrali do swoich kwater, pozostałe czekały do zmroku. O losie tych dziewczyn nikt nic nie wie, poza esesmanami. Plac o zmroku były rzęsiście oświetlone lampami i reflektorami. To właśnie pozwoliło mi zobaczyć, co działo się na poszczególnych placach, jaką procedurę stosowali Niemcy. Do pierwszego placu wchodziłi wszyscy przywiezieni. Tutaj zostawiali wierzchnią odzież, bagaże i przywiezione ze sobą przedmioty. Następnie esesmani krzykiem i biciem szpicrutami zmuszali tych nieszczęśników do przejścia przez dwie bramy na kolejny plac. Tutaj kazano im się rozebrać do naga i bez względu na wiek lub płeć kierowano ich na plac trzeci, ale już przez jedną bramę. W tej części wystawione były kosze, do których Żydzi musieli wrzucać posiadane przy sobie obrączki, pierścionki, kolczyki, zegarki itp. Stąd przez wąską bramkę i po szczegółowej rewizji rąk, uszu, jamy ustnej dokonywanej przez esesmanów, przechodzili do następnego placu, gdzie następowała segregacja nagich ludzi i formowanie pochodów w kierunku piaszczystych wzgórz. Na czele szły dzieci, za nimi kobiety, a na końcu mężczyźni. Akcję mordowania ludzi zakończono o czwartej rano. Zginęło w niej kilkaset osób.

Gdy nastał świt, na placach, przez które przeszli Żydzi, pojawiali się esesmani. Wrzucali do koszy pozostawione rzeczy. Na kolejnym placu, na którym ustawione były kosze na biżuterię, esesmani dokonywali przeglądu każdego skrawka ziemi, szukając złota.

[...] Tak wyglądało widziane moimi oczami „gospodarstwo” Willhausa i Rokity.



*Grupa Romów i Sinti w obozie pracy przymusowej, Bełżec, 1940 r. (IPN)*

# Obozy karne i więzienia

Na okupowanych ziemiach Polski Niemcy wprowadzili normy karne obowiązujące w Trzeciej Rzeszy (m.in. niemiecki kodeks karny, ustawy norymberskie, karne prawo wojenne z 1938 roku). System ten służył utrzymaniu w posłuszeństwie zarówno narodu niemieckiego, jak i przeciwników politycznych, ale także zastraszeniu narodów podbijanych. Cechował się uproszczeniem procedury wymierzania i wykonywania drakońskich kar.

We wrześniu 1939 roku na ziemiach polskich zaczęły działać niemieckie sądy: doraźne (Sondergericht), wojskowe i polowe sądy wojenne, które mogły orzekać karę śmierci. Faktycznie w okresie wrzesień – październik decyzję o skazaniu na karę śmierci, więzienie lub obóz koncentracyjny podejmowało dowództwo Wehrmachtu, grup operacyjnych policji bezpieczeństwa i Gestapo. Te trzy instytucje, we współpracy z władzami lokalnymi, zarządzały także więzieniami. W 1939 roku Einsatzgruppen SS oraz Selbstschutz organizowały obozy.

Funkcjonowały one pod enigmatycznym określeniem „Internierungslager”, które miało ukryć ich faktyczny, eksterminacyjny charakter. Przetrzymano w nich Polaków, ujętych w ramach akcji „politycznego oczyszczenia gruntu”. Większość więźniów stracono w masowych egzekucjach (np. w Piaśnicy), pozostałych osadzono w więzieniach lub zesłano do obozów koncentracyjnych (np. duża grupa duchowieństwa skierowana do Dachau), nielicznych zwolniono. Przeżyły pojedyncze osoby. Większość tych obozów do początków 1940 roku została zlikwidowana lub przekształcona w obozy karne lub koncentracyjne (np. Stutthof).

W miarę porządkowania systemu karno-sądowego powstało więziennictwo związane z formacjami policyjnymi i drugie – z resortem sprawiedliwości. Na ziemiach okupowanych przeważały więzienia podległe wyższemu dowódcy SS i policji (Der Höhere SS und Polizeiführer) poprzez miejscowych dowódców SS i policji (Kommandeur der Sicherheitspolizei und des Sicherheitsdienstes). Takimi więzieniami były np. Pawiak w Warszawie, Montelupich w Krakowie, Zamek w Lublinie. Więzienia te zwykle miały charakter miejsc zagłady.

Na ziemiach wcielonych do Rzeszy więzienia policyjne podlegały okręgowym lub rejencyjnym urządóm Gestapo. Każdy z tych urzędów miał do swojej dyspozycji więzienie centralne (dla całego okręgu lub rejencji). Z więzieniami tymi od 1941 roku łączyły się tzw. karne obozy pracy wychowawczej. Instytucja taka nosiła zwykle nazwę Polizeigefängnis und Arbeitserziehungslager. Okręgowe oraz rejonowe urzędy Gestapo dysponowały też własnymi więzieniami śledczymi, które najczęściej znajdowały się w siedzibie danego urzędu.

Drugim wielkim systemem więziennictwa stanowiły więzienia podlegające Ministerstwu Sprawiedliwości Rzeszy. Osadzone w nich były osoby w trakcie śledztwa oraz skazane na kary pozbawienia wolności. Więzienia te nosiły ogólną nazwę Gerichtsgefängnisse. W wielu więzieniach sądowych utworzono w 1942 roku ośrodki do odbywania kary obozu karnego (Stammlager). Kara ta, połączona z wykonywaniem ciężkiej pracy, odpowiadała karze więzienia ciężkiego. Najcięższe i najdłuższe kary obozu karnego, zwykłego i obostrzonego, były wykonywane w więzieniach ciężkich, m.in. w Fordonie, Koronowie, Rawiczu.

Kolejnymi miejscami uwięzienia były obozy karne i karno-wychowawcze. Przepisy w zakresie prawa pracy dla Polaków zdecydowały o ukierunkowaniu, formie i metodach eksploatacji polskiej siły roboczej. Nabór do pracy dokonywany był przez policję, Gestapo i władze administracyjne, stosujące przy tym terror i przymus. Polacy byli pozbawieni ochrony sądowej, natomiast interes Rzeszy był zabezpieczony przez szczególny system represjonowania robotników przymusowych. O charakterze i miejscu pracy decydowały władze niemieckie, a podstawowym kryterium były aktualne potrzeby Trzeciej Rzeszy, wiele osób znalazło się więc poza miejscem swego zamieszkania. Robotnicy przymusowi byli skoszarowani w tzw. obozach pracy (Arbeitslager). Uchylających się od pracy oraz naruszających drakońskie przepisy obowiązujące polskich robotników przymusowych osadzano w karnych obozach pracy i wychowaw-

czych obozach pracy. Na terytorium okupowanej Polski funkcjonowało około 1750 obozów pracy oraz ponad 40 karnych obozów pracy (Straflager, Arbeitsstraflager, Strafarbeitslager) i wychowawczych obozów pracy (Arbeiterziehungslager (AEL)).

Na szczególną uwagę zasługują, organizowane na mocy zarządzenia H. Himmlera z 28 maja 1941 roku, wychowawcze obozy pracy. Generalnie tworzone je na terenach polskich wcielonych do Rzeszy, na pozostałych terenach ich odpowiednikiem były obozy karne. W obozach tych stosowano surowy reżim obozu karnego z pracą na rzecz takich koncernów jak np. IG Farbenindustrie, Siemens, Hermann Göringwerke. Inicjatorami tworzenia tych obozów byli przeważnie lokalni inspektorzy Sipo i SD. Komendant obozu i jego zastępcy byli funkcjonariuszami Gestapo. Organizacyjnie obozy składały się z dwóch stref. W strefie pracy obowiązywało 12 godzin ciężkiej pracy, a po jej zakończeniu różne bezcelowe prace i ćwiczenia fizyczne. W strefie karnej robotnicy byli nie tylko obciążeni ciężką pracą, ale także poddawani różnorodnym torturom. W obozach tych stosowano często tzw. zaostrome przesłuchanie, polegające na dostarczaniu jako pożywienia tylko chleba i wody, umieszczaniu więźnia w ciemnościach, wykonywaniu wyczerpujących ćwiczeń fizycznych oraz wymierzaniu mu 20 i więcej batów. Zwolnienie z obozu następowało po odbyciu kary. W przypadku uznania przez obozowego funkcjonariusza Gestapo, iż kara nie odniosła skutku, robotników kierowano do obozów koncentracyjnych.

Oprócz AEL podlegających Gestapo, od 1941 roku pojedyncze tego typu placówki zaczęły powstawać bezpośrednio przy firmach, tendencja ta nasiliła się od wiosny 1944. Byli tu więźniowie prawie wyłącznie zagraniczni robotnicy przymusowi, którzy ze względu na „bumelanctwo” mieli być zatrzymani do pracy pod nadzorem. O skierowaniach do tych obozów miało decydować Gestapo, w praktyce dysponowała nimi jednak sama firma. To samo dotyczy nadzoru nad obozami, który przejmowały zarówno miejscowe władze policyjne, jak również straż zakładowa firmy. Określenie wychowawczy obóz pracy (AEL) nie było jednolicie uregulowane. Podczas gdy dla AEL podlegających Gestapo ustalone było pojęcie „wychowawczy obóz pracy”, dla AEL przy firmach istniały różne określenia urzędowe: „obóz wychowawczy”, „obóz specjalny”, „obóz specjalny Gestapo”, „karny obóz wychowawczy Gestapo”, „obóz karny”, „karny obóz policyjny”, „wychowawczy obóz pracy dla elementów asocjalnych”, „więzienny obóz pracy”.

Osobną, specyficzną grupą obozów i występującą wyłącznie na terenie prowincji Oberschlesien były Polenlagry. Do ich organizacji przystąpiono w 1942 roku. Więziono w nich bezterminowo miejscową ludność, niezależnie od wieku i płci. W obozach były osadzone rodziny polskie, które władze niemieckie uznały za element niepożądany lub zagrażający interesom Rzeszy. Byli to Polacy znani ze swego antyhitlerowskiego nastawienia, rodziny działaczy na rzecz polskości Śląska oraz ci, którzy odmówili podpisania niemieckiej listy narodowościowej (Volksliste). Obozy mieściły się przeważnie w starych halach fabrycznych i pozbawione były podstawowych urządzeń sanitarnych. Pobyt w Polenlagrze był z reguły bezterminowy. Osoby dorosłe pracowały w śląskich zakładach przemysłowych i w rolnictwie. Obozy te charakteryzował duży odsetek więzionych w nich dzieci i małoletnich (sięgający 40% ogólnego stanu więźniów), przymusowa praca małoletnich oraz wysoka śmiertelność.

Terminem „Polenlager” nazywano niekiedy również znajdujące się w różnych częściach Niemiec obozy mieszkalne zamieszkałe przez polskich robotników przymusowych. Obozów tych nie należy jednak mylić i utożsamiać z wyżej omówionymi obozami Polenlager w Oberschlesien.

**JANINA MUSZYŃSKA**

# **Wspomnienia z pobytu na Gestapo i w więzieniu białostockim w 1943 roku**

*Autorka pochodziła z Białegostoku. W czasie okupacji niemieckiej jej rodzina związana była z ruchem oporu. W lipcu 1943 r. część rodziny została aresztowana za ukrywanie uciekiniera z białostockiego getta. Dziewięcioletnią Janinę osadzono w jednej celi z matką i trzyletnią siostrą Eugenią. W dniu 28 września 1943 r. jej rodzice zostali rozstrzelani w Grabówce k. Białegostoku. Osieroczone siostry przebywały w więzieniu do 6 października 1943 r.*

---

Urodziłam się dnia 17 maja 1934 roku w Białymstoku, a 7 listopada 1940 roku na świat przyszła moja jedyna siostra – Eugenia Mikitowicz. Nasi rodzice, Włodzimierz i Zinaida Mikitowiczowie, w 1936 roku wybudowali dom jednorodzinny w Białymstoku, przy ulicy Poleskiej 20. Posesja rodziców graniczyła z posesją Prochora Mikitowicza, naszego dziadka ze strony ojca. Zamieszkiwała tam pięcioosobowa rodzina ojca. Rodzice mamy – Zofia i Józef Zubrzyccy-Domanowscy – mieszkali o dwie ulice dalej, przy ulicy Topolowej 8.

Do wybuchu drugiej wojny światowej żyliśmy spokojnie. W 1939 roku miałam pięć lat, kochających rodziców, dziadków i pozostałą rodzinę.

Cała rodzina ojca działała w ruchu oporu. Od 1942 roku do lipca 1943 roku ukrywali partyzanta, Żyda z getta białostockiego (nie znam jego nazwiska), który brał udział w akcjach zbrojnych w Białymstoku. Jedna miała miejsce w dzielnicy Białystoczek, druga przy przejeździe kolejowym przy ulicy Wasilkowskiej. W obu tych akcjach zostali zabici Niemcy.

W naszym mieszkaniu, w sypialni pod podłogą, był schowek – wykop, prowadzący przez ogród do domu dziadka. Schowek był przygotowany dla ukrywającego się Żyda i wujka Mikołaja Mikitowicza.

Około 10 lipca 1943 roku, w godzinach wieczornych, Gestapo okrążyło dom dziadka. Wujek Mikołaj i ukrywający się u niego Żyd przez podkop wydostali się poza obręb obławy i zaczęli uciekać w stronę torów kolejowych. Doszło do strzelaniny. Udało im się jednak zbiec przez pola w kierunku wsi Leńce.

W następstwie tego wydarzenia nocą Gestapo aresztowało dziadka Prochora Mikitowicza i jego córkę Lubę Mikitowicz, która była w ósmym miesiącu ciąży. Przewieziono ich na przesłuchanie do gmachu Gestapo przy ulicy Sienkiewicza 15 w Białymstoku, osadzono w więzieniu przy szosie Południowej, a później rozstrzelano w miejscu straceń w Bacieczkach koło Białegostoku. Żyd – partyzant zginął w akcji pod Wizną, między Jeżewem a Łomżą. Mikołaj Mikitowicz, ranny, zginął we wsi Leńce, wydany Niemcom przez wieśniaka w zamian za nagrodę w wysokości 500 marek.

Po kilku dniach od aresztowania dziadka i cioci, 21 lipca 1943 roku, o godzinie 23, Gestapo załomotało do drzwi naszego domu. Następnie weszło trzech esesmanów z psem wilczurem i tłumacz. Po przeprowadzeniu rewizji i zdemolowaniu mieszkania wyprowadzili nas z domu na podwórko. W tym czasie jeszcze raz okrążyli opustoszały dom dziadka, gdyż spodziewali się znaleźć tam ukrytych partyzantów. Mojej rodzinie kazano odwrócić się plecami i uklęknąć – wymierzono w nas broń i za chwilę mieliśmy zostać rozstrzelani. Mama trzymała w ramionach moją młodszą siostrę. Po raz pierwszy śmierć zajrzała w oczy dziewięcioletniego dziecka. Bałam się panicznie. W pewnym momencie esesmani zmienili zdanie i zrezygnowali z egzekucji. W domu dziadka nie było nikogo. To nas uratowało. Bijąc, kazali nam wstać i ruszać przed siebie. Zrozpaczona mama zaczęła błagać na kolanach, aby mnie i siostrę przekazać dziadkom, jej rodzicom, którzy mieszkają o dwie ulice dalej. Kategoriecznie odmówili uderzywszy mamę w twarz pistoletem. Poszczuli ją psem, który jednak nie zrobił jej krzywdy – skoczył, zaskowytał, ale nie zaatakował, za co został skarcony szpicrutą. Byłam przerażona. Mama miała twarz zalaną krwią, która poplamiała żakiet, rozbite oko. W takim stanie, pod bronią prowadzono nas wzdłuż torów kolejowych, aż do mostu prowadzącego do dzielnicy Białystoczek. W tym miejscu, tuż za mostkiem, po lewej stronie ulicy, pod rozłożystym drzewem, pod którym nieraz bawiłyśmy się z pasierbicą mieszkającego w pobliżu Piotra Kosobuka, stał odkryty samochód. W samochodzie leżał Piotr Kosobuk – skatowany i zakuty w kajdanki tak jak mój ojciec. Skatowali go, ponieważ uciekając, strzelał do nich.

### **Pobyt na gestapo w tzw. Piętnastce**

Natychmiast przewieziono nas do siedziby Gestapo pod tzw. Piętnastkę przy ulicy Sienkiewicza 15. Mężczyzn zabrano, rzucono pod mur i od tej pory ślad po nich zaginął. Do końca nie wiedzieliśmy jaki los ich spotkał.

Mamę i nas osadzono w parterowym budynku, w pomieszczeniu, w którym było już wiele kobiet. Było brudno, oblaży nas pchły i inne robactwo, było duszno, panował fetor, nie było łóżek. Następnego dnia mamę zabrano na przesłuchanie. Wróciła pobita, bez sił, nie była w stanie nawet płakać. Tak było przez 2-3 dni. Czwartego dnia przewieziono nas do białostockiego więzienia. Poprowadzono przez okropne trzy ciężkie metalowe bramy. Byłam sparaliżowana strachem spotęgowanym wyglądem mamy, która



miała spuchniętą, granatową twarz i podbite prawe oko. Osadzono nas w głównym budynku po prawej stronie, w celi na parterze oddziału kobiecego.

### **Pobyt w więzieniu białostockim**

W celi znajdowało się dziesięć łóżek. Osiem z nich było już zajętych przez więźniarki. Mama spała z siostrą. Ja razem z nimi, mimo że miałam swoje łóżko pod oknem. I tu zaczęła się nasza gehenna. Jedzenie było ohydne: kromka gliniastego czarnego chleba, zupa z liści dębowych z pływającymi liszczkami. Wymiotowałam, nie mogłam jeść, bolał mnie brzuch. Zrywałam się w nocy, uciekałam, tylko niestety nie było dokąd – zakratowane okna, zamknięte drzwi. Rano mamę zabierano na przesłuchania. Wracła okaleczona, bez sił. W okresie pobytu w więzieniu dostałyśmy od dziadków dwie paczki żywnościowe z chlebem, czosnkiem, cebulą oraz smalcem. To było najsmaczniejsze jedzenie!

Początkowo zezwolono dzieciom (było nas kilkoro) na godzinny spacer za głównym budynkiem więzienia, przy schronie, pralni i kuchni. Na całe życie zapamiętałam każdy szczegół z więziennego podwórka.

W sierpniu lub wrześniu 1943 roku w więzieniu został osadzony ksiądz dziekan z fary w Białymstoku. W czasie spacerów widywałyśmy go, modlił się i nas, dzieci błogosławił z daleka. Do dzisiaj pamiętam jego sylwetkę i dobrą twarz.

Na całe życie utkwiły mi w pamięci codzienne modlitwy więźniów. Otóż w godzinach wieczornych na dany sygnał więzienie białostockie rozbrzmiewało pieśniami: „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, „Serdeczna Matko”, „Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud”.

To było wspaniałe – zjednoczenie się wszystkich więźniów w pieśni. Do dzisiaj, kiedy w kościele wierni śpiewają „Słuchaj Jezu”, nie mogę opanować wspomnień i łez. Tę pieśń błagalną śpiewałam razem z mamą, której potem brakowało nam w dzieciństwie, młodości i całym życiu.

W mojej pamięci zachowało się również zdarzenie, które miało miejsce przy dezynfekcji cel kobiecych. W sierpniu wszystkie więźniarki zostały przemieszczone na pierwsze piętro oddziału, by odkazić pomieszczenia na parterze. Dezynfekcję przeprowadzono podpaloną siarką, która dymiła, a dym unosił się ku górze na pierwsze piętro. Wtedy stało się coś strasznego. Zaczęłyśmy się dusić. Nie pomagały krzyki, walenie w drzwi, gdyż strażniczki były poza oddziałem. Z tego, co się działo po otwarciu drzwi, niewiele pamiętam, znalazłyśmy się potem z siostrą w więziennym szpitalu.

Wśród strażników był jeden, szczególnie nienawidzony przez więźniów – Polak Jarząbek, pękaty mały karzeł, bardzo zły człowiek. Chodził z pękiem dużych kluczy, którymi bił gdzie popadnie każdego, kto akurat znalazł się przy nim. Dzieci nienawidził szczególnie, wyzywał nas i bił. Z relacji dziadków wiem, że dosięgła go zasłużona kara – po wyzwoleniu został osądzony i ukarany.

Następnego szoku doznałam w sierpniu lub we wrześniu 1943 roku. Na terenie więzienia została zorganizowana ucieczka kilku więźniów. W tej akcji zbiegom pomagał strażnik – Ukraińiec. Jednym ze zbiegów był Stanisław Kosobuk, który tak jak moi rodzice związany był z ruchem oporu. Dwóch więźniów uciekło, a pan Stanisław Kosobuk został schwytany i za próbę ucieczki wywieziony do Oświęcimia, gdzie przebywał aż do wyzwolenia. Wrócił do Białegostoku po wojnie.

Dzień po ucieczce, o świcie, coś złego zaczęło się dziać na dziedzińcu więziennym przed głównym budynkiem. Ustawiono tam szubienicę. Byłyśmy zmuszone obejrzeć egzekucję Ukraińca, który pomagał w ucieczce. Przyprawiono go na plac zakutego w kajdanki. Postawiono na podeście pod szubienicą, a esesman nogą pchnął podest. Skazaniec zawisł na sznurze, ciało drgało, język zwisał aż na brodę. Dla mnie, dziewięcioletniego dziecka, to był szok. Zobaczyłam na własne oczy, jak odbierają życie człowiekowi, trzęsłam się z przerażenia. W dzień i w nocy widziałam tego wisielca. Pamiętam to bardzo dokładnie, mimo że od tamtej chwili minęły 62 lata.

Za głównym budynkiem więziennym, za wysokim murem, był ogród – rzekomo warzywniak. Tam nocą mordowano ludzi kalekich, chorych psychicznie. Po tylu latach słyszę ich jęki i wołanie o pomoc. Wyli jak zwierzęta.

Którejś nocy przywieziono do więzienia parę narzeczonych. Rozstrzelano ich nocą, przedtem jednak torturowano tuż przy drzwiach wejściowych na oddział kobiecy. Na porannym spacerze widziałam wielką

każę krwi tylko lekko przysypaną piaskiem. To był wstrząsający widok, tym bardziej, że nocą słyszałyśmy, co się działo. Z dnia na dzień byłam coraz bardziej przerażona. Dziecięca intuicja podpowiadała mi, że lada chwila stanie się z nami coś złego. Czułam zbliżającą się tragedię. Bałam się potwornie śmierci, tak bardzo pragnęłam żyć, bo przecież ja miałam 9 lat, a moja siostra miała 3 lata!

### **I stało się!**

Nadszedł tragiczny dzień 28 września 1943 roku. O godzinie 2 na oddziale zaczęło się coś dziać. Więźniarki doskonale wiedziały, co to znaczy – zaczynała się selekcja na śmierć!

Drzwi celi otworzyły się z hukiem, weszli esesmani i tłumacz. Zaczęli wyczytywać z listy nazwiska ludzi do rozstrzelania i kolejno wyprowadzać wyczytanych na korytarz. Nie pamiętam, ile kobiet zabrano z naszej celi. Zapamiętałam, że pierwszą kobietą była Rosjanka z 8-9 letnim chłopcem, który ukrył się pod łóżkiem. Kiedy matka była już na korytarzu, oprawcy zorientowali się, że brakuje chłopca. Wyciągnęli go brutalnie spod łóżka i zabrali. Następne nazwisko i imię należały do mamy! Zamarło mi serce! Biedna zaczęła rozpaczać, rwać włosy, bić głową w mur celi. Wiedziałam, że to już koniec naszego istnienia. Nagle tłumacz wrzasnął, że wychodzi tylko ona, a córki pozostają. Mama rozpaczła, nie wiedząc, co chcą zrobić z nami. Jaki los nas obie spotka, kiedy nas uśmiercą. Nie rozumiałam, dlaczego tak się stało, dlaczego nie idziemy razem na śmierć?

Rozstania z mamą nie zapomnę nigdy, do końca moich dni. Po raz ostatni jeszcze zobaczyłam ją przez zakratowane okno celi, szła pierwsza z dumnie podniesioną głową, z rozwianymi czarnymi włosami, w białej bluzeczce, w spódniczce z biało-czarnej pepitki, bez pantofli, w białych skarpetkach. Wiedziała doskonale, że idzie na śmierć. Boże mój! – co działo się w jej matczynym sercu? Za bramą ładowali skazańców do samochodu jak zwierzęta i po 30 minutach byli już na miejscu straceń w Grabówce. Wypędzili ich z samochodów nad wykopaną wielką mogiłę i z zimną krwią rozstrzelali z karabinów maszynowych. Według relacji okolicznych mieszkańców Grabówki, choć słychać było jęki jeszcze żyjących, rannych ludzi, Niemcy przysypali stos ciał ludzkich wapnem i ziemią, która jeszcze się ruszała. Następnie kilkakrotnie przejechali samochodami po mogile. Nasi rodzice w chwili śmierci mieli – mama 33 lata, ojciec 35 lat.

Po śmierci matki zostałyśmy z trzyletnią siostrą w więzieniu same. Zastępowałam jej mamę, jak tylko umiałam, pomagały mi więźniarki. Moja siostra niczego nie rozumiała z tego, co się stało, tylko chciała do mamusi! Nic nie pamięta z tego, co działo się w więzieniu. Nie wiedziałam, co z nami zrobią hitlerowcy, czekałam ze strachem na dzień, kiedy nas wyprowadzą na dziedziniec i zabiją jak innych.

W dniu 6 października 1943 roku przed południem wyprowadzono nas obie z celi, myślałam, że to koniec! Nawet nie płakałam. Poprowadzono nas przez trzy żelazne wielkie bramy więzienne – nie wiedziałam, co się dzieje. Zdumionymi oczami zobaczyłam babcię i dziadka. Sądziłam, że to tylko widzenie, że przyszli z nami się pożegnać przed śmiercią.

Okazało się, że jesteśmy wolne! Ocalałyśmy! Ale na myśl o rodzicach, szczególnie o mamie, która była nam tak bliska, płakałam. Zdawałam sobie sprawę, że już nigdy ich nie zobaczę. Zawalił się mój dziecienny świat, na moje barki zważyło się tyle okrutnych spraw, widoków, przeżyć wstrząsających nawet dla dorosłych, a ja miałam tylko dziewięć lat. Dziadkowie wzięli nas pod swoje opiekuńcze skrzydła. Przeżyli tragedię – stracili córkę, zięcia i syna.

Po wypuszczeniu z więzienia, gestapo nie zostawiło nas w spokoju. Co kilka dni Niemcy pojawiali się w domu dziadków i sprawdzali, czy nie zostałyśmy gdzieś ukryte czy wywiezione. Dalej byłyśmy ich zakładniczkami. Nie wolno nam było oddalać się od dziadków. To był warunek pozostawienia nas przy życiu.

Uraz psychiczny po przeżyciach wojennych spowodował u mnie rozwój różnych chorób, czym przysparzałam dziadkom wielu zmartwień. Męczyły mnie koszmary nocne – krzyczałam, próbowałam gdzieś uciekać. Poza tym, po pobycie w więzieniu, moje ciało obsypały czyraki. Bardzo cierpiałam, mogłam leżeć tylko na brzuchu. Z bólu skomlałam jak psiak. Były trudności z leczeniem, o lekarzy było trudno, dlatego dziadkowie sprowadzali znaną i skuteczną znachorkę, ale nie była w stanie mi pomóc. Blizny po czyrakach zostały na całe życie, mam je do dzisiaj.

Po wyjściu z więzienia dowiedziałam się prawdy, dlaczego hitlerowcy nas nie rozstrzelali. Życie ocalili nam dziadkowie Józef i Zofia Zubrzyccy-Domanowscy. Szukali wszelkich sposobów, aby uratować nas i naszych rodziców. Niestety zdołali ocalić życie tylko nam, dzieciom. Pomogła w tym mieszkająca niedaleko dziadków pani Leonia Makarewicz, która współpracowała z Niemcami, ale jednocześnie pomagała Polakom. Była zaprzyjaźniona z osobami, które zgodziły się pomóc w ocaleniu, ale tylko dzieci. Rodzice za swoją działalność przeciwko Trzeciej Rzeszy musieli, niestety, zapłacić życiem. Gestapowcy nie wypuścili nas bezinteresownie. Dziadkowie stracili dorobek swego życia. Niemcy byli pazerni, wyłudziło wszystko, co tylko było możliwe.

Po tragedii pozostała mogiła w Grabówce koło Białegostoku. W 1946 lub 1947 roku dziadkowie uczestniczyli w ekshumacji zwłok. Mnie nie zabrano na odkrycie grobów. Dziadkowie oszczędzili mi szoku, jaki przeżyłabym, gdybym zobaczyła to, co oni zobaczyli.

Dzięki dziadkowi wiemy, w której mogile znajduje się mama. Otóż dziadek miał znajomego rolnika z Grabówki, który wiedział, w jakim dniu odbędzie się egzekucja rodziców. Gdy oprawcy odjechali z miejsca zbrodni, zaznaczył brzozę przy mogile i zawiadomił dziadka.

Miejsce zbrodni odwiedzaliśmy często, jeździliśmy tam z dziadkiem rowerami. To miejsce napawa mnie rozpaczą i bezsilnością. Ilekroć tam jestem, zawsze płacz rozrywa mi serce.

W 55 rocznicę śmierci rodziców byliśmy w Białymstoku, pojechaliśmy specjalnie na ich grób. Zrobiliśmy dużo zdjęć. Ponadto spełniłam potrzebę serca, po 55 latach otrzymałam pozwolenie na wejście do więzienia, do celi, w której siedzieliśmy z mamą. Na nowo ożyły tragiczne wspomnienia, nie mogłam opanować wzruszenia, łęku i łez. Tam po raz ostatni widziałam mamę.



*Janina Muszyńska  
z matką, 1936 r.  
(AFPNP)*



Więźniowie w obozie karnym Służby Budowlanej, Kraków, 1942-1944 r. (IPN)



Obóz karny policji bezpieczeństwa dla dzieci i młodzieży polskiej w Łodzi – apel na oddziale dziewczęcym. W drzwiach ich „wychowawczynie”, b.d. (MTNwŁ)

**ANTONI GÓRSKI**

# **Niewolnicza praca w Niemczech**

*Autor w 1942 r. został wywieziony z okolic Krzemieńca do pracy przymusowej w zakładach naprawy taboru kolejowego w Bremen-Hemelingen. W chwili opisywanych wydarzeń miał około 23 lat.*

---

W połowie grudnia 1944 roku zostałem wezwany do stawienia się w bremeńskiej komendzie policji. Pracowałem wówczas na nocnej zmianie. Starannie się umyłem, ubrałem jak najlepiej i pojechałem. U odpowiedniego urzędnika zostałem poinformowany, że jestem oskarżony o samowolne wyjście z obozu bez zezwolenia i handel kartkami. Było to zgodne z prawdą. Istotnie, mieszkałem w obozie zamkniętym, chronionym przez straż przemysłową, bez prawa samowolnego wychodzenia do miasta. [...]

Zostałem wyprowadzony na podwórze do drewnianego baraku i tam osadzony w celi. [...] Była to cela o powierzchni około dziesięciu metrów kwadratowych, w prowizorycznym drewnianym baraku. Połowę powierzchni zajmowała drewniana prycza z desek, podniesiona na około 70 centymetrów nad podłogę. Poza tym w celi nie było żadnych innych urządzeń. Do ubikacji wyprowadzano na wezwanie. Dwa razy dziennie przynoszono jakąś nawet znośną zupę. Spać trzeba było na drewnianej pryczy, przykrywając się własnym odzieniem. Wyglądało to jak wredna poczekalnia na jakimś zabitym deskami przystanku kolejowym. Siedziało nas tam czterech – dwóch Polaków i dwóch Rosjan.

Spędziłem tam pełne siedem dni. Szóstego dnia przyszedł facet i na korytarzu odczytał mój wyrok. Stwierdzono w nim, że dokonałem nielegalnego zakupu, co zostało potraktowane jako handlowa spekulacja, i zostałem skazany na 6 tygodni karnego obozu w Fardze (Arbeitserziehungslager Bremen-Farge – obóz pracy wychowawczej).

Słowo Farga brzmiało złowieszczo i było mi znane prawie od początku mego pobytu w Bremie. Dwukrotnie dane mi było widzieć wracających z tego obozu skazańców. To były chodzące kościotrupy. Człowiek wracający z tego obozu ważył z zasady poniżej 40 kilogramów.

Wieziono nas tam w sześciuosobowym konwoju, skutych parami. Farga jest małą miejscowością tuż nad Wezerą, oddaloną około 40 kilometrów na północ od centrum Bremy. Na czas konwoju oddano nam dokumenty i pieniądze. Udało mi się wyjąć pieniądze z portfela i wsadzić do skarpetki. W portfelu zostawiłem tylko 100 marek. Skuto mnie z rosyjskim jeńcem, młodym chłopcem zatrudnionym przy obsłudze artylerii przeciwlotniczej. To był bardzo rzetelny chłopak. Spędziłem z nim w tym karnym lagrze pełne 6 tygodni. Jemu nie powiedziano, na jak długo został skazany, i takich bezterminowych skazańców była w tym lagrze zdecydowana większość.

Późnym popołudniem przyjechalśmy do obozu ustawionego w pustym polu, w odległości co najmniej dwóch kilometrów od najbliższego osiedla. Musieliśmy spędzić tę noc w pralni, na betonie, szczelnie do siebie przytuleni, bo pralnia była nieogrzewana, a było to ponad tydzień przed Bożym Narodzeniem. Wieczorem udało mi się skontaktować z jednym Rosjaninem z naszej fabryki, odbywającym tu karę od trzech tygodni. Przerzuciłem mu swoją marynarkę.

Rano zaczęła się istna golgota. Najpierw kazano nam się rozebrać do naga i oddać nasze rzeczy do odwszenia. Nas czekała kąpiel, ale nie śpieszono się. Kiedy wreszcie puszczono wodę, to raz była piekielnie gorąca, raz letnia, a później lodowato zimna. Taki cyrk z tym myciem wodą, ale bez mydła, trwał prawie godzinę, to znaczy tak długo, jak długo trwał proces zabijania robactwa w naszej odzieży. Później nakazano nam wziąć swoją odzież pod pachę i przejść nago do drugiego baraku, do magazynu odzieżowego, gdzie trzeba było swoją odzież oddać do depozytu i pobrać odzież obozową. Na korytarzu drugiego baraku, z bramą na zewnątrz na oścież otwartą, trzeba było stanąć w kolejce po wymianę tej odzieży, cały czas trzymając tę własną, odwszoną w rękę, bez przykrywania się, bo zaraz był taki, co za niesubordynację dawał w mordę.

Wymiana odzieży trwała średnio pół godziny na jednego aresztanta. Dostałem jakieś zielone spodnie, chyba po jakimś jeńcu, taką bieliznę i pasiastą lagrową marynarkę, niby podwójną, ale bez ocieplenia. Wolno było zatrzymać własne buty, bo w lagrze obuwia zabrakło. Jeszcze był osobisty wywiad u Lagerführera, ogromnie wysokiego draba w czarnym mundurze SS, który za niezadawalającą odpowiedź i za nieprzystającą mu do gustu posturę więźnia od razu bił po pysku.

Po szczegółowej rejestracji oświadczono nam, że na okres pobytu w obozie zawieszają się identyfikację więźniów nazwiskami, wprowadzając wyłącznie system numeracji. Ja uzyskałem numer 12804 i tylko pod tym numerem byłem w tym obozie przez całe sześć tygodni znany. W celu zabezpieczenia się przed ucieczką więźniów z obozu, oznakowano każdego nowego aresztanta przez wycięcie włosów na głowie, aż do skóry, pasmem o szerokości pięciu centymetrów przez cały środek czupryny, od czoła do końca

potylicy. Około godziny 16 wpuszczono nas do baraku mieszkalnego, ale dopiero o godzinie 18, jak wszyscy wrócili z pracy, dano nam zupy. Byłem po tygodniowym pobycie w kryminale śledczym Bremy, gdzie byle jak, ale karmiono, i drugi dzień w podróży bez posiłku. Podana zupa z brukwi tak śmierdziała, że w tym pierwszym dniu lagrowego karmienia jej nie tknąłem.

Barak mieszkalny miał szeroki na prawie dwa i pół metra korytarz i duże, co najmniej czterdziestometrowej powierzchni, sale. W tych salach stały dość szerokie, trzypiętrowe, drewniane łóżka z materacami, ale bez jakiegokolwiek pościeli. Tych łóżek było chyba szesnaście. Na środku sali stał żelazny piecyk o średnicy około 50 i wysokości 150 centymetrów. W piecu paliło się dziennie tyle, ile paliwa jego mieszkańcy zdołali w miejscu swojej pracy zorganizować. Paliło się więc zwykle jakąś godzinę, a czasami i krócej. [...]

Barak na noc był szczelnie zamykany, a na korytarzu wystawiano kilka cebrzyków do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Rano więcej tej brei płynęło obok cebrzyków niż było w cebrzykach. Do czyszczenia korytarzy zatrudniano „dochodiagów”, to jest takich więźniów, którzy nie mieli już siły wyjść do pracy i dożywali swoich ostatnich dni bez wychodzenia poza lager.

Dzień rozpoczynał się o 5 rano pobudką. Piętnaście minut później, ustawieni w trójszeregu przed barakiem, byliśmy powiadamiani odczytanym rozkazem, do jakiej pracy w tym dniu każdy z nas został przydzielony. Wywołane numery wychodziły z trójszeregu, tworząc brygadę. Następnie udawaliśmy się po posiłek. Podawano nam niecały litr gotowanej brukwi na wodzie bez tłuszczu i bez żadnych innych warzywnych dodatków. Po tym śniadaniu, trwającym kilka minut, brygada pod nadzorem esesmana wyruszała do roboty.

Przez pierwsze bodajże pięć lub sześć dni byłem kierowany w czteroosobowej brygadzie do wyładunku węgla ze statków w porcie Blumenthal odległym od Fargi nie więcej jak pięć kilometrów. Była to bardzo ciężka, wręcz katorżnicza praca. Wprowadzano nas na statek do ładowni zapełnionej węglem – mieliśmy usprawnić, a raczej przyspieszyć mechaniczny wyładunek. Ładownia miała wymiary coś około osiem na osiem metrów przy niewiele mniejszej głębokości. [...]

W następnym tygodniu włączono mnie do stuosobowego komanda, które było zatrudnione przy budowie wyrzutni raketowej V-2. Na tej budowie pozostałem do końca mego pobytu w Fardze. Budowa wyrzutni była zlokalizowana w lesie, co najmniej dziesięć kilometrów od naszego obozu. Cała stuosobowa kolumna drałowała na piechotę chyba trzy kilometry do stacji kolejowej, tam wsiadaliśmy do specjalnie dla nas rezerwowanego wagonu, jechaliśmy dwa przystanki i znowu pieszo co najmniej trzy kilometry do lasu, na budowę wyrzutni. Cała podróż w jedną stronę trwała około półtorej godziny.

Pochód otwierał jeden ze strażników, tuż za nim czterech więźniów niosło na dwóch drążkach skrzynię z obiadowym prowiantem. Był tam czarny chleb, po dwie kromki dwucentymetrowej grubości na osobę, margaryna po 20 gram na łebka i chyba trzy lub cztery kilogramy kawy zbożowej, z której w stulitrowym kotle przygotowywano nam gorący posiłek. W trakcie półgodzinnej przerwy obiadowej trzeba było dorwać się do kotła z czarną kawą i mieć na podorędziu na tę kawę jakąś puszkę po konserwie. Chleb z margaryną był gwarantowany.

Mimo uciążliwego transportu praca na tej budowie miała swoje zalety, bo w stuosobowej grupie można było markować szufłowaniem łopatą nawet tuż pod boki strażnika. Były też i wady. Na budowie oprócz więźniów pracowali włoscy jeńcy z tak zwanej grupy „Badoglio” i niewielka grupa Niemców. Obóz był strzeżony, ale las stwarzał pokusę ucieczki. W trakcie mojej ponad trzydziestodniowej pracy na tej budowie ucieczki były organizowane czterokrotnie. Jeden raz więzień poprosił o zezwolenie na pójście do rowu za potrzebą i z tego rowu zaczął wiać. Zauważono to szybko. On, głupiec, zamiast biec w głąb lasu, wybiegł na bezleśny pagórek. Strażnicy z upodobaniem rozpoczęli strzelanie jak do dzikiego zwierza. Był niedaleko, może 100 metrów. Został zabity już za piątym lub szóstym strzałem. Inny więzień, gdy na próbie ucieczki został zauważony i wezwany krzykiem do powrotu, zrezygnował i zawrócił. Został już w lesie skatowany, a w lagrze osadzony na tydzień w bunkrze. W dwóch pozostałych przypadkach ucieczka, przynajmniej na tym obozowo-budowlanym etapie, udała się.

[...] Pewnego dnia rano poczułem, że mam gorączkę. Zgłosiłem to strażnikowi, który nie przyjął mego zgłoszenia, twierdząc, że do lekarza należało się zgłosić wieczorem. Gdy powtórzyłem, że jestem chory, otrzymałem cios w szczękę i zwałem się na śnieg. Poderwałem się szybko, zdając sobie sprawę, czym

może grozić dalsze chorowanie. Strażnik nie ustąpił. Nakazał mnie, jako jednemu z czterech, niesienie skrzyni z żywnością. Ta kara mnie uratowała. Trzej pozostali nieśli na swoich ramionach nie tylko skrzynię, ale i mnie uczepionego rękami drążków. Zdawałem sobie sprawę z zagrożenia, jakim była choroba. W tym obozie, w co najmniej dziewięciu przypadkach na dziesięć, oznaczało to koniec. [...]

Narzuciłem sobie taką psychiczną dyscyplinę, na jaką było mnie wówczas stać. A stać było na wiele, bo przecież miałem niespełna 23 lata. Oprócz gorączki związanej z grypą, pojawiła się biegunka. Nie mogłem niczego jeść, bo nawet mały kawałek chleba czy jeden haust zupy wywoływał wymuszone wypróżnianie. To było groźne. Jeden z Rosjan poradził, bym dorwał się do fusów po zbożowej kawie. [...] Tymi fusami żywiłem się trzy dni i z choroby wyulałem. Moja przewaga nad większością innych więźniów polegała na tym, że ja wiedziałem na jaki okres zostałem skazany i codziennie mogłem sobie te dni odliczać.

Wreszcie nadszedł ostatni dzień i na rannym apelu ogłoszono, że numer 12804 idzie dzisiaj do domu. Do pracy nie pojechałem, ale też z rana do domu nie puścili. Zagnano mnie wraz z poruszającymi się jeszcze na nogach „dochodiagami” do wybrania z ogaconych wykopów brukwi. Był to wykop dość duży, na kilkadziesiąt ton. Mieliśmy oczyszczać każdą brukiew z osobna z ziemi, ładować do koszy i wynosić do samochodu. Praca nie ciężka, ale psychicznie trudna do wytrzymania, bo jak można coś takiego nosić, oczyszczać i przy okazji nie ugryźć. Strażnik groźnie pokrzykiwał, ale oni krzyčeli od rana do nocy. Jednego przyuważył, wywołał z wykopu, dobrał jedną z większych brukwi, wsadził złapanemu w zęby i kazał tak na bacność, z tą brukwią w zębach stać. Nie odstraszało to innych, już na wpół zagłodzonych, nie odstraszyło i mnie. Zostałem złapany na podgryzaniu brukwi i również mnie między zęby dużą brukiew wsadzono. Stałem z tą brukwią w zębach prawie godzinę i była to jedna z paskudniejszych tortur, jakie w życiu przeżyłem.

Tego dnia po południu oddano mi moje dokumenty, moją odzież i odwieziono na stację kolejową. Gdy przybyłem na dworzec główny w Bremie, poszedłem się zważyć. Ważyłem 38 kilogramów, co oznaczało, że w tym karnym lagrze w sześć tygodni straciłem 32 kilogramy, to znaczy prawie 46% mojej normalnej wagi. W pobliżu dworca była niewielka jadłodajnia, gdzie serwowano czasami bezkartkowe dania. Zaszedłem tam. Zamówiłem takie danie. Przyniesiono zupę z brukwi. Spróbowałem i mimo głodu nie przeszła mi przez gardło.



Więźniowie przy pracy na posesji zajętej przez gestapo, Bydgoszcz, sierpień 1942 r. (IPN)





*Nieletni więźniowie obozu karnego policji bezpieczeństwa dla dzieci i młodzieży polskiej w Łodzi w warsztacie, po grudniu 1942 r. (MTNwŁ)*



*Komendant obozu karnego policji bezpieczeństwa dla dzieci i młodzieży polskiej w Łodzi, Sturmbannführer SS Karl Ehrlich, dokonuje przeglądu nowo przybyłych dzieci, b.d. (MTNwŁ)*

# Roboty przymusowe

Jednym z głównych celów polityki Trzeciej Rzeszy było włączenie zdobytych terytoriów w strukturę gospodarczą Niemiec i maksymalne ich wykorzystanie. Planowano zatrudnić jak największą liczbę Polaków do pracy na rzecz rozwoju potęgi gospodarczej Niemiec. Robotnicy zagraniczni mieli zastąpić powołanych do wojska obywateli niemieckich oraz cudzoziemskich robotników sezonowych, zatrudnianych powszechnie w Niemczech od końca XIX wieku. Narzędziem do realizacji tego zadania miał być system sprawnie działających urzędów pracy. Już w trzy dni po napaści na Polskę Niemcy uruchomili na zajętych terytoriach pierwsze Arbeitsamty (urzędy pracy). Od października 1939 roku na terenach okupowanej Polski funkcjonowała gęsta sieć tych urzędów.

Przymusowe deportacje obywateli polskich na roboty do Trzeciej Rzeszy można podzielić na kilka etapów. Pierwszy z nich rozpoczął się niemal natychmiast po wkroczeniu wojsk niemieckich do Polski i trwał do wprowadzenia administracji cywilnej (IX – X 1939 r.).

Niemal równocześnie z zajmowaniem terenów polskich przez oddziały niemieckie wojsko bądź podążające za nim siły policyjne przeprowadzały łapanki wśród ludności cywilnej. Akcja ta miała charakter czysto propagandowy. Starano się udowodnić Niemcom, iż prowadzenie wojny i zajmowanie nowych terenów niesie za sobą wymierne korzyści. W pierwszej połowie września wysłano do pracy w rolnictwie do Prus Wschodnich pierwszą, liczącą 13 000 osób, grupę robotników. Zatrudniono ich, jak i wziętych do niewoli żołnierzy, do zbioru ziemniaków.

Bardziej zorganizowany charakter deportacji przybrały po powstaniu urzędów pracy. Zaczęły one wysyłać robotników do pracy w Rzeszy już w drugiej połowie września. Pierwsze transporty odjechały z Bydgoszczy, Gdyni, Gniezna i Górnego Śląska. Urzędy pracy dysponowały – przygotowanymi już wcześniej przez mieszkańców tam Niemców – listami osób, które jako element niepewny powinny bądź wyjechać na roboty, bądź w inny sposób opuścić te tereny.

Drugi etap rekrutacji siły roboczej nastąpił po wprowadzeniu cywilnej administracji okupacyjnej i trwał aż do powołania urzędu generalnego pełnomocnika do spraw zatrudnienia (26 X 1939 r.-III 1942 r.).

Na okres ten przypada akcja masowego zatrudniania jeńców wojennych. Założenia polityki jenieckiej powstały już w 1938 roku. Zgodnie z nimi obozy jenieckie powinny być zlokalizowane na obszarach odczuwających deficyt siły roboczej, a urzędy pracy powinny prowadzić ewidencję zawodową każdego jeńca, w celu efektywnego zatrudnienia go w wyuczonym zawodzie.

Akcja rekrutacji siły roboczej, sposób traktowania miejscowej ludności, w tym inteligencji, był nieco inny na terenach, które miały stać się integralną częścią państwa niemieckiego, a inny na terenach późniejszego Generalnego Gubernatorstwa. Na terenach włączonych do Trzeciej Rzeszy władze niemieckie nie prowadziły dobrowolnej rekrutacji robotników przymusowych. Wiązało się to z przekonaniem, wynikającym z ideologii nazistowskiej, iż Polacy jako ludzie gorszego gatunku nie mają prawa decydowania o swoim losie. Wywózki do Niemiec miały charakter zaplanowanych akcji. W oparciu o imienne listy przygotowane przez urzędy pracy, wzywano osoby przeznaczone do wyjazdu do stawiennictwa w Arbeitsamcie. W tym okresie władze niemieckie skupiły się jednak głównie na akcji przesiedlania Polaków na tereny GG i przygotowaniu terenów wcielonych do Rzeszy do całkowitego zasiedlenia ich ludnością niemiecką.

Na terenie GG przez cały okres okupacji prowadzono agitację za dobrowolnym wyjazdem „na roboty”. Nie oszczędzono środków finansowych na propagandę, ale akcja ta nie przyniosła pożądanego rezultatu, z powodu zdecydowanego oporu społeczeństwa. Od początku 1940 roku stawało się jasne, że GG nie dostarczy narzuconej odgórnie liczby robotników przymusowych. Już w lutym 1940 roku nabór dobrowolny wspomagano różnymi środkami przymusu. W miastach przeprowadzano łapanki, a na wsiach imiennie wzywano mieszkańców do stawienia się wyznaczonego dnia celem wyjazdu na roboty.

Włączono w to policję i władze gminne, które były odpowiedzialne za dostarczenie określonego centralnie kontyngentu robotników. Początkowo działania te były słabo zorganizowane, ale już od

kwietnia, gdy akcja wyjazdów dobrowolnych skończyła się, a władze centralne naciskały na wypełnianie kontyngentów, przy rekrutacji robotników zaczęto stosować przymus bezpośredni. Powszechne stało się zatrzymywanie w charakterze zakładników członków rodzin osób uchylających się od pracy. Urzędy pracy miały ogromne kompetencje do stosowania kar (również cielesnych) wobec Polaków. W celu realizacji zamówień z Rzeszy Arbeitsamty ściśle współpracowały z władzami administracji lokalnej, lokalnymi komórkami NSDAP i wszystkimi formacjami policyjnymi.

Pomimo stosowania przez władze niemieckie różnego rodzaju represji: aresztowań, terroru, uwięzienia prewencyjnego w wychowawczych obozach pracy, a nawet obozach koncentracyjnych, również i te działania nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Z żądanych 500 000, udało się wysłać do Niemiec 50 000 robotników przemysłowych i 160 000 rolnych.

Do 1941 roku wyjazdom do Niemiec towarzyszył terror i przymus. Na imiennych listach przygotowywanych przez Arbeitsamty władze umieszczały osoby, które w ich przekonaniu zagrażały Trzeciej Rzeszy. Dotyczyło to osób wykształconych i młodzieży. Wywiezienie ich do Niemiec miało aspekt prewencyjny – uniemożliwiało im udział w konspiracji.

Deportacje do Rzeszy osłabły w 1941 roku, gdy rozpoczęto przygotowania do wojny z ZSRR. W tym czasie robotnicy przymusowi byli potrzebni do pracy na terenie Polski, szczególnie przy pracach drogowych i kolejowych.

W czasie wojny z ZSRR powszechne stało się przymusowe zatrudnianie miejscowej ludności do prac przyfrontowych, przewozu broni i elementów uzbrojenia. Trudno oszacować jakiej liczby osób to dotyczyło, wiadomo jednak, że na terenach wschodnich, gdzie front zatrzymał się na dłużej, przypadki te były bardzo częste.

Już w 1941 roku na obszarach wcielonych do Rzeszy zaczynało brakować robotników, którzy mogliby zapewnić utrzymanie produkcji przemysłowej na wysokim poziomie. Okupant chciał bowiem osiągnąć w krótkim czasie dwa wykluczające się cele. Z jednej strony – usunąć ludność polską i osiedlić Niemców, z drugiej strony – zwiększać produkcję przemysłową i dostarczać robotników dla starej Rzeszy. Było to szczególnie widoczne na terenach mocno uprzemysłowionych – w Wielkopolsce i na Śląsku, mniej w Rejencji Ciechanowskiej, która była źródłem robotników (głównie rolnych) dla Prus Wschodnich. Sytuacja ta zmusiła władze do spowolnienia akcji wysiedleńczej oraz zatrudniania coraz młodszych dzieci.

Kolejny etap deportacji to okres od chwili stworzenia specjalnego urzędu Generalnego Pełnomocnika do Spraw Zatrudnienia do kłęski pod Stalingradem (III 1942 r. – II 1943 r.).

Urząd ten decyzją Hitlera stał się samodzielnym organem administracji państwowej. Posiadał ogromne kompetencje do rekrutacji siły roboczej w zajmowanych państwach. Od tej chwili prawo do prowadzenia akcji pozyskiwania robotników przymusowych miały tylko powołane przez niego placówki werbunkowe. W kwietniu pełnomocnikami do spraw zatrudnienia w poszczególnych okręgach administracyjnych mianowano sprawujących w nich władzę Gauleiterów (naczelników okręgów z ramienia NSDAP).

Reformy te miały doprowadzić do centralizacji instytucji werbunkowych oraz powiązania ich z terenowymi przywódcami NSDAP. Po przeprowadzeniu wspomnianych reform urzędy pracy przystąpiły po raz kolejny do rekrutacji siły roboczej. W tym okresie akcje zaczęły przybierać najbardziej bezwzględne formy. 7 maja 1942 roku Generalny Pełnomocnik do Spraw Zatrudnienia – Fritz Sauckel wydał rozporządzenie zezwalające, w przypadku braku zgłoszeń dobrowolnych, na przymusową rekrutację robotników. W tajnym okólniku zgadzał się na nieprzestrzeganie prawa dotyczącego ochrony dzieci polskich. Skutkiem tych działań było nasilenie terroru wobec Polaków i kierowanie do pracy coraz młodszych dzieci. W tym okresie zaczęto zatrudniać również kobiety.

Czwarty etap rekrutacji rozpoczął się po klęsce Niemiec pod Stalingradem i trwał do końca wojny. W tym czasie przestały obowiązywać jakiegokolwiek reguły przy rekrutacji robotników. Nastąpiła „totalna mobilizacja siły roboczej” wszelkimi możliwymi sposobami. Okres ten cechuje się szczególnym okrucieństwem wobec Polaków. Robotnicy przymusowi musieli zastąpić powoływane na front coraz młodsze roczniki niemieckiej młodzieży. Władze Trzeciej Rzeszy nie starały się już nawet zachowywać pozorów przyzwoitości. Robotników pozyskiwano w drodze łapanek, pacyfikacji, masowych wysiedleń. Do pracy w Trzeciej Rzeszy wysłano w 1943 roku kilkadziesiąt tysięcy osób wyrzuconych brutalnie z Zamojszczyzny. W marcu 1943 roku wysiedlono z Kraju Warty 23 500 osób, które skierowano do pracy

w gospodarstwach znajdujących się pod zarządem niemieckim na terenach okupowanej Francji. Starano się również jak najefektywniej wykorzystywać już pracujących. Powszechne stało się zatrudnianie kobiet, dzieci poniżej 12 roku życia i więźniów obozów koncentracyjnych. Od początku 1943 roku władze zdały sobie sprawę, że wysoka śmiertelność więźniów działa na szkodę Niemiec. Zezwolono rodzinom uwięzionych na dostarczanie paczek żywnościowych, co przy panującym w obozach głodzie poprawiło, chociaż w minimalnym stopniu, ich los.

Ostatnimi robotnikami przymusowymi deportowanymi do Rzeszy byli ci, którzy zostali przymusowo ewakuowani przed zbliżającym się frontem radzieckim. Dla niektórych droga ta zakończyła się tragicznie – podzielili los swych „panów” – zostali zamordowani przez Rosjan, w chwili gdy niemalże odzyskali wolność.

Sytuacja polskich robotników przymusowych deportowanych do Trzeciej Rzeszy była bardzo ciężka. Zarządzenia niemieckie szczególnie dyskryminowały Polaków i obywateli ZSRR. Ich pozycja była gorsza niż robotników cudzoziemskich z innych państw. Z Polakami w Rzeszy nie zawierano żadnych umów o pracę. Zatrudnienie odbywało się poprzez urzędowe kierowanie poszczególnych osób do pracodawców, zgłaszających uzasadnione zapotrzebowanie na siłę roboczą. Polak nie miał prawa wyboru ani zmiany miejsca pracy. Czas pracy ustalał pracodawca. Robotnicy zatrudnieni w rolnictwie pracowali od wczesnych godzin rannych do późnego wieczora, także w niedziele i święta. Od 1942 roku wstrzymano urlopy. Niemieccy pracodawcy nie zapewniali żadnej ochrony przed utratą życia lub zdrowia, nie chronili kobiet w ciąży. Urlop macierzyński trwał kilka dni. Polska młodzież pracowała w takich samych warunkach i wymiarze czasu co dorośli, otrzymywała jednak niższe wynagrodzenie. Olbrzymia większość Polaków cierpiała z powodu głodu. Dzienna wartość pożywienia nie przekraczała 1500 kalorii. Polaków pozbawiono prawa zakupu jakichkolwiek artykułów sprzedawanych ludności niemieckiej na podstawie kart żywnościowych. Polscy robotnicy musieli nosić przyszytą do ubrania literę „P”. Mieli zakaz opuszczania miejsca zamieszkania bez urzędowej przepustki, nie mogli przebywać w lokalach publicznych, uczestniczyć w imprezach kulturalnych, podróżować bez przepustki pociągami, zawierać związków małżeńskich, chodzić do kościoła. Oczywiście obowiązywał bezwzględny zakaz utrzymywania kontaktów intymnych z Niemcami.

Polacy zatrudniani w rolnictwie mieszkali w budynkach gospodarczych, nierzadko ze zwierzętami. Ci, którzy pracowali w zakładach przemysłowych, mieszkali w warunkach skoszarowanych – w obozach. Kwaterowano ich we wspólnych pomieszczeniach (w barakach, salach tanecznych, remizach strażackich) nie zawsze przystosowanych do zamieszkania.

Ciężkie warunki życiowe wywierały negatywny wpływ na zdrowie robotników. Wielu chorowało, pozbawieni byli jednak opieki lekarskiej. Ciężko chorych odsyłano do domu. Robotnicy podlegali jurysdykcji Gestapo i nawet za drobne przewinienia lub niesłuszne oskarżenia ze strony pracodawcy mogli trafić do obozu koncentracyjnego. Oprócz represji policyjno-sądowych Polacy doznawali różnych szykan ze strony niemieckich pracodawców (np. bicia).

Niemieckie władze okupacyjne miały opracowany szczegółowy plan rozmieszczania robotników przymusowych deportowanych do pracy. Zgodnie z nim Polacy powinni być zatrudnieni tylko i wyłącznie na obszarach starej Rzeszy. Założeń tych nie zrealizowano. Polscy robotnicy przymusowi pracowali niemal na całym terytorium kontrolowanym przez Trzecią Rzeszę. Na północy, za kołem podbiegunowym, znaleźli się mężczyźni zatrudnieni w organizacji Todt do budowy schronów i umocnień. Organizacja ta zatrudniała przymusowo Polaków na Wyspach Normandzkich (wyspa Jersey) i we Włoszech. Około 50 000 Polaków znalazło się w Sudetach, 113 000 w Austrii i włączonej do niej części Słowenii, kilkanaście tysięcy w Alzacji, Lotaryngii, Luksemburgu i Belgii, 23 500 na terenach okupowanej Francji. Polacy zatrudnieni w pociągach roboczych tzw. bauzugach naprawiali tory kolejowe we wszystkich krajach kontrolowanych przez Niemcy.

Ustalenie dokładnej liczby wszystkich deportowanych robotników jest bardzo trudne. Waha się ona między 1 700 000 (według Ulricha Herberta) a 3 200 000 (według środowisk poszkodowanych). Czesław Łuczak – historyk, który zajmował się polityką gospodarczą i ludnościową Trzeciej Rzeszy, podaje liczbę 2 857 500 osób.

**IRENA CHRZANOWSKA**

# **Wspomnienia z Prus Wschodnich**

*Autorka urodziła się 6 lutego 1926 r. W sierpniu 1944 r. wycofujące się wojska niemieckie zabrały ze sobą część mieszkańców wsi Gostkowo (powiat Ostrów Mazowiecka), w tym autorkę. Zostali wywiezieni do Królewca. Irena znalazła się w obozie przejściowym „na śmieciach”. Zatrudniana była przy pracach porządkowych i kopaniu okopów. W kwietniu 1945 r. z Prus Wschodnich została ewakuowana przez Rosjan. Była świadkiem gwałtów na ludności. Do domu dotarła 1 maja 1945 r.*

---

## Rozstanie z rodziną

Był pogodny dzień 11 sierpnia 1944 roku...

Od wschodu dochodziły głuchoe odgłosy dział armatnich. W Gostkowie, wsi rodzinnej mojej mamy, życie toczyło się jak co dzień. Wprawdzie obecność wojsk niemieckich powodowała zdenerwowanie, to jednak domownicy starali się wykonywać swoją pracę bez zakłóceń.

W pewnym momencie na drodze biegnącej przez wieś zrobiło się gwarno. Krzyk i płacz ludzi mieszał się z rykiem bydła i beczaniem owiec, pędzonych przez Niemców. Niemcy biegali po podwórku, wydając rozkazy swoim podwładnym. Dwóch wtargnęło do naszego mieszkania. Ja i moja kuzynka Halina schowałyśmy się do szafy z ubraniami. Wydierali się na moją mamę, żądając klucza od stajni. Grozili, że ją zabiją, jeśli nie otworzy im drzwi! Słyszając to, nie wytrzymałam, wyskoczyłam z szafy, a za mną moja kuzynka. W tejże chwili stałyśmy się przedmiotem ich zainteresowania. Chwycili nas, tak jak stałyśmy, tylko w sukienkach, wełnianych bluzkach w kolorze żółtym i boso. Pognali nas do gromady ludzi. Wśród nich była też moja mama, która, płacząc, błagała Niemców, aby pozwolili jej wrócić do domu, gdyż zostawiła tam małe dziecko i chorego męża. Ja wówczas miałam 18 lat, a mój brat był o 3 lata młodszy.

Po kilkuset metrach mamę zwolnili. Nas popędzili dalej. Na polach Niemcy podpalali zboże zebrane w snopki. Był to przecież okres żniw. Rolnicy widzieli, jak niweczony jest ich wysiłek, a także cały dorobek ich życia, gdy ogień obejmował pola i zabudowania. Głuchoe odgłosy dział i trzask palonej słomy sprawiały koszarne wrażenie.

Niedaleko wsi Mianowo zarządzono postój. W oddali spostrzegłam siedzące na górcie starsze kobiety. Namówiłam swoją kuzynkę i koleżankę Zośkę, abyśmy oddzieliły się od grupy i przysiadły się do nich. Kobiety przygarnęły nas jak swoje dzieci. Dały nam na głowy chustki, ubrały w ciemne kapoty, żeby przykryć jaskrawe, żółte bluzki. Wolność trwała jednak krótko... Przed nami zjawił się żołnierz niemiecki na koniu. Szarpnął moją kapotę i wrzasnął: „Wo ist deine Schwester?”. Zdradziła mnie żółta bluzka. Uderzył mnie w twarz i w tym momencie dostrzegłam moją siostrę. Oczywiście pognał nas z powrotem, do grupy ludzi odpoczywających przy drodze.

## Wędrówka w nieznane

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Krok za krokiem, na koniu jechał za nami ten sam Niemiec, który nas odnalazł. Doszliśmy do małego miasteczka Andrzejewo. Miasteczko było wyludnione. Nikt się nie gapił, nikt nie chodził koło swoich domostw. Zapędzono nas na duży plac między domami, na którym spędziliśmy noc. Ponieważ młodych dziewcząt i kobiet było dosyć dużo, mężczyźni zajęli miejsca na ziemi, tworząc wokoło nas pierścień chroniący nas przed żołnierzami. Byliśmy blisko frontu i wszystko mogło się zdarzyć.

Wczesnym rankiem dano sygnał do dalszego marszu, w kierunku Ostrowi Mazowieckiej, odległej 20 km od Andrzejewa. Byliśmy bardzo głodne i spragnione. Niemiec na koniu, cały czas ten sam, jechał za nami i obserwował nasze ruchy, więc w żaden sposób nie mogłyśmy się oddalić od grupy.

Drzewa przy drodze były pościanane kilka metrów nad ziemią i sprawiały żałosne wrażenie. Wnioskowałyśmy stąd, że Niemcy na tym terenie przygotowują się do bezpośredniej walki. Tuż za rowem napełnionym wodą był sad i niektóre drzewa kusiły owocami. Podniosłam z ziemi dwie gruszki – jedną dałam Halinie, drugą zjadłam z wielkim apetytem. Popiłam wodę z rowu. Moja siostra zaczęła narzekać na bóle w stopach. Prawdopodobnie dlatego, że całą drogę szła boso. Ja na razie nie odczuwałam bólu.

Zapędzono nas za druty, gdzie stało kilka baraków. Obok, też za drutami osadzeni byli jeńcy rosyjscy. Nagle zaczęłam odczuwać ostry ból brzucha i całkiem opadłam z sił. Dolegliwości były straszne! Przez całą noc pomocy udzielał mi młody chłopak; nosił mnie „na barana” do toalety oddalonej o kilkadziesiąt metrów. W końcu wezwano lekarza niemieckiego, który dał mi tabletki. Połknęłam je – pomogły. Poczulałam się lepiej. Natomiast moja kuzynka cierpiała z powodu nogi.

Po paru dniach wyprowadzono nas zza drutów. Ponieważ nadal brakowało mi sił, aby pójść w drogę pieszo, a moja kuzynka cierpiała z powodu bólu nogi, wieziono nas wozem konnym. Pozostałe osoby szły pieszo. Dojechaliśmy do torów kolejowych w Ostrołęce. Załadowano nas do bydłocych wagonów. Poza

nami byli tam też ludzie z innych okolic, w przeważającej części z Łochowa. Ludzie ci mieli pościel, naczynia – my nie miałyśmy nic! Niedaleko stacji stała kuchnia polowa. Ktoś z grupy krzyknął: „Daję jedzenie!” Poczulałam głód. Mogłyśmy liczyć tylko na innych, gdyż nie miałyśmy ze sobą żadnego naczynia. Jedna z kobiet odlała nam ze swojej porcji troszkę zupy, abyśmy się posiliły. Mimo że miałam obawy co do tej zupy, to skosztowałam. Przecież przez dłuższy czas nic nie jadłam! Grochówka była bardzo smaczna i nie zaszkodziła. Czułam się już dobrze.

## Dalsza podróż w nieznane

Po paru dniach do wagonów przyczepiono lokomotywę, a wagony zamknięto. Pociąg ruszył. Nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą. Jechaliśmy tylko wtedy, kiedy tory były wolne. Ale nie widzieliśmy, aby jechały transporty z wojskiem na front. A front się zbliżał ...

Na stacji w Olsztynie (po niemiecku Allenstein) pociąg się zatrzymał. Przez szpary w ścianach wagonu widać było ludzi oczekujących na pociąg osobowy. Jedna Niemka powiedziała do drugiej, że powinni ich, czyli nas, pędzić pieszo, a nie wieźć pociągiem.

Noce były już dość chłodne. Siedzieliśmy na barłogu ze słomy, przytulone do siebie, żeby było cieplej. Byłyśmy bardzo brudne, nie myłyśmy się ani razu. Czułyśmy swędzenie na całym ciele. Nie zdawałyśmy sobie zupełnie sprawy, że przyczyną tego są wszy. W zasadzie głodu nie odczuwałyśmy.

Po kilkunastu dniach dojechaliliśmy na miejsce – do Königsberga (Królewca). Dowieziono nas w miejsce, które nazywano „śmieci”. Zwożono tam odpadki z całego miasta. Czuło się tu niesamowity fetor. Na terenie obozu stało kilkanaście baraków, w których miałyśmy tymczasowo zamieszkać. Gdy nadeszła noc, okazało się, że spędzenie jej w barakach jest niemożliwe, ponieważ cała drewniana konstrukcja łóżek była bardzo zapluskwiona (miały kolor brunatnoczerwony). Postanowiliśmy spędzić noc pod gołym niebem. Wszyscy pokotem położyli się na ziemi. Kto miał koce czy pierzyny okrywał się, żeby nie zmarznąć. Nas przygarnęła starsza kobieta. Sen był krótki, ponieważ po leżących biegały szczury. To było straszne. Zaczęło świtać, a my nie spałyśmy, rozmyślałyśmy co dalej los nam zgotuje. Wiedzieliśmy tylko, że jesteśmy z dala od rodziny i nie wiemy, czy wszyscy żyją. Czy wieś nie została spalona?

Około południa na „śmieciach” zaczął się ruch. Przyjechała duża grupa Niemców, bauerów. W pewnym momencie podeszło do nas dwóch młodych mężczyzn. Zapytali po polsku, skąd przyjechaliśmy i w ogóle co słychać w Polsce. Okazało się, że od dłuższego już czasu nie mieli kontaktu z rodzinami w kraju, ponieważ na terenach, z których pochodzą, trwają działania wojenne. W Królewcu zostali zatrudnieni przymusowo w porcie. Widząc nasze zmęczone twarze, brudne ręce i nogi, zaproponowali nam, abyśmy poszły do ich kwatery w porcie, żeby się wykapać i coś zjeść. Nam w zasadzie było wszystko jedno. Uważaliśmy, że już nic gorszego nie może nas spotkać, więc zgodziłyśmy się. Nie było to daleko.

Po kąpieli poczułyśmy się wspaniale. Gdy zdjęłyśmy swoje ubranie, strach nas ogarnął. W szwach bielizny i wierzchnim ubraniu roiło się od insektów. Ponieważ nie miałyśmy innego ubrania, musiałyśmy włożyć na siebie to, co miałyśmy. Odprowadzili nas na „śmieci”. Z rozmowy z nowymi znajomymi wynikało, że jeśli pozostaniemy w mieście, będziemy na pewno odczuwać głód, a jeśli zabiorą nas bauerzy na wieś, głodu nie będzie i oczywiście będzie tam bezpieczniej. Tu, w mieście w ostatnim okresie nasilają się naloty i bombardowania. Poprosili, abyśmy napisały do nich, gdzie się znajdziemy i dali nam swój adres. Wzięłyśmy go, ale nie byłyśmy przekonane, czy skorzystamy.

Na placu zostało już niewiele osób. Na wieś bauerzy zabierali całe rodziny, osoby samotne pozostawały bez przydziału. Przebijanie w ludziach przypominało targ niewolników. W końcu zabrały nas dwie młode dziewczyny, z których jedna mówiła po polsku. Na początku zaprowadzono nas do łaźni – musiałyśmy pozbyć się wszy. W łaźni zabrano ubrania i bieliznę do dezynfekcji, a nas wysłano do kąpieli. To była wielka ulga! Od ciągłego drapania się miałyśmy na ciele mnóstwo ran!

Po tych zabiegach młode dziewczyny zaprowadziły nas do budynku znajdującego się za ogrodzeniem, przy ulicy Berlińskiej - Berlinerstrasse, tuż przy cmentarzu. Stały tam trzy budynki murowane (trzypiętrowe) i kilkadziesiąt drewnianych baraków. Teren był pilnowany przez wojskowych strażników – wachmanów. W jednym z bloków mieścił się sztab wojskowy, drugi budynek przeznaczony był dla kobiet różnych narodowości (Polek, Ukrainek, Francuzek i innych), a trzeci zamieszkiwali mężczyźni.

## Lager Berta

Taką nazwę miał obóz pracy przymusowej, do którego nas przyprowadzono. Zamieszkałyśmy w drugim bloku, na drugim piętrze, w sztubie numer 9. W naszym pokoju na środku stał stół i parę stołków. Po jednej stronie znajdowały się łóżka piętrowe z siennikami i kocami, po przeciwnej stronie stało pięć szafek – po jednej szafce dla dwóch osób. Pokój oświetlała żarówka, okno zasłaniała ciemna zasłona, która nie przepuszczała światła w czasie nalotów. Nadzór nad mieszkankami sprawowała Lagerführerka o nazwisku Hanoski (nie jestem pewna czy nazwisko to napisałam poprawnie).

W pokoju mieszkało dziewięć osób. W porównaniu z tym, co przeżyliśmy od momentu zabrania nas z domu rodzinnego, tutaj odczułyśmy pewną ulgę. Jednak pierwszy kontakt z osobami, które mieszkały razem z nami był niezbyt przyjazny: dotychczasowe mieszkanki uznały nas za intruzów, którzy będą zjadać część ich porcji żywieniowych. Było nam bardzo przykro!

Racje żywnościowe były rzeczywiście bardzo małe. Początkowo nam to wystarczało, ponieważ przez trzy tygodnie podróży i głodowania żołądki nasze tak się skurczyły, że więcej jedzenia nie potrzebowaliśmy.

Dowodem tożsamości w lagrze była litera „P”, której się nie wstydziliśmy i – przyszytą do ubrania – nosiliśmy z podniesionym czołem.

W drugim dniu pobytu stanęliśmy do apel. Nadano nam numery, które były niezbędne w obozie. Początkowo zostałyśmy przydzielone do grupy, która kopała basen przeciwpożarowy na terenie lagru. Prace nadzorował oficer o nazwisku Wetter. Ponieważ byliśmy osobami dopiero co przybyłymi, na naszych twarzach rysowało się duże zmęczenie i ogólne wychudzenie. W dodatku do tej pory ubrane byliśmy w letnie ubrania i chodziliśmy boso.

Oficer przydzielił nam jedną łopatę. Postawił nas na koronie wykopu, abyśmy tą jedną łopatą odbierały ziemię od osób niżej kopiących. Wśród pracujących w wykopie były przeważnie Ukrainki. Praca ta była dla nas i tak bardzo ciężka. Oficer był na szczęście łagodny – nie popędzał nas. Pierwszego dnia, po zakończeniu roboty Wetter zaprowadził nas do jednego z baraków, w którym w dużym porządku leżały całe sterty ubrań wojskowych i butów. Pozwolił nam wybrać płaszcze w kolorze granatowym, spodnie i buty, a nawet dodatkowo buty przypominające ranne pantofle – „lawszuły” (tak je nazywano). Byliśmy jako tako ubrane.

W następnych dniach na apelu porannym nie odczuwałyśmy zimna tak, jak za pierwszym razem. Praca przy kopaniu basenu trwała jeszcze kilkanaście dni. Racje żywnościowe, początkowo były wystarczające. Na cały dzień dawano mały kawałek chleba i malutką kosteczkę margaryny. Obiad, który jadłyśmy po zakończonej robocie w stołówce, składał się przeważnie z zupy z brukwi lub z pęczakiem. Czasami dawano ziemniaki w łupinach, do nich sos o słodkim smaku. Często ziemniaki były nadpsute i właściwie nie nadawały się do jedzenia. W tej samej stołówce stołowali się również oficerowie niemieccy, z tym że ich posiłki były zupełnie inne.

Po zakończeniu pracy przy kopaniu basenu przydzielono nas do sortowania ubrań, butów i innych akcesoriów, takich jak paski do nabojów, kabury itp. Wszystkie te rzeczy przywożono z frontu. Ubrania przeważnie były brudne, pokrwawione i podarte – poszarpane przez pociski. Brudne rzeczy odstawiano do pralni, a rzeczy uszkodzone do szwalni. W zakładach zatrudnieni byli Polacy i osoby innych narodowości, a także i Niemcy, którzy nie nadawali się do walki na froncie. Z nami pracowały Niemki. Głównie pilnowały, czy dobrze wykonujemy przydzieloną robotę.

W miarę upływu czasu zaczęłyśmy odczuwać głód. Nasze współlokatorki przynosiły sobie dodatkowe jedzenie z miasta. Wiele osób było zatrudnionych w zakładzie na terenie Królewca, a więc miało kontakty z różnymi ludźmi i możliwość zdobycia żywności.

Ja i Halina postanowiłyśmy napisać do chłopaków z portu. Opisałyśmy swoją sytuację oraz to, że odczuwamy coraz większy głód. Wysyłając ten list, nie przypuszczałyśmy, że adresaci go otrzymają. Po kilkunastu dniach wachman powiadomił nas, że przy bramie stoją mężczyźni, którzy chcą rozmawiać z siostrami ostatnio przybyłymi z Polski. Szybko znalazłyśmy się przy bramie i rozpoznałyśmy znajomych ze „śmieci”. Była to dla nas wielka radość. Przez parkan podali nam dwie teczki, z prośbą, abyśmy je



opróżniły i przyniosły puste. Nie wiedziałyśmy, jak mamy się zrewanżować za wspiane serce tych młodych mężczyzn...

Szafka w sztabie została zapełniona. Miałyśmy chleb, margarynę, dżem i kartki na „kuch” – ciasto, oraz konserwy. Nie przypominam sobie, czy w późniejszym czasie otrzymaliśmy jeszcze tego rodzaju pomoc.

Pracując w barakach, miałyśmy dostęp do różnych rzeczy potrzebnych żołnierzom na froncie. Pewnego dnia postanowiłyśmy wynieść dwa wełniane swetry i sprezentować je chłopakom w ramach podziękowania. Chłopcy jeszcze przy pierwszym spotkaniu opowiadali, że pracując na terenie portu, mają pod dostatkiem żywności, natomiast brak im ubrania. Dlatego też uważałyśmy za słuszne podarować im te swetry – zima była tuż, tuż.

Wynieść swetry do sztabu było łatwo. Następnie trzeba było wynieść je za bramę i dostarczyć chłopakom. To już było bardzo ryzykowne. Nie miałyśmy żadnego dokumentu i pozwolenia na wyjście poza ogrodzenie. Upatrzyłyśmy moment, kiedy strażnik był nieobecny i ukradkiem wymknęłyśmy się na ulicę. Nikt nas nie zauważył. Miałyśmy adres, więc poszłyśmy do portu. Zastałyśmy chłopaków w ich kwaterze. Byli bardzo zaskoczeni. Zdjęłyśmy z siebie swetry i dałyśmy je jako rewanż za okazaną nam życzliwość. Znajomi zamiast nam podziękować, uświadomili nam, na jakie ryzyko się narażamy, tym bardziej, że miałyśmy zakaz wychodzenia poza obręb lasu. Gdyby nas przyłapano, w dodatku z wojskowymi swetrami na sobie, mogłyśmy trafić do obozu koncentracyjnego.

Więcej to się nie powtórzyło. A znajomych też nie spotkałyśmy. Prawdopodobnie zostali wywiezieni na okopy, ponieważ front był coraz bliżej Królewca.

Nadeszła zima. W święta zatrudniono nas przy przemalowywaniu wojskowych ubrań wierzchnich na biało. Było to bardzo uciążliwe – wymagało dokładności. Nadzorująca robotę Niemka, gdy zauważyła miejsca niedokładnie zamalowane, zwracała do poprawki, a przy tym niesamowicie wrzeszczała.

Zatrudniano nas także przy kopaniu okopów wokół Królewca. Budzono nas bardzo wcześnie, gdy jeszcze było ciemno. Szliśmy przez miasto do stacji kolejowej, śpiewając polskie piosenki. Przeważnie były to pieśni narodowe. Niemcy nie reagowali. Zapewne zdawali sobie sprawę z tego, że nadchodzi ich koniec. My w czasie kopania okopów raczej udawaliśmy, że kopujemy. Często opuszczaliśmy miejsce pracy, jakby zmuszała nas do tego potrzeba fizjologiczna. Zresztą, gdy malowałyśmy ubrania, również uciekałyśmy i chowałyśmy się na strychu. Godzinami leżałyśmy pod stropem, oczywiście z „duszą na ramieniu”. Na dachu budynku usytuowane było obserwatorium i często odwiedzali to miejsce wojskowi, strach był więc uzasadniony. Wieczorami z dachu oglądałyśmy świetliste pociski katusz. Leciały przez niebo niczym fajerwerki, a nam radowały się dusze. Miałyśmy nadzieję, że powrót do domu jest bliski... [...]

Postrachem mieszkańców naszego baraku była wspomniana już Lagerführerka Hanoski. Hanoski często wpadała do sztabu w porze wieczornej i sprawdzała, czy po godzinie dziesiątej zgaszone są światła. Lagerführer baraku, w którym mieszkali mężczyźni, był podobno łagodniejszy.

Tęsknota za bliskimi i brak wiadomości z Polski powodowała, że troskę o rodzinę i ciekawość, jak tam sobie radzą, starałyśmy się zaspokoić przy pomocy magii. W sąsiednim pokoju mieszkała młoda dziewczyna, która potrafiła wywoływać duchy. Z tego wróżenia dowiedziałam się, że moi rodzice żyją, a mój przyszły mąż będzie miał na imię Jerzy (tak się stało!). Na taki seans przychodziła do nas także zastępczyni Lagerführerki. Była zupełnie inna w zachowaniu i w kontakcie z ludźmi niż Hanoski.

Zimno coraz bardziej dawało się nam we znaki. Opału miałyśmy zbyt mało, aby ogrzać piecem całą sztabę. I na to znalazłyśmy sposób. Między murem cementarnym a naszym budynkiem składowany był węgiel, którego pilnował Niemiec w mundurze. My, pracując przy sortowaniu rzeczy przywiezionych z frontu, miałyśmy za zadanie opróżnić również kieszenie. Często znajdowałyśmy w nich papierosy albo cygara i tym płaciłyśmy strażnikowi. W zamian, pozwalał nam od czasu do czasu napełnić kanekę węglem. Kanekę spuszczałyśmy z okna na sznurku, nakładałyśmy węgiel i wciągałyśmy na drugie piętro. Dzięki temu nie marzyłyśmy. Dlaczego na sznurku? Jak już pisałam, Lagerführerka była dla wszystkich postrachem, więc nie mogłyśmy wnosić węgla do budynku po schodach.

Halinę przeniesiono do pracy w kuchni. Początkowo było mi smutno, ale okazało się potem, że jej praca doskonale rozwiązała nasze problemy z jedzeniem. Halina każdego dnia przynosiła kawałek gotowanego końskiego mięsa. Zawijała go w papier i chowała do kieszeni. Zjadałam je z wielkim apetytem. Zwykle mięso przeznaczone było tylko dla Niemców.

Jeżeli chodzi o mnie, to w pracy byłam raczej nieposłuszna. Gdy Niemki kazały posprzątać po pracy – odmawiałam. Chodziły na skargę do nadzorującego naszą pracę oficera, ale i tak często udawało mi się uchylać od tej roboty. Domagałam się sprawiedliwości, gdyż one też powinny po sobie sprzątać. A zachowanie oficera wskazywało wyraźnie, że zbliża się koniec panowania Niemców. W każdy wieczór obserwowaliśmy sowieckie pociski wystrzeliwane z katusz. Wyraźnie słyszeliśmy rozkazy, które Rosjanie podawali przez megafony. W czasie nalotów na Królewiec wyły syreny. Niemcy uciekali do piwnic, a my, obcokrajowcy, wychodziliśmy na zewnątrz baraków. Złościli się, twierdząc, że ściągniemy na siebie i na nich nieszczęście.

Na koniec zostałam zatrudniona przy ładowaniu paczek na wagony, samochody ciężarowe lub wozy konne. Praca była bardzo ciężka. Pracowało przy tym kilka kobiet, a nadzór sprawował oficer, Litwin, o nazwisku Nowak. Zwykle po towar przyjeżdżali Polacy. Nowak, gdy rozpoznał Polaka, dostawał szału. Chwytał za kij czy inne ostre narzędzie i rzucał się na niego z pewnością po to, by zrobić mu krzywdę. Ale w stosunku do kobiet nie okazywał agresji.

Naloty wzmagaly się. Zrzucano bomby i ulotki nawołujące do poddania się. W przeciwnym razie grożono, że miasto zostanie zrównane z ziemią. W odpowiedzi władze niemieckie rozlepiły na ścianach budynków plakaty pokazujące Sowietów, jak mordują kobiety i obcinają im piersi. Od strony frontu ciągle dochodziły głosy w języku rosyjskim, wzmocnione przez głośniki. Byliśmy coraz pewniejsi, że zbliża się koniec niemieckiego panowania. Nie wiadomo tylko, co stanie się z nami... Dziewczyny opowiadały różne plotki, że Niemcy mają zamiar nas ewakuować drogą morską. Byłoby to straszne, ponieważ krążyły też pogłoski, że wody zatoki i Morza Bałtyckiego są zaminowane. Całe szczęście, do tego nie doszło. Po prostu Niemcy nie zdążyli. Wojska sowieckie wkroczyły na przedmieścia miasta.

Ofensywa trwała. Niemcy pootwierali magazyny – ludzie mogli więc brać, co się im podobało. Niektórzy z tych możliwości korzystali, ale były to raczej osoby o silnych nerwach. Inni szukali schronienia w piwnicach pod naszym budynkiem. Nawet oficerowie przenieśli się do nas. Detonacje rozrywających się bomb i pocisków nie ustawały. Budynek, w którym mieścił się sztab, został doszczętnie zburzony, baraki paliły się. Oficer Wetter też znalazł się u nas, wśród Polaków. Ale nie żywił się do niego nienawiści, ponieważ – jak już pisałam – w stosunku do nas był człowiekiem łagodnym. Otrzymał nawet od Polaków cywilne ubranie, co pozwoliło mu uniknąć niewoli sowieckiej. Natomiast Nowak, jak dowiedziałyśmy się później, został powieszony. Lagerführerka uciekła.

Cały czas toczyły się walki uliczne. Słychać było wystrzały z karabinów i wybuchy granatów. W końcu Sowietci weszli na teren lagru. Zeszli do piwnic, krzycząc: „Kto tu jest?” oraz „Czy macie buty i zegarki”. Dochodziły też głosy: „Ręce do góry!” (wszystko w języku rosyjskim). Wypędzili nas wszystkich z piwnic. Wybiegając, na trzecim piętrze naszego budynku zauważyliśmy żołnierzy niemieckich, którzy zza rogu mierzyli w naszą stronę z karabinu maszynowego. Skończyło się jednak na strachu. W tamtej chwili marzyłam tylko o tym, aby Bóg pozwolił nam szczęśliwie wyjść z tego piekła, żebyśmy mogły wrócić do rodzinnego domu bez szwanku.

### **Dzień 6 kwietnia 1945 r.**

Rosjanie wyprowadzili nas poza teren lagru. Wokół wszystko się paliło. Kazali nam uciekać za most na Pregole. Pociski wpadały do wody i grzechotały nam nad głowami. Szczęście, że most jeszcze nie został zburzony. W bunkrze Niemcy cały czas się bronili. Samoloty latały nad nami, a my... uciekaliśmy. W rowach leżeli zabici lub ranni, leżały martwe konie. Ranni prosili o pomoc, ale my nie mogliśmy nic zrobić! To okropne! Kiedy nad głowami wybuchały pociski, wszyscy jak na komendę padali na ziemię. Jeden pocisk rozerwał się tuż koło nas i przysypał ziemią Marysię. Krzyczała, że jest ranna – całe szczęście, tylko się przestraszyła.

Oddaliliśmy się od miasta o parę kilometrów. W sumie wyszło nas z miasta kilkaset osób. Oprócz Polaków byli starzy Niemcy i młode Niemki, Cyganie i inne narodowości. Doszliśmy do budynków przypominających hangary. To, co zobaczyliśmy w środku, trudno jest opisać. Mnóstwo zabitych żołnierzy i padłych koni. Szybko się wycofaliśmy... Na polach też leżały rozkładające się zwłoki poległych żołnierzy.

Noc spędziliśmy w budynku fabrycznym. My ułożyliśmy się na stołach, na środku pomieszczenia, a pod stołami pochowały się młode Niemki. Marysia koniecznie chciała wyjść na korytarz, żeby się napić wody. Próbowaliśmy ją powstrzymać, tłumacząc, że woda może być zatruta, w końcu przeszedł tędy front. Mimo moich próśb, postanowiła wyjść i pociągnęła mnie za sobą. Nagle ktoś zepchnął nas ze schodów na parter. Dwóch wojskowych chwyciło Marię i ją uprowadziło, ja natomiast chwyciłam się klapy samochodu ciężarowego i zaczęłam krzyżeć: „Ratunku!”. Tak głośno krzyżałam i tak mocno trzymałam się tej klapy, że w końcu ktoś zaczął strzelać i odstraszył napastników. Mogło to się skończyć tragicznie. Człowiek, który nam pomógł i zaczął strzelać, zawołał nas potem do siebie. Ale wystraszone przygodą nie miałyśmy do niego zaufania i szybko uciekłyśmy do budynku. Marysi na szczęście nic się nie stało – była tak ubrana, że cała wyszła z tej sytuacji. Nie mogłyśmy spać, nikt zresztą nie spał. Żołnierze ciągle chodzili i wyciągali spod stołów przestraszone Niemki pod pretekstem sprawdzenia dokumentów. Wracaly zapłakane, często w podartym ubraniu. Polek nie ruszano.

Następnego dnia ruszyliśmy w drogę. Kolejną noc spędziliśmy w budynku więziennym. Tym razem spałyśmy na pryczach, kilka osób na jednej pryczy. Byłyśmy już bardzo zmęczone. Pytałyśmy wojskowych, dokąd nas prowadzą. Odpowiedzieli, że do Białegostoku. Rzekomo w Białymstoku miałyśmy otrzymać dokumenty i wtedy każdy będzie mógł pójść w swoją stronę.

Potem najczęściej odpoczywałyśmy na skraju lasu. Noce też spędzałyśmy w lesie, a było przecież zimno. Rosjanie rozpalali ognisko i przy tym ognisku ogrzewaliśmy się, najpierw od przodu, a potem plecy. Któregoś dnia zatrzymaliśmy się w miejscowości, której nazwy już nie pamiętam. Było tu dużo wojska. Zgromadzono nas przed budynkiem i po kolei wpuszczano do środka. Kazano rozebrać się do naga. Jeden wojskowy w białym kitlu pędzlem zanurzonym w jakimś roztworze mazał każdego pod pachami i niżej. Dla nas, dziewczyn, było to bardzo upokarzające, ponieważ za oknami, niczym nieosłoniętymi, stali żołnierze i śmiejąc się, gapili się na nas. Zabiegi trwały tak długo, póki wszyscy nie zostali odkażeni. Ponownie ruszyliśmy w drogę. Dziennie pokonywaliśmy pieszo około 25 kilometrów. Przez cały czas towarzyszyły nam wystrzały z karabinu.

W większych miejscowościach stały kuchnie polowe, gdzie wydawano gorące posiłki. Przy okazji poszukiwano osób do obierania ziemniaków. Pamiętam, że miałam pecha, gdyż ciągle wybierano mnie do tych czynności. Mężczyźni starali się nas chronić i sami zgłaszali się na ochotnika do pracy w kuchni. Nikt z nas nie miał zaufania do żołnierzy sowieckich. Przeważnie byli pod wpływem alkoholu.

Pewną noc spędziliśmy we wsi. Mieszkańców nie było, domy były opuszczone. Z Haliną weszłyśmy na strych. Stało tam łóżko z pościelą. Gdy odchyliłyśmy pierzynę, zobaczyłyśmy na łóżku... martwą kobietę. Natychmiast uciekłyśmy. Potem, nauczone tym smutnym doświadczeniem, szukałyśmy miejsca do odpoczynku tylko w stodołach.

## Powitanie Polski

Po wielkich trudach doszliśmy wreszcie do granicy polskiej sprzed II wojny światowej i dotarliśmy do Grajewa. Na noc zakwaterowano nas w budynku szkoły. Było nas około 100 osób. W drodze do szkoły zaczepiła mnie jakaś kobieta i ostrzegła, że transporty ludzi pędzonych przez Rosjan do Białegostoku wywożone są na Syberię, a więc powinniśmy się odłączyć i iść do domu na własną rękę. Kobieta zaoferowała pomoc i podała swój adres, gdybyśmy chciały się u niej zatrzymać. Postanowiłyśmy skorzystać z tej propozycji. Wzięłyśmy pod uwagę to, że wszystkie: Marysia, Janka, Zosia i my, mieszkaliśmy niedaleko siebie a do Białegostoku trzeba było pokonać pieszo jeszcze kilkadziesiąt kilometrów. Nie było sensu iść dalej z transportem.

W nocy wyszłyśmy z budynku szkoły i ukryłyśmy się w krzakach. Wędrówkę na własną rękę rozpoczęłyśmy wczesnym rankiem. Nie miałyśmy żadnych dokumentów. Koleżanki miały małe plecaki, a ja niedużą walizeczkę, i nic więcej. Poszłyśmy do Polskiego Czerwonego Krzyża po zaświadczenie, że wracamy z przymusowych robót w Prusach. Takie zaświadczenie otrzymałyśmy. Ponieważ byłyśmy już bardzo zmęczone, skorzystałyśmy z zaproszenia owej napotkanej w Grajewie kobiety.

W jej mieszkaniu panował bałagan. Na łóżkach leżały sterty pierzyn i poduszek, prawdopodobnie z kradzieży. Kobieta dała nam do spania właśnie tę pościel. Spałyśmy do wieczora. Wieczorem przebra-

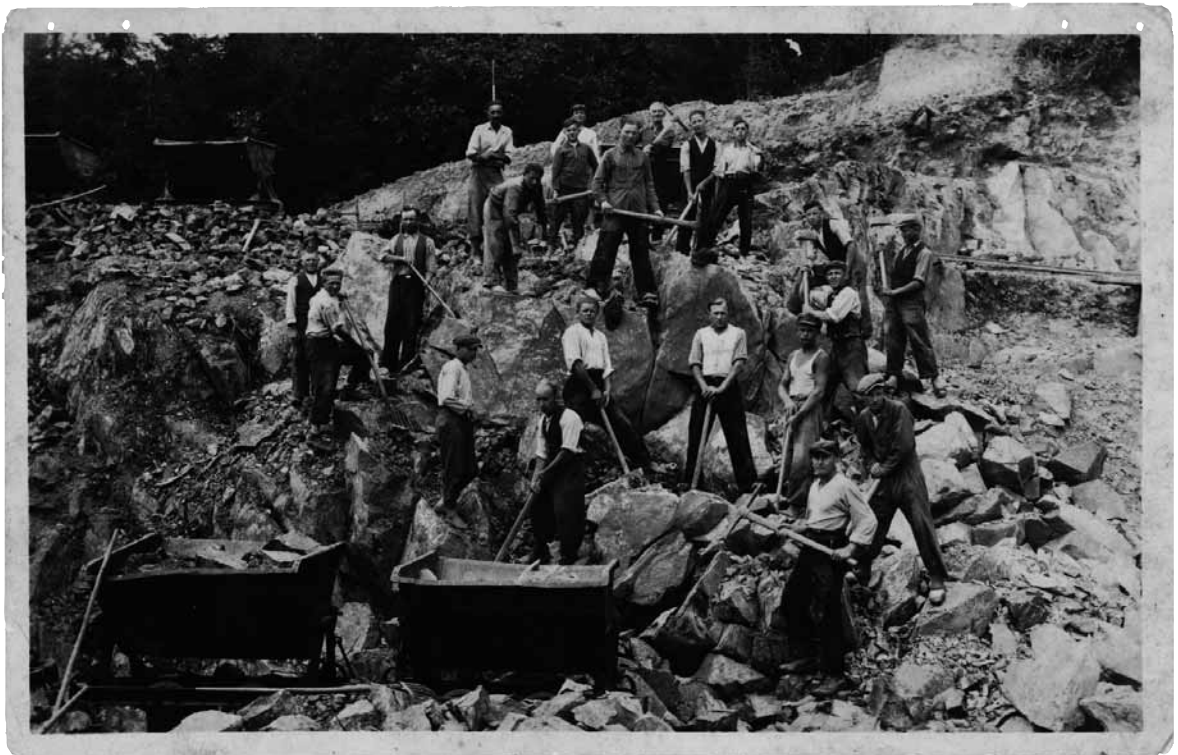
łyśmy się i postanowiliśmy pójść na spacer, żeby poznać miasto. Uważaliśmy, że tu nic nie może się zdarzyć, bo przecież jesteśmy w wolnej Polsce. Niestety, stało się inaczej... Nikt nas nie uprzedził, że władze rosyjskie zarządziły godzinę policyjną i wieczorem po mieście chodzić nie wolno.

Oddaliśmy się od domu, ale w pewnym momencie usłyszeliśmy rozkaz: „Padnij!”. Myślałam, że to żart i ogarnął mnie pusty śmiech. Ale wtedy... zaczęli strzelać. Kilku żołnierzy rosyjskich pochwyciło nas i popędziło do budynku z piwnicami. Całą noc doprowadzali tam różne osoby, przeważnie pijane i lekkiego obyczaju. W piwnicy siedzieliśmy w kucki, przytulone do siebie i wystraszone, aż do rana. Wczesnym rankiem przyszedł po nas żołnierz. Zaprowadził nas do budynku, w którym stacjonowali żołnierze, gdzie kazano nam zmywać podłogi. Oczywiście odmówiłam zmywania, czym tylko sobie zaszkodziłam. Dziewczęta po skończonej robocie zostały zwolnione, a mnie zatrzymano i nakazano dodatkowo zamieść podwórze. Ze złości i bezradności aż się rozpłakałam. Spozstrzegł to przechodzący mężczyzna i zadeklarował, że zamiast mnie pozamiata. Na jego prośbę zostałam zwolniona. Dziewczęta czekały na mnie pod płótem.

Wreszcie zjawiłyśmy się w mieszkaniu kobiety. Gospodyni nie była wcale zdziwiona, że noc spędziłyśmy poza domem. Okazało się za to, że zostałyśmy okradzione – ja zostałam bez butów, a koleżankom sporo rzeczy zabrano z plecaków.

Następnego dnia opuściliśmy Grajewo i poszliśmy w kierunku Łomży. Cały czas szliśmy pieszo. Początkowo szłam w skarpetach (bo moje pantofelki rozpadły się po paru kilometrach), a gdy skarpety się podarły, szłam boso. [...] Między Zambrowem a Czyżewem zabrał nas jakiś człowiek jadący wozem konnym i kilka kilometrów jechałyśmy. Oczywiście, za podwiezienie zażądał zapłaty. Nic nie miałyśmy, ale jedna z koleżanek dała mu wełniany sweter. Dalszą drogę znowu szliśmy pieszo. Wprawdzie do Gostkowa było już niedaleko, ale droga się nam dłużyła. Prowadziła nas nadzieja, że za parę minut będziemy z rodziną. W pobliżu naszej wsi zobaczyłyśmy pasące się na pastwisku krowy, a wśród nich jakiegoś chłopaka. Chłopak odwrócił się i zobaczył nas, idące drogą. Szybko pobiegł w kierunku domu, krzycząc: „Dziewczyny nasze idą!”. Był to brat Haliny.

Był 1 maja 1945 roku. Wszyscy, którzy byli w domu wybiegli na podwórko. Nie wierzyli, że to my! Tak zakończył się koszmar dziewięciu miesięcy mojego życia.



Praca w kamieniołomie, Kielcyn, czerwiec 1941 r. (AFPNP)

**JAN SROKA**

# **Relacja z pracy przymusowej na rzecz Trzeciej Rzeszy**

*Autor urodził się w 1927 r. w Brudzewicach, województwo kieleckie. W 1942 r. wyjechał na roboty do Reichhennersdorf (Przedwojów) w Sudetach. Do wyjazdu zgłosił się za matkę. W czerwcu 1944 r. został aresztowany za posiadanie własnoręcznie narysowanego planu miejscowości, w której pracował.*

---

[...]Podczas łapanki 24 lutego 1942 roku zabrano moją matkę, mającą wówczas czterdzieści cztery lata, i wywieziono do Opoczna. Złapanych ludzi trzymano w różnych lokalach, między innymi w szkole podstawowej przy ul. Tomaszowskiej. Sporządzano ewidencję i dokonywano wymiany ludzi starych na młodych, zdrowych i zdolnych do pracy. Mieli zostać wywiezieni z Opoczna transportem kolejowym 1 marca 1942 roku. Mój ojciec poszedł do komisji deportacyjnej z prośbą o wypuszczenie żony, ze względu na konieczność opieki nad małymi dziećmi. Otrzymał odpowiedź: „żonę wypuścimy za kogoś innego, młodszego”. Zbliżał się termin wyjazdu, sytuacja w rodzinie stawała się coraz bardziej nerwowa. Inni już wymienili dzieci za rodziców. Ojcu szkoda było każdego dziecka, ale jeszcze bardziej żony.

W przeddzień wyjazdu transportu ojciec zebrał wszystkie swoje dzieci, żeby odbyć rodzinną naradę. Zaczął bardzo płakać. Mówił, że żał mu każdego dziecka, ale jedno z nas musi pojechać do Niemiec za matkę. Płacz ojca udzielił się nam wszystkim. Najtrudniej było wskazać, kto z nas ma pojechać. Ojciec mówił: „Stasiek (lat 20) jest najstarszym synem i jest mi potrzebny do pracy w gospodarstwie. Józiek (lat 17) ma trudności ze zdrowiem, często choruje, trudno mu będzie przeżyć wojnę na robotach w Niemczech. Janek (lat 15) jest trochę za młody do ciężkiej pracy, nie jestem pewny, czy zechcą go przyjąć na wymianę za matkę. Pozostałych dzieci nie biorę pod uwagę, bo są za młode. Powiedźcie tu wszyscy, co mamy robić. Czy mamy pozwolić, żeby wasza matka, a moja żona, wyjechała do Niemiec, a my tu zostaniemy sami. Proszę się wypowiedzieć”. Stasiek był zadowolony, bo wyrok ojca padł na kogoś innego, a nie na niego. Józiek nie mówił nic. Przyszła kolej na mnie. Po krótkim zastanowieniu oświadczyłem, że jestem jeszcze za młody do ciężkiej pracy, mogę wykonywać tylko jakieś prace pomocnicze. Trzeba również liczyć się z tym, że mogę tu już więcej nie wrócić, bo tam będzie trudno przeżyć wojnę. Ale jeżeli tata uważa, że powinienem jechać za mamę, to pojedę. W tym momencie poczułem strach i jednocześnie uczucie bohaterstwa. Pomyślałem sobie, że w tej rodzinie nie jestem potrzebny i chcę się mnie pozbyć, ale z drugiej strony stanę się wyzwolicielem mamy i bohaterem. Ta myśl upewniła mnie, że moja misja jest bardzo pożyteczna dla matki. Powiedziałem jeszcze raz głośniej przed wszystkimi: „Zdecydowałem się pojechać za mamę do Niemiec”. Trudna i bolesna sprawa rodzinna została rozstrzygnięta.

Następnego dnia należało wcześniej wyjechać, by przed godziną 10 zdążyć na komisję deportacyjną w Opocznie. W nocy nie spałem, męczyły mnie różne myśli – głównie te najgorsze. Czułem się skazany na tułaczkę, ponieważ i represje ze strony wroga.

Wcześniej rano wyruszyliśmy z ojcem w drogę wozem ciągniętym przez konia. Zabrałem ze sobą odzież i trochę jedzenia. Ojciec dał mi ćwiartkę wódki na najtrudniejsze chwile. Pożegnanie z rodzeństwem było bardzo skromne, bo wszyscy byli przerażeni i onieśmieleni. Siedząc w czasie jazdy na wozie obok ojca, dokładnie przyglądałem się wszystkiemu, co spotykałem po drodze: drzewom, ludziom, budynkom, drodze, którą jechaliśmy, bo uważałem, że widzę je po raz ostatni.

Rozmowa z ojcem była trudna, bo się martwił. Często powtarzał: „Jakich ja czasów doczekałem, żebym musiał syna sam wywozić na roboty do Niemiec. Żonę mi zabrali, no i co mam robić? Janek, jak tylko będziesz na miejscu, zaraz napisz, bo wszyscy będziemy czekali na wiadomość od ciebie. Nadchodzi marzec, mrozów już może nie będzie, powinno być coraz cieplej, to łatwiej przyzwyczaisz się do tamtego klimatu. Pamiętaj Janek, napisz jak najprędzej. Ale co będzie, jak ciebie nie przyjmą, może powiedzą, że jesteś za młody, to co będzie? Żonę wywiozą. Mój Boże, co za czasy”. Rozmowa się nie kleiła, bo i o czym tu mówić, jechałem przecież na stracenie. Nie wytrzymam tego, co mnie czeka – myślałem. Kto wie, ile to lat przyjdzie być niewolnikiem, ale trudno, żeby tylko mamę wypuścili.

W Opocznie byliśmy około godziny 9.30. Ojciec wprowadził mnie przed komisję deportacyjną i powiedział, że ja pojedę do Niemiec na roboty za matkę. Po krótkiej naradzie zgodzono się na wymianę. Mamę przyprowadzono, żeby pożegnała się ze mną, a ja dołączyłem do grupy ludzi przebywających w wielkiej sali gimnastycznej. Spotkałem tu znajomych z mojej wsi.

## Deportacja

Tego samego dnia, około południa, ustawiono nas rzędami na boisku szkolnym, według uprzednio przygotowanych list. Następnie w kolumnie, pod uzbrojoną strażą niemiecką, przeprowadzono nas przez miasto na stację kolejową i załadowano do wagonów. Z rodzicami nie mogłem się pożegnać po raz drugi.

Z daleka pomachałem im tylko. Gdy szliśmy przez miasto, żegnały nas tłumy ludzi, a my czuliśmy się tak, jakbyśmy szli na stracenie.

Wagony osobowe zapełniły się. W każdym uzbrojona straż pilnowała, żeby ktoś nie ważył się uciekać. Pod eskortą, przez Tomaszów Mazowiecki, Koluszki i Piotrków Trybunalski, dojechaliśmy do Częstochowy. Tu ustawiono nas w kolumnie jak na jakąś defiladę i przeprowadzono przez miasto do baraków strzeżonych przez policję. W barakach były zbite z desek piętrowe prycze. Raz dziennie podawano ciepłą zupę z brukwi, gotowaną na końskim mięsie. Po dwóch dniach oczekiwania odczytano z list nazwiska tych, którzy mają wyruszyć do przeglądu lekarskiego. Ustawiono nas w kolumnie i zaprowadzono do innych baraków. Tam odbyło się badanie lekarskie, dezynfekcja i dezynsekcja ciała i odzieży. Po tych czynnościach zaprowadzono nas do jeszcze innych baraków.

Następnego dnia rano, w kolumnach i pod strażą uzbrojonych żołnierzy, przeprowadzono nas przez miasto do pociągu. Często słychać było strzały. To strzelano do uciekających. Na stacji kolejowej wsiedliśmy do wagonów osobowych długiego pociągu. Stąd jechaliśmy do Breslau (Wrocławia). W Breslau ustawiono nas na peronie przed wagonami, sprawdzono i policzono, a potem zaprowadzono do baraków – podobnych jak te w Częstochowie. Tu dano nam zupę z buraków pastewnych. Nie było tu już uzbrojonych żołnierzy, ich miejsce zajęli uzbrojeni Ukraińcy.

W następnym dniu formowano grupy po 50-100 osób i stopniowo odprowadzano do pociągów, które jechały w różne strony Niemiec. Mnie przewieziono do Wałbrzycha, a następnie z grupą około 20 osób – zabrano do Landeshut (Kamiennej Góry), a stamtąd rozwożono już samochodem osobowym do konkretnych miejsc pracy. 7 marca 1942 roku, o trzeciej po południu, wraz z dwoma kolegami z Opczna, znalazłem się w miejscowości Reichhennersdorf, Kreis Landeshut (Przedwojów, powiat Kamienna Góra). Przydzielono mnie do bauera Gustawa Alta. Koledzy też mieli pracować u bauerów.

## Praca niewolnicza

Państwo Altowie przyjęli mnie obojętnie. Spodziewali się zapewne kogoś większego, silniejszego, zdarnego do pracy. Zaprowadzono mnie do małego pokoiku z niedużym okienkiem. W pokoju stały: łóżko, stolik, a w kącie żelazny piecyk do ogrzewania, z którego nigdy nie korzystałem. Na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej. Gdy rozpakowałem się i umyłem, zaproszono mnie do mieszkania na pierwszy posiłek. Był to jedyny posiłek spożywany razem z gospodarzami, następane jadałem już sam w moim pokoiku. Potem Gustaw Alt wypytywał mnie o coś, czego nie mogłem zrozumieć. Następnie oprowadził mnie po swoim gospodarstwie, które składało się ze stodoły, obory z sześcioma krowami i dwoma bykami, do tego dziesięć świń, kury i gęsi. Zorientowałem się, że jest to gospodarstwo średniej wielkości (12 - 15 ha), w którym pracuje dwoje starych ludzi. Bauer był szczupły, wysoki (około 180 cm), miał ponad 70 lat. Bauerka zaś gruba, niskiego wzrostu (około 155 cm), o twarzy okrągłej, z długim nosem, w wieku powyżej 60 lat. Dodatkowa siła robocza była im potrzebna.

Gdy wyszedłem na podwórko, zobaczyłem, że otaczają nas wysokie góry, ich szczyty porośnięte są lasami, a zbocza zasypane śniegiem. Wieś znajdowała się w rozległej dolinie śródgórskiej. Wzdłuż wsi płynął wartki potok, dopływ rzeki Bóbr. Droga prowadząca przez wieś była kręta, a od niej odchodziły mniejsze dróżki do poszczególnych gospodarstw. Był to dla mnie dziwny, a zarazem ciekawy krajobraz. Wydawało się, że można tu bezpiecznie przeżyć wojnę.

Zaraz przystąpiono do pracy. Szef pokazywał mi, jak mam wykonywać poszczególne czynności przy zwierzętach i w całym gospodarstwie. Wstawałem o 6 rano, spać chodziłem o 10 wieczorem. Godziny pracy nie były normowane, latem pracowałem od świtu do nocy.

Po paru dniach dowiedziałem się, gdzie i u których bauerów pracują moi koledzy z Opczna. Obaj pracowali w pobliżu, około 200 m ode mnie. Początkowo było mi trudno porozumieć się z gospodarzami, oni coś mówili po niemiecku, a ja nic nie rozumiałem. Można było tylko domyślać się po gestach ich rąk i minach, o co chodzi. Potem stopniowo zacząłem ich trochę rozumieć i niektóre wyrazy wymawiać. Po paru miesiącach już ich rozumiałem w zakresie potrzebnym przy wykonywanej pracy.

Początkowo nie wiedziałem, co mi wolno, a co jest zabronione: czy w niedzielę mam jakiś czas wolny, czy nie, czy w wolnym czasie mogę spotkać się z kolegami, pójść do kościoła, czy nie. Nikt mi tego nie

powiedział. Cały czas przebywałem w gospodarstwie i nigdzie się nie oddalałem. Dopiero dzięki późniejszemu kontaktowi z Polakami już tam pracującymi dowiedziałem się, jakie obowiązują mnie reguły. Od początku wojny pracował tu Polak Adam Ziętek, który bardzo dobrze umiał mówić po niemiecku. To on przekazywał nam dokładne instrukcje. Pracowało tu też kilkoro innych Polaków. Kontakt z nimi przynosił mi pewne zadowolenie, czułem, że w tej ciężkiej sytuacji nie byłem sam.

Po dwóch tygodniach bauer zabrał mnie do oddalonego o około trzy kilometry miasta powiatowego Landeshut. Tu robiono mi zdjęcia i wyrabiano jakieś dokumenty. Otrzymałem jedno takie zdjęcie i parę liter „P”, drukowanych na materiale. Musiałem je przyszyć do odzieży z prawej strony. Pokazano mi moje dokumenty, ale gospodarz zabrał je do siebie.

Najbardziej dokuczała mi tęsknota za krajem, wsią i domem rodzinnym. Wiedziałem, że rodzice martwią się o mnie i tęsknią, tak jak ja. Pierwszy list napisałem w tonie łagodnym, by nie martwili się o mnie. Potem czekałem na odpowiedź z domu. Pewnego dnia, już wieczorem, poproszono mnie do mieszkania gospodarzy i wręczono mi list od rodziców. Kazano mi otworzyć i przeczytać. Na widok listu rozplakałem się, nie mogłem czytać, bo łzy nie pozwalały, zalewały pismo, zmywały litery. Po dłuższej przerwie list przeczytałem. Zaczęto mnie pytać, co się stało w domu, że tak płaczę, ale mówiłem, że jest dobrze, bo cóż innego mogłem im powiedzieć. Następne listy przekazywano mi dopiero po kolacji, przed spaniem, i już nie pytano, co dzieje się u rodziców.

Tęsknota nadal dokuczała. Myślałem, jak się stąd uwolnić. Podczas spotkania z kolegami, z którymi przyjechałem, rozmawialiśmy na ten temat, bo oni myśleli o tym samym. Wreszcie przyszedł mi do głowy dobry pomysł, żeby podczas rąbania drzewa uciąć sobie palec u lewej ręki: wtedy nie będę zdolny do pracy i będą musieli odesłać mnie do domu. Mijały dni, a drzewa nie kazano mi rąbać. Podczas spotkania z kolegami zdradziłem im swój plan. Następnego dnia jeden z kolegów zrealizował mój pomysł. Miałem do niego pretensje. Zabrano go do szpitala, palec opatrzone i przyprowadzono z powrotem, ale już do innego bauera. Po krótkim czasie palec zagoił się, a kolega pracował jak przedtem.

Rodzice ciągle prosili w listach, by opisać im położenie mojej miejscowości, bo nie umieli sobie tego wyobrazić. W wolnym czasie w niedzielę narysowałem ołówkiem plan i zazaczyłem na nim gospodarstwa, w których pracowali Polacy, Ukraińcy i Rosjanie. Miałem dokończyć go później, bo pewne szczegóły wymagały jeszcze dokładniejszego zbadania. Tymczasem włożyłem go pod przykrycie na stoliku i o nim zapomniałem. Będą tego przykre następstwa, do których jeszcze powrócę.

Nadeszła wiosna 1942 roku, ale dopiero w połowie kwietnia. Stopniały śniegi, odkryły się pola i łąki. W gospodarstwie czyniono przygotowania do prac polowych. Siłą pociągową w tej miejscowości były przeważnie krowy i woły. Mój bauer posługiwał się dwoma wołami. Trzeba było nauczyć się zaprzęgać je do wozu i pracować nimi w polu. Były silne, ale za to bardzo powolne.

W pobliżu zabudowań, po stronie południowej, znajdowała się duża łąka, dalej na stoku góry gospodarz miał wielki płat ziemi uprawnej. Tu od wiosny do późnej jesieni spędzano przy pracy najwięcej czasu. Ze stoku roztaczał się piękny widok na całą wieś Reichhennersdorf i częściowo na miasto Landeshut.

W dni powszednie o 9 rano uzbrojeni żołnierze z psami prowadzili drogą obok naszego pola około 200 więźniów w pasiakach do pracy w kamieniołomach (najprawdopodobniej byli to więźniowie jednego z komand roboczych obozu koncentracyjnego Gross-Rosen). Z wyglądu można było wnioskować, że mężczyźni ci są mocno wygłodzeni. Powrót tą samą drogą następował około godziny 16. Na końcu kolumny więźniowie zawsze kogoś podtrzymywali, żeby się nie przewrócił. Był to wielce przygnębiający widok.

Praca w gospodarstwie była bardzo ciężka, tym bardziej że wymagano ode mnie coraz więcej. Podczas dużego wysiłku fizycznego nie pozwalano nawet na mały odpoczynek. Starano się, by wszystkie prace polowe i w gospodarstwie były wykonane do połowy listopada. Potem następowała zima z dużymi opadami śniegu i silnymi mrozami. W czasie od 15 listopada do końca marca następnego roku pracowałem w lesie. Była to najgorsza robota, bo przy wycinaniu drzew śnieg sypał się na głowę, ubranie i buty, wszystko stawało się mokre, na zmianę nie było co włożyć, a suszyć nie było gdzie. Wyżywienie było przeciętne, raczej mało kaloryczne, a smakowało różnie. Jako wynagrodzenie dostawałem niewielkie kieszonkowe w markach niemieckich. Właściwie pieniądze nie były tu potrzebne, bo nie było co za nie kupić.



Mijały dni i miesiące, lato, potem zima i znów lato. Czas upływał powoli. Tęsknota nie ustawała. Za to restrykcje ze strony gospodarzy były coraz bardziej surowe. Niemiec sąsiadujący z moimi baueraми często informował mnie, żebym uważał, bo są to ludzie źli i są hitlerowcami. Przyjmowałem to z niedowierzaniem, uważałem, że są to tylko złe stosunki sąsiedzkie. Potem zorientowałem się, że odnoszenie się moich gospodarzy do mnie było odbiciem niepowodzeń na frontach prowadzonej wojny. Po każdej przegranej większej bitwie stosunek Niemców do tutejszych cudzoziemców zaostrzał się. Zauważyłem, że w moim pokoiku odbywają się częste rewizje – czego szukano, nie wiedziałem. Listy z domu dostawałem otwarte. Z pokoiku przeniesiono mnie na strych mieszkania, spałem tylko pod kocem. Były również nocne kontrole, badano, czy jestem na miejscu. Gospodyni często krzyczała, że Polacy i Rosjanie to są świny i bandyci. Po jakimś czasie na mnie też mówiła, że jestem swinią i bandytą, tak jak wszyscy Polacy. Pogorszyła się jakość wyżywienia. Inni gospodarze zachowywali się w stosunku do cudzoziemców znacznie łagodniej.

Mimo wzrastających restrykcji wolno było w niedzielę spotykać się z kolegami, chodzić do kościoła i na spacer. Nie pozwalano nam natomiast oddalać się poza wieś ani jeździć rowerem. Po godzinie 20 należało przebywać w miejscu zamieszkania. O sytuacji na frontach wojny dowiadywaliśmy się od Niemców dobrze ustosunkowanych do Polaków. Niektórzy Niemcy potępiali politykę Hitlera dotyczącą podboju innych narodów. Byli przekonani, że przegrają wojnę.

### Aresztowanie wroga

27 czerwca 1944 roku, o siódmej rano, kiedy pracowałem przy inwentarzu, zjawił się policjant. Przywołał mnie do siebie, wyjął ze swojej torby mój plan wsi Reichhennersdorf narysowany wiosną 1942 roku i zapytał: co to jest i czy ja to rysowałem. Odpowiedziałem, że to ja rysowałem i to jest tutejsza wieś. Wypytywał mnie jeszcze o różne szczegóły na tym planie i cel jego powstania. Odpowiedziałem, że chciałem wystać rodzicom do Polski, żeby wiedzieli, jak jest usytuowana tutejsza osada i gdzie pracują moi koledzy Polacy. „Dlaczego nie wystąłeś tego rodzicom?”. Moja odpowiedź: „Bo zapomniałem”. Końcowe stwierdzenie policjanta: „Jesteś aresztowany”.

Zaprowadził mnie do pomieszczeń urzędu gminy, zamknął na klucz w małym pokoju i gdzieś poszedł. Około godziny 10 rozpoczęło się przesłuchanie. Przesłuchiwał mnie Niemiec, rodem ze Śląska, o nazwisku Świątek, pracujący tam jako sekretarz. Doskonale mówił po polsku, ale odzywał się do mnie po niemiecku. Potem słyszałem przez ścianę, jak zeznawali moi gospodarze. Po godzinie 14 zostałem przewieziony na komendę policji w Landeshut. Tam znów mnie przesłuchiowano w języku niemieckim, a potem osadzono w areszcie. Siedziałem sam, w osobnej celi. Dostawałem na śniadanie kawałek chleba z margaryną i do popicia trochę czarnej kawy zbożowej bez cukru. Na kolację było to samo. Na obiad pół litra wodnistej zupy z buraków pastewnych. Razem ze mną przebywało około 30 osób, w tym Rosjanie, Czesi i Niemcy. W godzinach 9-12 i 14-17 na podwórku więziennym rąbaliśmy drzewo. Nie wolno było ze sobą rozmawiać, śmiać się, śpiewać itp. Po dwóch tygodniach nie mogłem poznać się w lustrze, byłem błądy i chudy.

30 sierpnia 1944 roku o 10 rano przyszedł do mnie na podwórko Niemiec po cywilnemu i powiedział po polsku: „Janek zostaw tę siekierę i pójdz ze mną”. Tak też uczyniłem. Zaprowadził mnie na komendę policji i tam czytano mi jakieś pismo w języku niemieckim, które kazano mi podpisać. Z treści pisma wynikało, że jestem już wolny i mam powrócić do swojego bauera Gustawa Alta. Zapytano mnie, czy ma mnie zaprowadzić policjant, czy pójde sam. Powiedziałem, że pójde sam.

Idąc przez Landeshut, zauważyłem, że w pewnej odległości za mną idzie ten sam człowiek, który przyszedł po mnie do więzienia. Zapewne śledził mnie, czy idę we właściwym kierunku. Cały czas zastanawiałem się, co mam dalej ze sobą zrobić: czy pójść do tego samego bauera Gustawa Alta, czy pójść do wójta i prosić o zmianę miejsca pracy. Instynkt podpowiadał mi: „Nie chodź tam, bo oni zrobią ci jeszcze większą krzywdę”. To są źli ludzie, tak jak mówił mi ich sąsiad. Poszedłem do wójta Emila Klosa i prosiłem o innego gospodarza. Po wysłuchaniu moich uzasadnień zastanowił się i zaraz rozmawiał z kimś przez telefon. Potem powiedział: „Jest to trudna sprawa, ale to się może udać, jeżeli zechcesz pracować u mnie. Jesteśmy zwolennikami Hitlera, dla niego żyjemy i pracujemy. U nas jest dużo pracy, jeżeli chcesz, to zostaniesz”. Zostałem.

## Praca u bauera Emila Klosa

Wójt pokazał mi miejsce do spania, które znajdowało się na poddaszu. Oprowadził mnie po swoim gospodarstwie. Gospodarstwo było dość duże, 20-25 ha razem z łąką. Następnie zaprowadził mnie do stajni, gdzie stały dwa kare konie. Tu powiedział: „Będziesz się nimi opiekował i razem z nimi pracował”. Pokazał mi, jak należy konie czyścić, karmić i zaprzęgać. Każdego dnia rano wyznaczał mi prace. Tu czułem się bardziej samodzielny, nikogo przy mnie nie było i nikt nie patrzył, co ja robię, jak to było u Gustawa Alta. W tym samym gospodarstwie pracowała już Ukrainka o imieniu Marusia, jej nazwiska nigdy nie poznałem. Zajmowała się głównie dwunastoma krowami, pomagała gospodyni w domu i włączała się do prac polowych. Marusia przekazywała mi wiele informacji dotyczących pracy i obyczajów rodziny Klosów.

Klosowie mieli po około 50 lat. Najstarszy z trzech synów walczył na froncie wschodnim. Młodszy chodził jeszcze do szkoły w Landeshut. Bauer Emil Klos, szczupły, średniego wzrostu, był ciągle zajęty sprawami całej osady. Jego żona, dobrze zbudowana, wysokiego wzrostu, była pogodnie usposobiona do życia. Żartowała, śmiała się, mimo że Niemcy już przegrywali bitwy na wszystkich frontach. Martwili się o najstarszego syna, byliby spokojniejsi, gdyby walczył na Zachodzie. Mówiono mi, że Alt stara się mnie odebrać, bo on nie ma nikogo do roboty. Napisał już pismo do biura pracy. Dowiedziałem się też, że moje aresztowanie i pobyt w więzieniu przypadły na czas Powstania Warszawskiego.

Około 20 września 1944 roku przywieziono do pracy 14 kobiet, które brały udział w powstaniu. Gustaw Alt otrzymał jedną. Warszawianki nie umiały pracować w gospodarstwie rolnym, dlatego bauerzy denerwowali się na nie. One przychodziły z płaczem do mojego gospodarza na skargę. W tych sprawach byłem dla nich tłumaczem. Początkowo Emil Klos chodził i łagodził wynikłe spory. Gdy konflikty przedłużały się, powiedział, żeby wszystkie, które mają pretensję do swoich gospodarzy, przybyły w niedzielę o godzinie 10 na jego podwórko. Przyszło 14 kobiet. Wyszedł do nich i mówił podniesionym głosem, a mnie kazał tłumaczyć na język polski. Treść jego mowy można streścić następująco: „Teraz jest wojna, walczymy ze sobą. Po naszej i waszej stronie giną ludzie. Wy jesteście naszymi niewolnikami i macie robić to, co wam każemy. Jeżeli nie chcecie robić, to nie dostaniecie jeść. Jako niewolnikom stwarzamy wam zbyt dobre warunki do życia, macie nas słuchać i pracować”. Od tego czasu nikt nie przychodził skarżyć się na swojego bauera.

Mój obecny gospodarz, mimo że był hitlerowcem, to dla mnie nie był zły. Nie wyzywał mnie, nie ubliżał, traktował jak normalnego człowieka. Mimo to policja nadal często mnie odwiedzała i przeprowadzała rewizje.

Po zakończeniu prac polowych, od 16 listopada skierowano mnie do pracy w lesie. Z uwagi na silne mrozy i wielkie opady śniegu był to najtrudniejszy okres do przetrwania. Rano i wieczorem pracowałem przy koniach, a w godzinach 9-16 w lesie.

## Ucieczka przed armią radziecką

Nerwowość wśród Niemców potęgowała się. Jedni byli przygnębieni sytuacją na frontach, drudzy chodzili źli i pomstowali na obce wojska, walczące na terenach ich kraju, a jeszcze inni uważali, że armia niemiecka obroni ich kraj. O klęsce nikt nie myślał.

W końcu kwietnia 1945 roku moi gospodarze rozpoczęli przygotowania dwóch wozów do dalekiej podróży. Znoszono do nich jakąś żywność dla ludzi i koni, odzież i pościel. Założono rusztowania do naciągnięcia plandeki. Na trasie Landeshut-Liebau wzmógł się ruch aut ciężarowych i osobowych. Wszystkie jechały w kierunku południowym. Niektóre opróżniano z nadmiaru ładunku. Coś się działo nadzwyczajnego, ale nie wiedzieliśmy jeszcze co. Narastała psychoza. Około godziny 10 Emil Klos przywołał nas, mnie i kolegę Tadeusza. Następnie powiedział: „Obaj jedzcie z nami. Nie próbujcie uciekać, mam pistolet i będę strzelał. Macie być grzeczni i posłuszni, a nic wam się nie stanie. W tej sytuacji musieliśmy przyjąć jego warunki. Prosiłem o lepsze obuwie i zabranie ze sobą roweru, żebym miał na czym wrócić. Tadek chciał zabrać drugi rower. Prośby zostały spełnione.

Około południa ruszyliśmy w stronę Liebau. Wyjeżdżała cała rodzina Klosów, łącznie z rodzicami i dziećmi, razem z nami było 12 osób. Gdy jechaliśmy przez wieś, ludzie stali obok drogi i przesyłali im jakieś

życzenia. Po wyjechaniu na główną drogę musieliśmy poruszać się prawą stroną, przy samym poboczu, bo lewą jechały samochody wojskowe i cywilne. Za Liebau skręciliśmy w boczną drogę, mniej zatłoczoną samochodami. Przejechaliśmy granicę czeską i dalej jechaliśmy w kierunku południowo-zachodnim. Pod wieczór zajechaliśmy na nocleg do jakiegoś gospodarza. Po kolacji mnie z Tadkiem zamknięto na klucz w stodole, spaliliśmy na słomie pod kocami.

Następnego dnia wyjazd nastąpił o 9 rano, jechaliśmy do godziny 16. Zwierzęta były zmęczone i należało zrobić przerwę. Trzeciego dnia było już słychać z tyłu strzały z ciężkiej broni i wybuchy bomb. To armia radziecka podążała za nami i gdzie Niemcy stawiali opór, tam zaczynały się walki. Na głównej trasie tłok był coraz większy, uciekali cywile i wojskowi. W takiej atmosferze jechaliśmy pięć dni. Ostatniego dnia byliśmy wszyscy zmęczeni i przerażeni. Pod wieczór odjechaliśmy około dwa kilometry w prawo od głównej drogi i zatrzymaliśmy się. Cały czas słychać było za nami wystrzały armatnie, a ich odgłosy przybliżały się. Idąc na nocleg do stodoły, wiedzieliśmy, że są to już ostatnie godziny, decydujące o naszym wyzwoleniu. Tej nocy nie było spania, bo strzały słychać było koło nas. Potem ich natężenie stawało się coraz słabsze. Łatwo było się domyśleć, że główny front bojowy już nas wyprzedził.

Gdy nas wypuszczono ze stodoły, zobaczyliśmy, że ranek jest ciepły i słoneczny. Zaraz poszliśmy z Tadkiem do głównej trasy. Zobaczyliśmy żołnierzy armii radzieckiej, jak kierowali ruchem pojazdów. Środkiem jezdni jechały rosyjskie samochody wojskowe, a poboczem z lewej strony szły grupy rozbrojonych żołnierzy niemieckich. Wszyscy podążali na zachód. Patrzyliśmy jeszcze długi czas na całkiem odmiennych żołnierzy. Rosjanie – bojowi, dumni, pewni siebie, jechali samochodami, a Niemcy – smutni, zrezygnowani, resztkami sił szli przed siebie. Oddziały jednych i drugich ciągnęły drogą bez końca.

### **Powrót do domu – do Polski**

Wracając z trasy do swoich bauerów, postanowiliśmy, że zaraz wyruszamy w drogę powrotną. Gdy przyszliśmy na miejsce, Emila Klosa już nie było. Na miejscu pozostała rodzina. Powiedzieliśmy im, jak wygląda sytuacja na trasie, że czujemy się już wyzwoleni i zaraz wyjeżdżamy do domu — do Polski. Cieszyliśmy się z odzyskanej wolności, że wreszcie uwalniamy się od Niemców i jedziemy do domu. Nasza gospodyni dziękowała nam za pracę u nich, trudy i niewygody, ale mówiła: „Wszystkiemu winna wojna”. Po krótkiej rozmowie i ogólnym pożegnaniu zabraliśmy przywiezione rowery i wyruszyliśmy w drogę powrotną do domu.[...].



*Baraki w austriackim Kaprun, b.d. Przy budowie elektrowni wodnej w Großglocknergebiet zatrudnionych było ponad 10 tys. robotników przymusowych. (AFPNP)*

# Niewola jeniecka

Według powojennych szacunków Biura Odszkodowań Wojennych, w walkach z Wehrmachtem w 1939 roku zginęło około 66 000 polskich żołnierzy i oficerów, 134 000 zostało rannych, a około 420 000 dostało się do niewoli niemieckiej. W październiku i listopadzie 1939 roku wypuszczono na wolność jeńców narodowości niemieckiej, ukraińskiej, białoruskiej. W zimie 1940 roku zwolniono kilkadziesiąt tysięcy Żydów, którzy wkrótce stali się ofiarami holokaustu.

Żołnierzy polskich wziętych do niewoli w czasie trwania działań wojennych kampanii wrześniowej – oddzielnie szeregowych, oddzielnie oficerów – Niemcy grupowali w punktach zbiorczych, a następnie umieszczali w obozach jenieckich o charakterze przejściowym zwanych Dulagami. Były to najczęściej zaadaptowane na ten cel koszary, majątki ziemskie, hale fabryczne. Po podpisaniu aktu kapitulacji jeńców przewieziono transportami kolejowymi do obozów jenieckich zorganizowanych na terenie Trzeciej Rzeszy. Podlegały one Naczelnemu Dowództwu Sił Zbrojnych Niemiec. Szeregowych umieszczano w stalagach, oficerów zaś w oflagach. Tereny Trzeciej Rzeszy podzielone były na dwadzieścia jeden okręgów wojskowych. W stalagach panowały tragiczne warunki socjalno-bytowe. W pierwszych miesiącach niewoli (była to zima 1939/40) jeńcy spali pod namiotami, w garażach, stajniach itp. Niewiele lepiej przedstawiała się sytuacja tych, którzy trafili do baraków. Te z reguły nie były opalane, panowało w nich przeludnienie, nie było światła i bieżącej wody. Tragiczne warunki higieniczne, brak ubrań na zmianę prowadził do epidemii wszawicy i sprzyjał szerzeniu się różnego rodzaju chorób. Wydawane racje żywnościowe były głodowe. Wehrmacht świadomie dążył do fizycznego wyniszczenia jeńców. Rannym i chorym nie udzielano właściwej pomocy medycznej, a stosunek personelu do chorych był wrogi.

Jeńcy polscy już we wrześniu 1939 roku zostali zatrudnieni do wielu prac – szczególnie w rolnictwie, a następnie – wbrew konwencji genewskiej – także w przemyśle zbrojeniowym. Wykonywali również wszystkie prace fizyczne przy budowie baraków na terenie obozów jenieckich.

Ze szczególną nienawiścią Niemcy odnosili się do podchorążych Wojska Polskiego. Podchorążowie – około 3500 osób – byli traktowani jak szeregowcy, mimo że polskie władze obozowe traktowały ich na równi z oficerami. Wbrew konwencji genewskiej zatrudniano ich przy szczególnie uciążliwych pracach na lotniskach i w przemyśle zbrojeniowym, przy budowie dróg, w kopalniach, kamieniołomach. Za pracę nie otrzymywali wynagrodzenia. Najbardziej opornych wysyłano do jenieckich obozów karnych, gdzie warunki życia i pracy były szczególnie uciążliwe. Obozy te: Oberlangen, Fulen, Vullen, Wesuwe, Bathorn położone były na terenach bagnistych, co było przyczyną poważnych dolegliwości zdrowotnych. W czerwcu 1940 roku grupę około 300 podchorążych przekazano w ręce Gestapo.

Na wiosnę 1940 roku, wobec dotkliwego w Trzeciej Rzeszy braku rąk do pracy, Hitler wydał dekret, w którym rozkazał zwolnić z niewoli polskich szeregowców i podoficerów, przenieść ich na status robotników cywilnych, a następnie przymusowo zatrudnić do pracy na rzecz gospodarki niemieckiej. Posługując się różnymi formami nacisku, począwszy od obietnic a skończywszy na groźbach i biciu, Niemcy zmusili do podpisania zobowiązań pracy około 140 000 szeregowców i podoficerów. Fakt ten był równoznaczny z utratą praw jenieckich, wynikających z konwencji genewskich oraz pozbawieniem pomocy i opieki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. W ten sposób objęto ich dyskryminujące prawo specjalne, wprowadzone na mocy rozporządzeń Himmlera. Zostali pozbawieni jakiegokolwiek ochrony i wydani na pastwę niemieckiego aparatu policyjnego – Gestapo. Mogli w każdej chwili być aresztowani i zesłani do obozów koncentracyjnych. Od momentu wyjścia ze stalagu jeniec przechodził pod władzę urzędu pracy, do którego musiał zgłosić się niezwłocznie i podjąć pracę.

Odmowa podpisania zrzeczenia się statusu jeńca wojennego kończyła się represjami. W najlepszym wypadku był to szantaż dotyczący kar, jakie mogą spaść na rodziny, lub pobicie jeńca. Często w takich wypadkach jeńcy trafiali do siedzib Gestapo lub policji, gdzie poddawani byli torturom, po których umieszczano ich w karnej kompanii, obozie karnym, więzieniu, a nawet obozie koncentracyjnym.

Proces zmieniania statusu jeńców na status robotników cywilnych rozpoczęty w 1940 roku był procesem ciągłym, postępującym przez cały okres wojny. Tym bardziej, że w niewoli niemieckiej znaleźli się żołnierze polscy walczący we Francji, żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz żołnierze I Armii Wojska Polskiego.

We wrześniu 1944 roku w obozach jenieckich przebywało jeszcze około 53 000 jeńców.

Po upadku Powstania Warszawskiego do niewoli trafiła liczna – osiemnastotysięczna grupa jeńców (w tym około 2800 oficerów). Wśród wziętych do niewoli było około 2700 kobiet oraz 553 osoby nieletnie (od 8 do 18 lat). Konwencja genewska nie przewidywała pobytu w stalagach kobiet i dzieci. Sytuację komplikował również fakt, iż wśród jeńców znalazły się też kobiety w ciąży.

Po Powstaniu Warszawskim po raz pierwszy przyznano status jeniecki kobietom i małoletnim. Niemcy zobowiązali się do stosowania wobec nich postanowień konwencji genewskiej. W niewoli jednak zarówno kobiety, jak i małoletnich traktowano tak jak dorosłych mężczyzn. Jeszcze w obozach przejściowych w Ożarowie i Pruszkowie starano się nakłonić ich, podobnie jak pozostałych, do zrzeczenia się statusu jenieckiego. Akcją tę kontynuowano również po przewiezieniu do stałych obozów jenieckich. Kobiety odrzuciły tę propozycję, mimo to wysłano je do komand pracy w fabryce broni w Chemnitz oraz Goslar. Zatrudnione zostały na takich samych warunkach, jak robotnicy przymusowi. Część kobiet odmawiających uporczywie pracy przewieziono do dwóch karnych obozów jenieckich w Oberlangen i Molsdorf, gdzie stworzono im warunki przypominające obóz karny: uciążliwe apele, złe warunki mieszkaniowe i sanitarne, głodowe racje żywnościowe. Ponadto oba obozy położone były na terenie bagnistym co wpływało negatywnie na sytuację zdrowotną. Małoletnich jeńców powstania podzielono na dwie grupy: jedna pracowała w fabryce zbrojeniowej w Chemnitz, druga w fabryce zbrojeniowej w Brokwitz.

Jeńców z Powstania Warszawskiego zatrudniano głównie w fabrykach produkujących na rzecz przemysłu wojennego. Praca ta była nie tylko bardzo ciężka, lecz także niebezpieczna. Obiekty te były nieustająco bombardowane przez lotnictwo alianckie, dlatego wielu pracujących tam jeńców nie doczekało chwili wyzwolenia.



Znakowanie jeńców polskich w obozie, b.d.m. (IPN)



*Jeńcy polscy konwojowani przez żołnierzy Wehrmachtu, wrzesień 1939 r. (IPN)*



*Apel polskich jeńców wojennych w Stalagu VII A Moosburg w Bawarii, b.d. (AZHRL)*

**CZESŁAW STOKOWSKI**

# **Z niewoli do domu. Wspomnienia żołnierza**

*Autor urodził się w 1913 r. w Grochowie, pow. Sokołów Podlaski. Jako zawodowy podoficer Wojska Polskiego uczestniczył w wojnie obronnej. 13 września dostał się do niewoli niemieckiej i trafił do Stalagu I A w Prusach Wschodnich. W końcu września został wywieziony do miejscowości Baalau (Balewo) w okolicach Sztumu, gdzie pracował w majątku ziemskim do chwili ucieczki w czerwcu 1942 r.*

---

W maju 1935 roku zostałem powołany do odbycia służby wojskowej w stacjonującym w Zambrowie 71. pułku piechoty. Tam też ukończyłem w roku 1937 szkołę podoficerską. W marcu 1939 roku ukończyłem roczny kurs dywizyjny dla podoficerów zawodowych w 33. pułku piechoty w Łomży. Bezpośrednio po ukończeniu kursu zostałem wcielony w skład 7. kompanii 3. batalionu 71. pułku piechoty w Zambrowie. Przyjąłem obowiązki dowódcy 3. plutonu. Dowódcą 7. kompanii był kapitan Klemens Janitz. W kwietniu 1939 roku wraz ze swoim plutonem zostałem oddelegowany do specjalnych zadań – budowy fortyfikacji i umocnień w miejscowości Wizna nad rzeką Narwią. W tej miejscowości przebywaliśmy do 30 sierpnia 1939 roku.

W tym dniu całość odcinka fortyfikacyjnego przejął major Jakub Fober, dowódca 3. batalionu 71. pułku piechoty. Wieczorem, po przegrupowaniu wojsk na odcinku Wizna-Pstrągowo, dowództwo 7. kompanii przejął porucznik Stanisław Świsstek i wymaszerowaliśmy pełnym batalionem z Wizny w kierunku Czerwonego Boru.

7 września na odprawie u dowódcy kompanii dostałem rozkaz przeprowadzenia ze swoim plutonem zwiadu rozpoznawczego na odcinku wsi Szabły Stare – Szabły Młode. Było to bardzo trudne zadanie. Jednak zgłosiło się tak wielu ochotników, że część musiałem odesłać do szeregu. Po wyznaczeniu ubezpieczenia i zadań dla każdego uczestnika, wyruszyliśmy. Wyszliśmy z lasu i podążaliśmy w kierunku zabudowań wsi Szabły Młode. Kiedy znajdowaliśmy się na dużej łące, zza chmur wyrżał księżyc. Nagle z prawej strony wystrzeliły w niebo rakiety świetlne i zostaliśmy ostrzelani z broni maszynowej. Przywarliśmy do ziemi. Przypomniałem sobie, że niedaleko był rów melioracyjny, i skierowałem żołnierzy w jego stronę. Podczas przerw w kanonadzie oraz w chwilach ciemności wycofaliśmy się w tym kierunku. Na szczęście nikt nie został na łące zabity ani ranny, a Niemcy ujawnili swoje pozycje i rozmieszczenie stanowisk ogniowych. Po powrocie z rozpoznania sporządziłem raport, na podstawie którego dowództwo batalionu opracowało szczegółowy plan natarcia.

O świcie 8 września ruszyliśmy do ataku i wyparliśmy nieprzyjaciela z zajmowanych przez niego pozycji. W pogoni za uciekającymi Niemcami zdobyliśmy bardzo dużo sprzętu, samochodów, czołgów, broni i żywności.

W czasie natarcia na Zambrów od strony wsi Poryte stoczyliśmy 11 września duży i krwawy bój z nieprzyjacielem. Niemcy ostrzeliwali nas z dział artyleryjskich i broni maszynowej. W tej długiej i trudnej walce było wielu zabitych i rannych. Śmiertelnie ranny został też nasz dowódca, niestety, nic już nie mogłem zrobić, umierał na moich oczach, wyrывая z bólu rosnące wkoło krzaki kartofli.

Nocą z 12 na 13 września, po nieudanych próbach przebicia się przez otaczający nas pierścień wojsk niemieckich, zostaliśmy zmuszeni do poddania się. Niemcy rozbroili nas w miejscowości Łętownica koło Andrzejewa. Pomimo decyzji przełożonych o poddaniu się, miałem nadzieję, że zostaniemy odbici przez inne oddziały naszego wojska. Z myślą o przyszłej walce z wrogiem odpowiednio zabezpieczyłem i schowałem służbowego visa i spis osobowy plutonu. Wiedziałem, że przy pierwszej nadarzającej się okazji będę podejmował próbę ucieczki. Chciałem zabezpieczyć rodzinę przed konsekwencjami mojej ucieczki i dalszej walki. Podczas rozbrajania i spisywania moich personaliów, podałem nieprawdziwe dane – inną nazwę miejscowości zamieszkania, urodzenia, zataiłem też stopień wojskowy.

Wieczorem 13 września przepędzono nas pod silną eskortą niemieckich żołnierzy do Zambrowa na teren koszar 71. pułku piechoty. Zgromadzono nas na placu alarmowym. Jakże inaczej wyglądały nasze pocziwe koszary. Wszędzie zasieki z drutu kolczastego, wieże wartownicze z wycelowaną w nas bronią maszynową i masa niemieckich żołnierzy. Wielu spośród zgromadzonych na placu jeńców wojennych, tak jak ja, pełniło służbę wojskową w tym pułku, dlatego był to teren doskonale nam znany. Zaczęliśmy gromadzić się w jednym miejscu i myśleć o ucieczce. Około północy, kiedy byliśmy pewni, że Niemcy już zasnęli, podjęliśmy próbę wydostania się z terenu koszar przez wały ziemne strzelnicy pułkowej. Pomyliliśmy się i była to tragiczna pomyłka. Niemcy byli czujni i przygotowani na ewentualną ucieczkę. Kiedy tylko poderwaliśmy się z ziemi i zaczęliśmy biec w stronę wałów, rozbłyły światła reflektorów i zrobiło się jasno jak w dzień. Wartownicy z wież wartowniczych zaczęli ostrzeliwać nas z broni maszynowej. Byliśmy doskonałym celem i oprawcy strzelali do każdego, kto tylko drgnął. Musieliśmy leżeć bez najmniejszego ruchu do świtu. Wśród uciekających było wiele ofiar śmiertelnych, ale prawdopodobnie też kilku szczęśliwcom udało się uciec.



Po koszmarnej nieprzespanej nocy rano zostaliśmy dołączeni do kolumny jeńców wojennych, do której formowania Niemcy przystąpili o świcie. Wypędzono nas z placu koszarowego na drogę w kierunku Łomży. To była straszna droga. W tym długim 30 kilometrowym marszu wielu polskich żołnierzy padało ze zmęczenia, ale niemieccy żołdacy byli okrutni i biciem zmuszali nas, byśmy szli dalej. Ja też dostałem kilka razy kolbą karabinu w plecy, kiedy chciałem złapać jeden z pomidorów, które rzucali w naszym kierunku mieszkańcy jakiejś wsi, przez którą Niemcy prowadzili naszą kolumnę. Kresem tej drogi przez mękę okazał się plac alarmowy w koszarach 33. pułku piechoty w Łomży. Ten plac był naszym domem przez dwa dni. Byliśmy trzymani pod gołym niebem, bez jedzenia. Słyszałem, że gdzieś była kuchnia polowa, która wydawała posiłki, ale jej nie widzieliśmy, nie widzieliśmy też, żeby ktoś jadł jakiś posiłek. Za małą przylepkę chleba musiałem oddać zegarek, jedyną pamiątkę, którą wyniosłem z rodzinnego domu. Po dwóch dniach, 16 lub 17 września, w nieludzki wprost sposób przepędzono nas przez Jedwabne do stacji kolejowej Dłutowo (nie wiem, czy dobrze pamiętam, może źle odczytałem nazwę). Tam załadowano nas do krytych bydłęcych wagonów i wywieziono do obozu Stalag I A.

Rozpoczął się mój pobyt w obozie jenieckim Stalag I A. Życie w obozie było bardzo trudne. Zakwaterowano nas w starych poniemieckich magazynach mundurowych, wyposażonych w drewniane, piętrowe półki, które służyły nam jako miejsce do spania. Pomieszczenia były tak wysokie, że aby dotrzeć na samą górę, trzeba było robić piramidę. Inaczej nie było możliwości dostania się na swoje miejsce. Na tych półkach-deskach i bez żadnego okrycia spędzaliśmy noce. Jedynym odzieniem był płaszcz i mundur polskiego żołnierza. Po upływie około tygodnia zaczęto rozwozić nas małymi grupkami w różnych nieznanym kierunkach. Przyszedł czas i na mnie. Ponieważ w danych personalnych podałem, że jestem rolnikiem, przydzielono mnie razem z grupą innych jeńców do pracy w majątku rolnym.

Naszą dziesiątkę odebrał z obozu żołnierz niemiecki zwany wachmanem, który konwojował nas do miejsca przeznaczenia. Polecił nam wsiąść do samochodu i pojechaliśmy w nieznaną. Wieczorem dotarliśmy do dużego majątku rolnego. Jak dowiedzieliśmy się później, była to miejscowość Baalau (Balewo), stacja kolejowa Waplewo Wielkie koło Dzierzgonia w powiecie Sztum.

Wachman był panem naszego życia i śmierci. Cały czas, od świtu do nocy, chodził z karabinem na ramieniu i pilnował nas. Przydzielał nam pracę, wydawał skromne posiłki, miał prawo karania, a w razie ucieczki mógł strzelać. W majątku zamieszkaliśmy na strychu starego parterowego budynku. Na parterze była rozlewnia i przechowalnia mleka. Pomieszczenie, które zajmowaliśmy, miało bardzo skromne wyposażenie. Pod ścianami były rzucone na podłogę sienniki do spania, na środku stał zbity z nieheblowanych desek duży stół, a przy nim dwie ławki do siedzenia. To było całe umeblowanie naszego mieszkania. W szczytowych ścianach znajdowały się dwa małe zakratowane okienka. Praca w majątku była bardzo ciężka, wymagała bowiem dużego wysiłku fizycznego, szczególnie wiosną i jesienią. Całą jesień kopaliśmy buraki cukrowe, ładowaliśmy je na wozy konne, woziliśmy na stację kolejową i ładowaliśmy do wagonów. Zimą pracowaliśmy przy młóceniu zboża, odkrywaniu kopców z burakami. Wiosną uprzętałyśmy pomieszczenia gospodarskie z ogromnej ilości mocno udeptanego przez krowy, konie i świnie obornika. Wywoziliśmy go na pola i rozrzucaliśmy. Wykonywaliśmy w tym wielkim majątku najcięższe prace. Wszystko to odbywało się w dużym pośpiechu, a wachman nie dawał chwili odpoczynku.

Skromne posiłki zawsze przynosili nam i dzielili wachmani, którzy zmieniali się co kilka miesięcy. Jednego z nich zapamiętałem bardzo dobrze, nazywał się Abramowski i pochodził z okolic Nowego Miasta Lubawskiego. On to zbił mnie kolbą karabinu tylko za to, że odszedłem bez pozwolenia na kilka minut do studni, żeby ugasić pragnienie. Nie otrzymywaliśmy odzieży, a za całe ubranie musiały nam wystarczyć sorty mundurowe. W nich cały czas chodziliśmy i pracowaliśmy, tak że z czasem zmieniły się w łachmany, pomimo naszych wysiłków, aby miały wygląd godny polskiego munduru. Jako wynagrodzenie za naszą ciężką pracę otrzymywaliśmy bardzo skromne i mało wartościowe jedzenie oraz kilka marek, które z trudem wystarczały na kupienie mydła do golenia, żyletek i pasty do zębów. Chwile wytchnienia mieliśmy tylko w niedziele, ale do kościoła nie chodziliśmy, bo jak nam tłumaczono, był bardzo daleko.

Z rodzinnym domem nie utrzymywałem żadnych kontaktów. Nie wiedzieli, gdzie jestem i czy żyję. Było to spowodowane tym, że od początku niewoli planowałem ucieczkę i bałem się o bezpieczeństwo rodziny i nie chciałem ujawniać moich prawdziwych danych personalnych. Z ucieczką czekałem tylko na

dogodną okazję, między innymi na zmianę odpowiedniego wachmana. Pomimo ciężkich warunków, raczej byliśmy zdrowi, ale pewnego razu kilku kolegów zachorowało i mnie też udało się oszukać wachmana, że jestem chory. Pod eskortą, pociągłem, w oddzielnym przedziale, udaliśmy się w drogę do lekarza. Jeżeli mnie pamięć nie myli, przychodnia dla jeńców wojennych mieściła się w wieży ciśnień w Morągu. Lekarzem w tej przychodni był oficer wojska polskiego, jeniec tak jak my. Był to człowiek bardzo miły i rozmowny, budzący duże zaufanie. Kiedy tylko rozebrałem się do badania, powiedziałem lekarzowi, że jestem zdrowy. Zdziwił się i zapytał o przyczynę mojej wizyty. Wyjawiłem swoją tajemnicę, powiedziałem, że wybieramy się pieszo w daleką podróż i chciałbym dostać jakieś leki wzmacniające mój wycieńczony organizm. Lekarz zapytał jak daleka to podróż. Powiedziałem, że ja idę na Podlasie, a inni w różne strony. Zamyślił się i po dłuższej chwili stwierdził, że na Podlasiu w Kupientynie ma rodzinę i też chciałby tam być, ale jeszcze nie może, bo bardziej potrzebny jest tutaj. Nadmienił też, że tam gdzie idę jest bezpiecznie i takich jak ja nie ścigają, bo do pracy przymusowej do Rzeszy wyznaczają sołtysi. Dał mi jakieś witaminy i lekarstwa, a na pożegnanie podał mi rękę i bardzo mocno ją ściskając, powiedział cicho: „Szczęśliwej drogi, aby tylko do Kongresówki, to tam dacie już sobie radę”. Ten mocny uścisk dłoni przyjąłem jako poparcie mojej decyzji o ucieczce z niemieckiej niewoli i o powrocie w rodzinne strony. Wyszedłem z gabinetu na korytarz. Siedziało tam dużo polskich żołnierzy, ale nie można było z nikim rozmawiać, bo każda grupka miała swojego wachmana, który pilnował byśmy się nie kontaktowali. Dołączyłem do swoich kolegów i zacząłem rozmyślać o rozmowie z lekarzem. Nasuwały mi się myśli dobre i złe: czy nie byłem za długo badany w porównaniu z innymi chorymi, czy to nie wzbudzi podejrzeń wachmana. Byłem bardzo zdenerwowany, a najbardziej przeżywałem chwile, kiedy poproszono naszego wachmana do gabinetu lekarza, który mnie badał. Podczas nieobecności naszego stróża „opiekował się” nami wachman innej grupy jeńców.

Po powrocie do Baalau, późną nocą, odbyliśmy naradę. Po długiej dyskusji ustaliliśmy, że najbardziej dogodnym terminem ucieczki będzie początek maja. Będzie już ciepło, rozwiną się liście drzew, a wysokie zboża ułatwią schowanie się na dzienny odpoczynek, bo iść można będzie tylko nocą. Postanowiliśmy, że rozpoczniemy zbieranie różnych rzeczy potrzebnych do dalekiej, trudnej i niebezpiecznej drogi. Głównie chodziło o żywność, ale także inne przedmioty umożliwiające opuszczenie naszego strychu. W naszych warunkach żywnością na drogę mógł być tylko chleb, a o zdobycie chociaż jednej zapasowej kromki było bardzo trudno, bo chleba z posiłków nigdy nie zostawało. A czym wyważyć żelazne kraty, jak zejść ze strychu?

Wielkiej pomocy i dobroci zaznaliśmy od pana Rutkowskiego. Był on zatrudniony w majątku jako nocny stróż. Mówił dość dobrze po polsku. Pewnego razu, korzystając z tego, że wachman oddalił się na chwilę, podszedł do nas i cicho powiedział: „Mnie się nie bójcie, ja jestem Mazurem, ale w sercu jestem Polakiem”. Prosił nas, żeby nikomu nie mówić o jego kontaktach z nami, bo za to grozi śmierć. Spotkania z nim były trudne, bo pracował w nocy, kiedy my byliśmy zamknięci na naszym strychu. Czasami jednak zjawiał się w majątku w ciągu dnia lub zostawał dłużej po służbie, ale było to bardzo rzadko. Pomagał nam, w czym tylko mógł, podtrzymywał na duchu i zachęcał do modlitwy o szybkie zakończenie wojny. Zaprzyjaźnił się z nami i był traktowany przez nas jako pierwszy przyjaciel na obczyźnie. Powiedzieliśmy mu o naszych zamiarach. To dzięki niemu udało się zgromadzić skromne zapasy chleba na drogę, bo zostawiał nam w umówionym miejscu swoje skromne śniadanie. Podrzucił żelazny łom do wyważenia krat w oknach i przez kilka nocy podstawił drabinę pod jedno z nich. Jemu zawdzięczaliśmy to, że nasza ucieczka miała szansę powodzenia.

Mijały dni, tygodnie i miesiące, a z nimi zbliżała się tak bardzo oczekiwana wiosna. Wierzyliśmy, że już niedługo z boską pomocą będziemy na wolności, skończy się nasza niewola i prześladowania, że wrócimy do swoich rodzinnych gniazd i znów zaczniemy żyć dla siebie i dla Polski, o której wolność będziemy musieli jeszcze walczyć. Wyznaczaliśmy sobie kilka terminów ucieczki, ale zawsze coś przeszkodziło w zrealizowaniu naszych planów i ucieczkę trzeba było odkładać na później. Ale w końcu doczekaliśmy się. Przyszedł ten upragniony dzień: 23 maja 1942 roku. Tego dnia nigdy nie zapomnę.

Wieczorem chodziliśmy spać o godzinie 21. O tej porze przychodził zawsze wachman i pod jego nadzorem trzeba było wynosić na korytarz sorty mundurowe i buty. Pod drzwiami dyżurki, ułożone w kostkę, leżały całą noc i dopiero rano mogliśmy je zabrać. Po wyniesieniu ubrania wachman zamykał

drzwi wyjściowe na parterze, a klucz zabierał ze sobą. Tak było codziennie, ale tego pamiętnego dnia oszukaliśmy wachmana. Rozebraliśmy się jak codziennie, lecz w kostkę złożyliśmy tylko spodnie i płaszcz, a bluzy od mundurów i kalesony pozostawiliśmy na drogę. Wachman nie zauważył naszego podstępku, zamknął drzwi za nami i poszedł do swojej dyżurki. W wielkim napięciu czekaliśmy, kiedy zgasi światło i zmorzy go pierwszy głęboki sen. Klęczeliśmy i modliliśmy się, prosząc Boga o pomoc w naszej drodze do wolności. Dochodziła godzina 23, kiedy zdecydowaliśmy się na rozpoczęcie ucieczki. Ostatni raz uściskaliśmy się serdecznie i życzyliśmy sobie powodzenia w drodze.

Dwóch z nas zaczęło wyważać kraty, a pozostali rwali koce i wiązali je, aby sporządzić długi sznur, byśmy mogli spuścić się na ziemię. Aby tłumić hałas wyważanych krat, obwiązaliśmy żelazne pręty kocem. Podrzuconym nam przez pana Rutkowskiego prętem podważaliśmy kratę, ale pomimo naszych wysiłków krata nie ustępowała. Była bardzo mocno obsadzona w murze. Niezrażeni tym pierwszym niepowodzeniem, powtórzyliśmy próby przy drugim oknie. Na szczęście teraz udało się odgiąć kratę tak, że można było przycisnąć się przez ciasny otwór i wachman nie usłyszał hałasu. Droga do wolności stała otworem. Wyrzuciliśmy na zewnątrz powiązane wcześniej koce i przywiązaliśmy sznur do pozostałości kraty. Według wcześniej uzgodnionej kolejności przeciskaliśmy się w ciszy przez rozchylone kraty, ja wychodziłem jako piąty lub siódmy. Kiedy tylko moje nogi dotknęły ziemi, zacząłem biec. Nie oglądałem się za siebie, chciałem uciec jak najdalej od tego zniechęcającego miejsca. Przez pewien czas słyszałem za sobą odgłos kroków biegnącego kolegi, ale po chwili wszystko ucichło i zostałem sam. Zwolniłem, podbiegłem jeszcze kawałek i zatrzymałem się. Odpoczywałem po tym szaleńczym biegu i zastanawiałem się nad dalszą drogą.

Po krótkim odpoczynku ruszyłem w podróż w rodzinne strony. Do domu było bardzo daleko i jeszcze wiele niebezpieczeństw czekało na mnie po drodze. Podróż była bardzo ciężka. Boso, na przełaj przez pola, omijając ludzkie siedziby i klucząc jak ścigane zwierzę, z każdym krokiem zbliżałem się do domu, do rodziny. W dzień sypiałem w zbożu, które było już dosyć wysokie i dawało jako takie schronienie. Wędrowałem tylko nocami, a kierunek marszu określałem przy pogodnym niebie według gwiazd. Ale kilka razy musiałem go zmieniać, bo nie zawsze była pogoda i łatwo było o pomyłkę.



*Polscy jeńcy wojenni, b.d.m. (AZHRL)*

Po kilku nocach marszu w ciemnościach po polach i wyschniętych grudach ziemi moje nogi przypominały jedną ranę i każdy krok sprawiał niesamowity ból. Gorszy jednak od bólu był głód. Chleba, który zbieraliśmy z takim trudem, nie wystarczyło na długo. Żywiłem się tylko tym, co znalazłem w polu – pędami roślin, młodymi kłosami. Radością było, kiedy natrafiłem na miejsce po kopcowaniu buraków opasowych. Po burakach pozostało trochę słomy i kilka nadgniłych sztuk. Te kilka śmierdzących buraków było moim pierwszym obfitym śniadaniem.

Pewnego wczesnego poranka zauważyłem, że w moim kierunku zbliża się jakaś pojedyncza postać. Skryłem się bardziej i obserwowałem zbliżającą się osobę. Kiedy była już bardzo blisko, zauważyłem na jej ramieniu kosę. Był to rolnik, który szedł pracować w polu. Zdecydowałem się pokazać temu człowiekowi. Kiedy mnie zobaczył, stanął jak skamieniały, widziałem strach w jego oczach. Nie dziwię się: wychudły, zarosnięty, zakrwawiony, odziany w resztki ubrania, bardziej przypominałem zwierzę niż człowieka. Po chwili doszedł do siebie i zapytał, co tu robię i kim jestem. Opowiedziałem o swojej niewoli i ucieczce, że jestem bardzo głodny. Ten nieznajomy człowiek miał bardzo dobre serce, zlitował się nad mną i oddał mi swoje śniadanie. Po kilkuminutowej rozmowie i posiłku kazał mi iść za sobą. Dla bezpieczeństwa szedłem za swoim przewodnikiem w pewnej odległości. Zaprowadził mnie do domu swojego kuzyna, który mieszkał w kolonii odległej od zabudowań wsi. Mój wybawca pozostawił mnie pod opieką życzliwego gospodarza i jego rodziny, a sam poszedł kosić łąkę.

Było to gospodarstwo bardzo ubogie, ale gościnne. Mogłem się wykąpać, ogolić, dostałem ubranie i buty. Nareszcie wyglądałem jak człowiek. Zostałem nakarmiony, a po posiłku zaprowadzono mnie do stodoły na odpoczynek. Wieczorem zaproszono na kolację. Po kolacji odwiedziło gospodarza kilka osób z jego rodziny. Opowiadałem im o losach jeńca wojennego, poniewierce i ucieczce. Byłem szczęśliwy, że nareszcie po tylu dniach niewoli, obozu i przymusowej pracy jestem wśród swoich. Dowiedziałem się, że do granicy dzielącej Rzeszę od Kongresówki mam jeszcze około 6 kilometrów. Ostrzegli mnie, że w tym rejonie nie jest bezpiecznie. Wy tłumaczyli dokładnie, jak dojść do granicy i w którym miejscu ją przekroczyć.

Po gorącym pożegnaniu ze wszystkimi wyruszyłem w dalszą podróż. Nie byłem już głodny, a na drogę dostałem chleb, ser i butelkę mleka. Już nie musiałem się tak ukrywać. Często spotykałem dobrych i życzliwych ludzi. Dzięki ich pomocy w czerwcu 1942 roku, po 34 dniach ciężkiej wędrówki, dotarłem do rodzinnego Grochowa.



*Bolesław Szymański  
przy wykopkach  
w miejscowości  
Stavenhagen w  
Meklemburgii, b.d.  
(AFPNP)*

## HENRYK ŁAGODZKI

# W niewoli

Henryk Łagodzki – pseudonimy „Orzeł”, „Hrabia”, numer jeniecki 105494 – urodził się 15 lipca 1927 r. w Warszawie. W Powstaniu Warszawskim jako żołnierz Armii Krajowej walczył na terenie Śródmieścia Północ. 5 października wraz ze swoim oddziałem opuścił Warszawę. Przeszedł przez obóz w Ożarowie, następnie przebywał w stalagach 344 Lamsdorf i IV B Mühlberg. Od grudnia 1944 r. pracował w hucie szkła w Brockwitz. Do kraju wrócił zaraz po wyzwoleniu w 1945 r.

---

1 sierpnia 1944 roku wyszedłem z mojego domu na ulicy Łuckiej do powstania. Rodzice jeszcze nie wrócili z miasta. Zostawiłem im kartkę, że niedługo wrócę...[...]

Nie możemy jeszcze w to uwierzyć, a jednak to prawda, KAPITULACJA. 3 października o godzinie 7.30 opuszczamy placówkę, której broniliśmy przez 63 dni. Nie możemy uwierzyć, że musimy opuścić tak skutecznie bronione wysunięte placówki, i że Ukraińcy bez jednego strzału zajmą teren. Rozkaz trzeba wypełnić. Wychodzimy zwartym szykiem na miejsce zgrupowania II Batalionu Zgrupowania „Chrobry II” wchodzącego w skład 15 pp AK. Przy ulicy Żelaznej 36 wszystkie oddziały w szyku, z bronią, ustawiały się czwórkami, na czele dowództwo. Przed wymarszem do niewoli odbyło się nabożeństwo, w którym uczestniczyło wojsko i licznie zgromadzona ludność cywilna.

Przed mszą pożegnałem się z Rodzicami, z którymi mieszkałem przy ulicy Łuckiej 14, przebywającymi aktualnie w piwnicach tego domu. Przy okazji uzupełniłem swój bagaż o przedmioty codziennego użytku. Rodzice byli zrozpaczeni moją decyzją, ale nie mogłem w takiej chwili rozstać się z towarzyszami broni, z którymi związałem się na śmierć i życie. To była prawdziwa solidarność.

Z żalem żegnamy tak drogie nam mury, nasze reduty obronne. Żegnamy się z Żydami, którzy byli w naszym plutonie, a którzy postanowili pozostać w mieście i zgromadzili w tym celu duże zapasy żywności. Kilku innych powstańców Żydów postanowiło iść z nami do niewoli. Pod zmienionymi nazwiskami przeżyli obóz jeniecki, nikt ich nie wydał, wszyscy wrócili po wojnie.

Pułk formuje się w miejscu zgrupowania oddziałów po raz pierwszy. Wymarsz następuje w godzinach przedpołudniowych, około godziny dziesiątej. Trasa biegnie ulicą Żelazną, Chłodną, Placem Kercelego, Przyokopową do Ożarowa Mazowieckiego. Ze zwieszonymi głowami ruszamy do niewoli niemieckiej, żegnani przez pozostającą ludność cywilną. Po obu stronach Żelaznej aż do Grzybowskiej żegnają nas rodzice, powychodzili z piwnic pożegnać najbliższych. Przy wylocie Łuckiej jeszcze raz widziałem swoich Rodziców, pomachałem ręką w ich kierunku, ale mnie nie zauważyli. Od Grzybowskiej po obu stronach Żelaznej i Chłodnej stoją żołnierze niemieccy z bronią gotową do strzału. Ulica jest uprzętnięta, ale wszędzie dookoła widać sterty gruzów i spalone domy.

Skręcamy w Chłodną, mijamy kilkupiętrowy budynek Gestapo. Nachodzą mnie wspomnienia: stoi jeszcze bunkier przy bramie od Żelaznej 75, widać oczodoły pustych zniszczonych okien. Tu, w lipcu 1943 roku zostałem aresztowany i byłem więziony na pierwszym piętrze wraz z Ryszardem Kowalskim (zginął później w obozie koncentracyjnym). Tu w pierwszych dniach powstania widziałem esesmanów wziętych do niewoli i pracujących przy wzmacnianiu barykad i oczyszczaniu chodników.

Nasza kolumna w szyku maszeruje od Chłodnej wśród rozstawionej eskorty wojska niemieckiego, która patrzy na nas z nienawiścią. Widzimy przez oczodoły wypalonych domów tłące się na podwórzach ogniska, w których dopalają się szczątki ludzkie. To Ukraińcy wymordowali ludność cywilną i teraz, chcąc zabić fetor rozkładających się ciał, ułożyli je na stos, polali benzyną i podpalili. To samo widzimy, idąc dalej Wolską.

Skręcamy w stronę Placu Kercelego, na środku którego stoją ustawione stoły oraz kosze na broń krótką. Broń rzucamy na stos, karabiny bez zamków, połamane iglice. Sprawnej broni prawie nikt nie oddał. Jakże inaczej wyglądał ten plac w drugim dniu powstania. Jeszcze widzę zdobyczy powstańczy czołg, a na nim uśmiechniętych chłopców z „Parasola”. Teraz otacza nas eskorta żołnierzy niemieckich. Poza granicami Warszawy nie dopuszczają do nas ludności cywilnej, która widząc długą kolumnę maszerujących Obrońców Warszawy, pragnie podać warzywa, owoce, wodę. Ale powstańcy to twardzi chłopcy i dziewczęta – podejmujemy śpiew piosenek partyzanckich i powstańczych, czym zaskakujemy eskortę. Nie pomagają krzyki i bicie kołbami najbliższej idących.

Jesteśmy zmęczeni i przygnębieni. Powoli wychodzimy z miasta, w długiej kolumnie jeńców, której nie widać ani początku, ani końca. Co pewien czas zatrzymujemy się na chwilowy lub przymusowy odpoczynek – to ranni, którzy nie chcieli wyjść ze szpitalem, nie wytrzymują trudów wędrówki. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy widzimy pola i łąki, mijamy pierwsze zabudowania. W naszą stronę biegną wiejskie kobiety z oczyma pełnymi łez, niosą żywność, świeże mleko i zimną wodę. Wszystkie te skarby rozdają nam w marszu. Zaspakajamy głód, nie wszyscy dziś jedli śniadanie. Żołnierze Wehrmachtu nie pozwalają im zbliżyć się, ale nikt na to nie zważa, zewsząd słychać krzyki. Niektórzy zatrzymują się na chwilę, ale kolumna nie może czekać i w ten sposób zostają wśród wiejskiej ludności. Z daleka, po lewej

stronie, widać mury fabryki kabli – to Ożarów, cel naszej dzisiejszej wędrówki. Wpędzają nas do pustych, brudnych hal fabrycznych. Jak kto stał, pada zmęczony na brudny, zimny beton. Tu spędzamy noc.

Szesnakilometrowy marsz do obozu dał się nam poważnie we znaki. Przez 65 dni nie mieliśmy możliwości pokonywania tak dużych odległości. Nocleg na słomie, na betonowej posadzce, odczuliśmy nie mniej niż sam marsz, jednak kości nam się trochę wyprostowały. Tak długiego wypoczynku nie mieliśmy od przeszło dwóch miesięcy. Sen bez posiłku – obiadu nam nie dano, nawet żadnej racji żywnościowej – był płytki. 6 października budzimy się głodni, brudni, czerwoni od minii, która była rozsypana wszędzie. Wychodzimy na zewnątrz w poszukiwaniu gorącej strawy, której brak odczuwamy już od dawna. Tak zaczyna się nasza jeniecka epopeja.

Rozpoczyna się dzień drugi niewoli. Pogoda nie dopisała. Jest dżdżysto, siąpi kapuśniaczek. O zorganizowaniu jedzenia nie ma mowy. Wszyscy są umazani minią. Nie ma się gdzie umyć, nie ma ubikacji. Mężczyźni i kobiety załatwiają się na zewnątrz pod ścianami. Nikt się nie wstydzi. Warunki zmuszają do takiego postępowania. Później dopiero okazało się, że na bocznicę wytwórni kabli podstawiono wagony towarowe. Wystawiono z nich kotły z kawą, możemy wreszcie napić się czegoś gorącego. Inni jeńcy zorganizowali świeże pieczywo i margarynę, podzielili się z nami.

Rano wyczytano listę i rozpoczęto załadunek jeńców do wagonów. Jesteśmy ładowani do wagonów jak bydło, a może nawet gorzej. W bydlęcym wagonie musi zmieścić się 60 osób z bagażami. Wydano nam żywność na drogę: po bochenku chleba i trochę margaryny. Ładowanie odbywa się przy akompaniamencie krzyków: „Banditen”. Trzymamy się z „Monetą” razem. W wagonie lokujemy się bliżej okna, nie zawsze jest to korzystne ale przynajmniej jest czym oddychać. Jesteśmy stłoczeni jak sardynki, o zmianie pozycji nie ma mowy, musimy znosić to cierpliwie. Najgorszy jest brak ubikacji. Znajdujemy na to sposób: wycinamy w podłodze otwór, jest on jednak za mały na wszystkie potrzeby. Kolega Leszek Brzozowski użyczył do celów sanitarnych litrowy kubeczek, którego zawartość trzeba było wylewać przez zakratowane okienko. Nie zawsze się to udawało, zawartość lądowała, częściowo na głowach najbliższych stojących.

Podróż w tych warunkach trwała trzy dni i noc. W tym czasie tylko dwa razy na krótką chwilę otwarto nam wagon. W nocy była bardzo silna wichura. Nagle obudziło nas dokuczliwe zimno i deszcz ze śniegiem. Okazało się, że wiatr zerwał dach z wagonu. Nad nami piękne, groźne niebo, po dachu ani śladu. W pierwszej chwili chcieliśmy uciekać, przyszła jednak refleksja – jesteśmy na terenie Niemiec, w dodatku w nieznannej okolicy, szybko nas złapią. Naszych krzyków i walenia w ściany nikt nie słyszy. Upłynęło wiele czasu, zanim pociąg się zatrzymał. Jesteśmy przemoczeni i zziębnięci, od dwóch dni nie mieliśmy nic w ustach. Konwojenci są wściekli, musieli otwierać wagony i upychać do każdego po kilku z nas. Nie było to łatwe i nie obyło się bez obelg. Wszystko odbywa się w ciemnościach, podczas silnej wichury i zimnego deszczu. Wreszcie pociąg rusza, wszyscy milkną, zasypiamy stojąc. W ciągu dnia wagon został jeszcze raz otwarty. Policzono nas z obawy, czy ktoś nie uciekł. Co sprytniejsi wyrwali z pola brukiew i główki kapusty. Odbiło się to potem fatalnie na ich zdrowiu – do końca podróży chorowali. Fetor w wagonie był nie do wytrzymania. Dłużej nie wytrzymałibyśmy z chorymi. Byliśmy bez jedzenia i picia, nie wszyscy mieli zapasy jeszcze z Warszawy.

Trzeciego dnia nad ranem Niemcy otworzyli wagony i kazali nam wychodzić. Czekali na nas konwojenci z psami. Nie wszyscy mogli wyjść o własnych siłach. Było dużo chorych. Wynosiliśmy ich z wagonów i układaliśmy wprost na ziemi, później miano ich przewieźć do obozu. Stacja Lamsdorf jest położona daleko od obozu. Trzeba do niego przejść kilkanaście kilometrów. Ustawiono nas w długiej kolumnie, wokół panował chaos, zewsząd słychać było nawoływania. Zdenerwowane psy szczekały i rzucały się na nas.

Po dość mroźnym ranku wstawał pogodny i słoneczny dzień. Z przyjemnością oddychaliśmy świeżym powietrzem, którego brakowało nam przez dwa miesiące. Kolumna ruszyła wolno, rozległy się krzyki konwojentów, którzy szczuli psami bardziej opieszających kolegów. Podczas marszu wermachtowcy wyłudzali od nas co cenniejsze przedmioty, jak zegarki i biżuterię, mówiąc, że i tak podczas rewizji zabiorą nam wszystko. Część uwierzyła i widziałem jak je oddawali lub wymieniali na papierosy i marki niemieckie. Wielu starszych i słabszych kolegów porzucało swoje bagaże. Marsz trwał kilka godzin. Z daleka zobaczyliśmy wieże strażnicze i ogrodzenie z drutu kolczastego i baraki, a także pustkę wokół. Z lewej strony w oddali widać było kilka domów i lasek.

Około południa nastąpiło nagle jakieś poruszenie, wszyscy patrzą w niebo. W oddali widać dwa punkciki zbliżające się szybko w naszym kierunku. To niemieckie samoloty. Prawdopodobnie odbywają ćwiczenia. Nawet Niemcy uspokoili się i też patrzą w niebo. Samoloty oddaliły się, potem zawróciły i lecą wprost na siebie. Może piloci zapatrzili się na naszą olbrzymią kolumnę. Nagle trzask, huk – wpadły na siebie. Za chwilę potężny wybuch i płomień wzbijające się wysoko w górę. To było coś cudownego, taki widok na oczach kilku tysięcy powstańców. Nagle wzniósł się olbrzymi okrzyk i wybuchła radość. Los wymierzył sprawiedliwość naszym wrogom. Konwojenci jakby ocknęli się ze snu, znów krzyki i szczekanie psów. Kolumna rusza, jej początek zbliża się do bramy obozu. Wśród nas zapanowała wielka radość. Wszyscy cieszą się i komentują wydarzenie, jakby zapomnieli, gdzie się znajdują. Krzyki: „polnische Banditen” przywołują nas do porządku.

Przez bramę główną wchodzimy na teren obozu. Nas, małoletnich, wraz z grupą oficerów kierują na lewą stronę. Pozostała część – na prawą. Kobiety, których jest mniejszość, kierują do osobnych baraków. Będą graniczyły z jednej strony ze Słowakami, z drugiej z nami. Wśród kadry oficerskiej jest sporo osób w starszym, a nawet podeszłym wieku. Ci wręcz upadają ze zmęczenia, trzeba im pomóc. Przed nami jeszcze dodatkowy trud – rewizje i zakwaterowanie.

Niemcy ustawiają nas na „szaber-placu” w długich, niekończących się szeregach. Wszystko, co posiadamy, układamy przed sobą i trwa rewizja ciągnąca się do późnej nocy. Po pewnym czasie część z nas kierują do baraków. Wszędzie słyszy się, że jesteśmy polskimi bandytami i że trzeba z nami skończyć. Znów cały dzień jesteśmy bez jedzenia. Ja z głodu żuję pasek od spodni. Jest w ten sposób zajęcie dla szczęk. Dostałem odrobinę letniej „kawy”. Wypijam ją zachłannie.

W baraku, w olbrzymiej sali, znajdują się trzypiętrowe prycze. Jako najmłodszy zajmujemy górne piętra, co okazało się bardzo nieprzyjemne. Całe robactwo ulokowało się na suficie, szczególnie pluskwy, które w nocy spadają prosto na twarze. Rano wyglądamy okropnie, cali pokrwawieni, umazani krwią z rozgniecionych pluskw. Sienniki są papierowe, wypełnione jakąś zgniłą sieczką. Na nich leżą resztki koców, którymi się przykrywamy.

Ranek pierwszego dnia pobytu w obozie wstał mroźny, ale pogodny. Po raz pierwszy od kilku dni spaliśmy w bardziej ludzkich warunkach. Tego dnia nie było apelu. Trzeba było uporządkować wszystko wokół siebie. Byliśmy brudni i zawszeni, do czego wielu nie chciało się przyznać. Przede wszystkim umyłem się w miarę możliwości jak najstaranniej. Nie było to proste, bo chętnych było wielu. Następnie poprosiłem „Monetę”, by zgolił mi włosy na głowie do gołej skóry. Po tej operacji na głowie powstała jedna krwawa plama. Po umyciu głowy i odświeżeniu się poczułem się znacznie lepiej, tylko wygląd mi się zmienił. „Moneta”, który miał bujniejszą czuprynę niż ja, również zdecydował się na ten zabieg i doznał ogromnej ulgi, do czego mi się potem przyznał. Ranki były chłodne, ale udało nam się zdobyć coś na głowę.

Po tym wszystkim bardzo smakowała nam ciepła „kawa” i pajdka chleba. Był to całodzienny przydział, który zjadłem w jednej chwili. Głód nadal dokuczał. Trzeba było czekać na obiad, który zjadł tylko ten, kto był silniejszy i sprytniejszy. Gdy zabrakło ziemniaków, trzeba było zadowolić się rzadką lura, którą nazywano zupą.

I tak powoli rozpoczęło się „normalne” życie obozowe. Niektórzy zdobyli w jakiś sposób słomę, ale większość spała na gołych deskach. Oficerowie zaprowadzili wewnątrz baraków porządek i próbowali zrobić z nas prawdziwych żołnierzy, co nie zawsze udawało się w tak zróżnicowanej grupie ludzi. Zadbali, by ubrania i buty były oczyszczone, aby udowodnić Niemcom, że nie jesteśmy bandytami lecz żołnierzami. Nie wszyscy mieli szczęście przejścia do baraków. Część kolegów koczowała jeszcze pod gołym niebem. Niemcy w pośpiechu usuwali z baraków jeńców rosyjskich, by je przeznaczyć dla powstańców. Coraz częściej słychać było strzały w lasku, który znajdował się w pobliżu obozu.

Po kilku dniach mnie i „Monetę” przeniesiono na drugą stronę obozu, w znacznie gorsze warunki. Nie było tu sienników ani kawałków koców, nie było prycz, tylko trzypiętrowe nary, w oknach brakowało szyb. Zajęliśmy miejsca pod sufitem – tu dopiero dały się nam we znaki olbrzymie pluskwy, było ich zatrzęsienie. Nasz barak znajdował się przy „szaber-placu”, odgradzony drutem. Dwa baraki dalej, najbliższej dziewcząt z powstania, ulokowano fryzjerów i „izbę chorych”.

Po prawej stronie znajdował się olbrzymi „apel plac”, przez który przechodziło się do kibla (latryny), usytuowany bliżej drutów obozowych i wieży strażniczej. Tu odbywał się cały nasz handel wymienny ze



Słowakami, którzy mieli lepsze warunki i otrzymywali paczki. Nie wszyscy strażnicy byli temu przeciwni. Niektórzy przymykali oczy, można ich było przekupić papierosami, byli to w większości Ślązacy.

Po kilku dniach zapędzono nas do łaźni i zabrano nasze cywilne ubrania. Szkoda mi było moich pięknych bryczesów, które dostałem od brata w ostatnim dniu powstania.

Następnie było golenie bardzo tępą maszynką, która kaleczyła ciało. Kolejna osoba pędzlowała miejsce po goleniu szarą, śmierdzącą, obrzydliwą masą, która powodowała straszne pieczenie miejsc najbardziej pokaleczonych. Po tych zabiegach – pod prysznic. Wachman według własnego widzimisię regulował temperaturę wody: raz ukrop, raz zimna. Dopiero po interwencji olbrzymiej większości golasów dostosował się do naszych żądań. Osobom, u których stwierdzono wszawicę, ogolono na siłę głowę. Po tym zabiegu zostaliśmy skierowani do fotografa. Delikwentowi zawieszano na szyi olbrzymią tablicę z numerem na piersi i z trzech stron fotografowano. Nie wszyscy mogli teraz siebie poznać na zdjęciach. Wyglądaliśmy jak kryminaliści, a nie jeńcy wojenni.

Najbardziej przykre były noce, a to dlatego, że przez cały czas pobytu w obozie w Lamsdorf nie otrzymaliśmy żadnych sienników ani koców. Spodnie, złożone w kant, służyły jako siennik, buty za poduszkę a marynarka lub płaszcz za kołdrę. Baraki były drewniane, bez szyb w oknach, w ogóle nie opalane. Jesień 1944 roku nie była taka łagodna. Najbardziej dawał się we znaki brak wody. Jedna studnia na kilkaset osób zupełnie nie wystarczała. Do mycia służyła nam „kawa”, którą otrzymywaliśmy na śniadanie, ale cóż można zdziałać kilkoma kroplami cieczy? Taka była higiena w niemieckim obozie jenieckim. Ratowało nas tylko to, że od czasu do czasu prowadzono nas do łaźni.

Bardzo przykre były też obiady. Nie wszystko dawało się zjeść, najczęściej brakowało dla wszystkich ziemniaków. Najgorsze były dni, gdy na obiad była suszona brukiew, która nawet po ugotowaniu nie nadawała się do spożycia.



*Grupa jeńców ze stalagu znajdującego się w okolicach Frankfurtu nad Menem, 1940/1941 r. (AFPNP)*

Codzienne apele były zmorą i zarazem rozrywką w tym monotonnym życiu. Trwały godzinami bez względu na pogodę, liczone nas wielokrotnie. Pamiętam, że pewnego razu przyjechała niemiecka kronika filmowa, a niemiecki wydział propagandy zainteresował się jednym z naszych najmłodszych kolegów - „Kajtkiem”, chyba dziesięcioletnim, który chodził w wielkich, długich botach, a sam był nieduży. Nie mogli uwierzyć, że tacy mali chłopcy tak dzielnie walczyli, widocznie chcieli pokazać go jako przykład dla członków Hitlerjugend.

Zdarzało się często, że w różnych sprawach korzystaliśmy z pośrednictwa jeńców sowieckich, którzy byli funkcyjnymi i między innymi wywozili nieczystości z latryn. Mieli oni dostęp do wszystkich małych obozów znajdujących się na tym terenie, mieli też dostęp do kuchni, łaźni itp. Przez nich mogliśmy uzyskać informacje o losie naszych oficerów oraz za ich pośrednictwem prowadzić handel wymienny.

W tym okresie paliłem papierosy, co nie było zbyt dobre przy tak wygłodzonym żołądku. Papieros dzieliło się na cztery części i paliło w cygarniczce. Wokół palącego gromadzili się koledzy, którzy z przyjemnością wchłaniali wydmuchiwany dym. Gdy brakowało papierosów, wydłubywało się sęki z desek lub obrywało liście z jedyne rosnącego tam drzewa i to paliło się w skřęcie z gazety.

Potem nastąpił wyjazd do Mühlbergu. Przed wyjazdem oczywiście rewizja na „szaber placu”. Żegnamy się serdecznie z pozostającymi w obozie kolegami – „do zobaczenia w wolnej i niepodległej Polsce”. Prowadzą nas teraz inną drogą, wzdłuż całego obozu, przez jego środek. Po obu stronach widać zabudowania obozowe, magazyny, pralnie i podobozy sowieckie. Widać wynędzniałe postacie jeńców sowieckich, którzy wykonywali najgorsze prace. Byli też wpręgani do wozów zamiast koni. Żał nam było tych jeńców, zapomnianych przez wszystkich. Dzielił się z nimi papierosami i innymi dostępnymi nam rzeczami. Eskorta nie pozwalała na rozmowy, ale na wszystko znalazł się sposób.

Przed nami stacja towarowa Lamsdorf. Tu znów zostajemy załadowani do wagonów towarowych po pięćdziesięciu w wagonie. Po dwóch dniach męczącej podróży dotarliśmy do Mühlbergu. W drodze byliśmy trochę lepiej traktowani i po przybyciu do obozu umieszczono nas w dwóch barakach, oddzielonych drutami od reszty wielkiego obozu. W tym kwadracie umieszczono też nasze dziewczęta. Obóz wydawał nam się rajem w porównaniu z Lamsdorfem. Widzieliśmy tu jeńców różnych narodowości swobodnie grających w piłkę, baraki czyste, koce, sienniki, a co najważniejsze – świeże i czyste mundury.

Jeńcy dostawali paczki Czerwonego Krzyża, byli więc syci, czego nie można było powiedzieć o nas. Po kilku dniach my też otrzymaliśmy po pół kanadyjskiej paczki na osobę. Wielu z nas pochorowało się, bo żołądek nie wytrzymał tylu wspaniałości. Jeszcze przed otrzymaniem paczek część kolegów, w porozumieniu z władzami obozu, została zaproszona przez Anglików i Amerykanów. Zostali bardzo serdecznie przyjęci i obdarowani papierosami, czekoladą i mielonkami. Ci którzy nie dostąpili tego zaszczytu i tak zaznali wielu serdecznych gestów. Przerzucano nam przez druty papierosy i inne rzeczy. 6 grudnia, na św. Mikołaja, otrzymaliśmy wszyscy prezenty od Anglików. Tego dnia została również odprawiona Msza św. z komunią.

W połowie grudnia 1944 roku zostaliśmy przewiezieni pociągiem osobowym na tak zwaną komenderówkę do Brockwitz, przy Fabrikstrasse 1, rzekomo do huty szkła. W rzeczywistości budowano tu kadłuby samolotów. Naszą nieliczną grupę eskortowali cywilni Niemcy, pracownicy zakładów. W fabryce zakwaterowano nas w dużej, starej hali fabrycznej. Podłoga była ceglana, a w suficie były tylko dwa świetliki, które przepuszczały niewiele światła. Całe szczęście, że wentylacja była dobra, bo w sali mieszkało nas pięćdziesięciu. Warunki bytowe znów mieliśmy ciężkie. W sali, gdzie byliśmy zakwaterowani, nie było prycz. Dostaliśmy tylko siano drzewne, z którego zrobiliśmy sobie pośłania. Nadzór nad nami sprawował kulawy oficer niemiecki z 1914 roku, a opiekunem sali był kapral podchorąży. W olbrzymiej hali fabrycznej pracowaliśmy przy nitowaniu i montażu kadłubów lotniczych. Okazało się, że żaden z tych samolotów nie wzbił się w powietrze. Podobno ich konstruktor został rozstrzelany.

W sąsiedniej sali mieszkali najmłodsi koledzy, mieli wtedy od 10 do 15 lat. Byli źle traktowani i ciężko pracowali jako szewcy i krawcy, choć o tych zawodach nie mieli pojęcia.

Znajdowaliśmy się 17 kilometrów od Drezna. Przeżyliśmy wszystkie jego bombardowania. Widzieliśmy niebo oświetlone rakietami i reflektorami i lejący się z nieba ogień – tak ginęło miasto.

Zbliżał się front. Coraz bliżej słyszeliśmy dudnienie dział. Mieliśmy nadzieję, że to już niedługo. Teraz znów otrzymaliśmy amerykańskie paczki. Były w nich papierosy, można było za nie kupić wszystko.

Dostaliśmy też angielskie mundury, ale bez butów – tylko sztylpy do bryczesów. Nareszcie wyglądaliśmy jak ludzie-żołnierze. Płaszcz na plecach miał napis zrobiony białą farbą „Kriegsgefangenen”. Ale i na to znalazł się sposób. Starliśmy ten napis i wymalowaliśmy mały czerwony trójkąt – jak jeńcy z 1939 roku.

Święta Bożego Narodzenia 1944 roku były pełne nadziei i syte. Znów otrzymaliśmy paczki.

Front słyhać było coraz bliżej, zwiększyła się częstotliwość alianckich nalotów. W nocy byliśmy wypędzani do schronu znajdującego się na dworze. Niemcy chowali się, a my wychodziliśmy na zewnątrz i obserwowaliśmy palące się Drezno. Już nie było takiej dyscypliny.

W połowie kwietnia 1945 roku zostaliśmy ewakuowani. Gnano nas w stronę czeskiej granicy. Szliśmy przeważnie nocami, w dzień odpoczywaliśmy. 8 maja, gdzieś w górach pod czeską granicą, stanowiliśmy osłonę cofającej się armii niemieckiej. Na wzgórzach widzieliśmy ustawione sowieckie armaty. Były skierowane w naszą stronę i stało się... Kurz, huk, dym - pełno trupów ludzi i koni. Ale najwięcej zginęło nas, najmłodszych żołnierzy AK, obecnie jeńców. Czyżby sowieci nie widzieli na naszych plecach dużych białych napisów „Kriegsgefangenen”? Nie wszyscy zdołali zetrzeć te napisy.

W jednej chwili wszyscy pomknęli do lasu, tu bezpieczniej. Tu i esesmani byli grzeczni, uśmiechali się do nas.

W ten sposób zostaliśmy wyzwoleni przez Armię Czerwoną. Obok byli Amerykanie, ale my z „Monetą” postanowiliśmy wracać do Warszawy. Była ona nam bliska – tam zostawiliśmy rodziny. Tam została nasza młodość, tam walczyliśmy o wolność Polski.

Po wielu trudach podróży, 22 maja 1945 roku, wróciłem do Warszawy. Zakończyła się moja sześćioletnia wojenna epopeja.



*Jeniec wojenny Henryk Tomaszewski (z prawej) z kolegą podczas omlotów, Allstedt w Saksonii Anhalt, 1941 r. (AFPNP)*

# Wysiedlenia

Głównym celem niemieckiej polityki germanizacyjnej wobec zajmowanych terenów było usunięcie z nich obcych ras, a na ich miejsce sprowadzenie i osiedlenie Niemców mieszkających poza krajem (między innymi z terenów nadbałtyckich Łotwy i Estonii). Za realizację tego planu odpowiedzialny był Heinrich Himmler, który objął urząd komisarza Rzeszy do spraw umacniania niemieckich wartości narodowych. Wprowadzenie w życie tych koncepcji miało odbywać się za pomocą eksterminacji bezpośredniej i pośredniej rodzimych mieszkańców.

Pierwszą falę masowych wysiedleń zapoczątkowała ludność cywilna, która z chwilą napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę opuszczała swoje miejsca zamieszkania, uciekając przed wkraczającym Wehrmachtem. Część powróciła do swoich domów po zakończeniu kampanii wrześniowej, część poniosła śmierć w wyniku działań wojennych, bombardowań, ostrzeliwań przez lotnictwo niemieckie itp. Inni nie powrócili do miejsc zamieszkania z obawy przed aresztowaniem (osoby działające na rzecz umacniania polszczyzny, powstańcy śląscy). Uchodźcy zapoczątkowali falę masowych wysiedleń trwającą przez cały okres okupacji.

## Wysiedlenia z terenów włączonych do Trzeciej Rzeszy

Zorganizowane wysiedlenia ludności polskiej dokonywane przez Niemców rozpoczęły się niemal natychmiast po przejściu frontu. Nosiły one miano „dzikich wysiedleń” i odbywały się z inicjatywy władz lokalnych. Dotyczyły one w szczególności terenów, które miały być włączone do Trzeciej Rzeszy (Pomorze, Śląsk, Wielkopolska) i zostały uznane za ważne strategicznie. Przykładem może być tu Gdynia, gdzie ze względu na bliskie położenie wojennego portu w Gdańsku obecność Polaków uważana była za szkodliwą. Już w pierwszym dniu po jej zajęciu – 14 września – rozpoczęto pierwsze aresztowania i wysiedlenia, które na szerszą skalę przeprowadzono w październiku 1939 roku. Wtedy to na ulicach pojawiły się obwieszczenia nakazujące mieszkańcom, w trybie natychmiastowym opuścić swoje domy, pozostawiając w drzwiach klucze. Z Gdyni wysiedlono około 50 000 osób.

W trakcie tzw. „dzikich wysiedleń” do końca listopada 1939 roku władze niemieckie wysiedliły z terenów włączonych do Trzeciej Rzeszy na tereny GG około 35 000 osób.

W październiku 1939 roku administracja niemiecka podjęła decyzję o wysiedleniu co najmniej 700 000 Polaków z Wielkopolski i Pomorza. Ze względu na wielką skalę przedsięwzięcia, akcję wysiedleńczą należało uporządkować. 11 grudnia 1939 roku utworzono Specjalny Sztab dla Przesiedlania Polaków i Żydów, który wkrótce zmienił nazwę na Urząd dla Przesiedlania Polaków i Żydów, a wiosną 1940 roku – na Urząd Przesiedleńczy i po upływie kilku tygodni – na Centralę Przesiedleńczą. Siedzibą tej instytucji był Poznań, a już po kilku tygodniach utworzono jej oddział w Łodzi. 15 listopada 1940 roku podobna centrala powstała w Gdańsku, a potem, w miarę potrzeb państwa niemieckiego, w innych miejscach tworzone jej ekspozytury (np. w Zamościu).

Głównym zadaniem urzędów było sprawne zorganizowanie akcji jak najszybszego pozbycia się ludności, zamieszkującej dotychczas te tereny (dotyczyło to również Żydów i Romów). W tym celu zorganizowano siatkę obozów przesiedleńczych i przejściowych, w których dokonywano wstępnej selekcji ludności. Pierwszy obóz podległy ww. instytucjom powstał na przełomie 1939 i 1940 roku w Łodzi, przy ulicy Łąkowej 4. Był to Centralny Obóz Przesiedleńczy – Durchgangslager I der Umwandererzentralstelle Posen, Dienststelle Litzmannstadt. Pełnił on rolę miejsca, gdzie rejestrowano wysiedlonych, a następnie (w pierwszym okresie funkcjonowania) kierowano na tereny GG. W późniejszym okresie wysiedlonych deportowano na roboty przymusowe do Trzeciej Rzeszy, a w 1943 roku również na tereny okupowanej Francji. W Łodzi działało jeszcze kilka obozów, w tym także te przeznaczone dla dzieci.

Centrali Przesiedleńczej w Gdańsku zostały podporządkowane obozy w Potulicach, Toruniu i Smukale. Obóz potulicki był początkowo dysponentem siły roboczej dla zakładów przemysłowych i rolnictwa w okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie. Następnie na terenie obozu utworzono filie niektórych zakładów przemysłowych oraz warsztaty rzemieślnicze, a obóz potulicki zaczął pełnić funkcję obozu pracy. Przebywały w nim całe rodziny. Funkcjonował aż do wyzwolenia w styczniu 1945 roku.

Wysiedlenia z Rejencji Ciechanowskiej odbywały się poprzez obóz w Działdowie, który w okresie od lutego do maja 1940 roku pełnił funkcję obozu przejściowego dla Polaków, wysiedlanych z byłego powiatu płockiego i ciechanowskiego, a także z Białostoczczyzny. Do obozu kierowano również mieszkańców powiatu przasnyskiego, gdzie rozpoczęto budowę poligonu wojskowego, uprzednio wysiedlając całe wsie.

Jedną z lepiej przeprowadzonych akcji wysiedleńczych była operacja wysiedlenia na tereny GG mieszkańców Żywiecczyzny (głównie mieszkańców wsi). Nosiła kryptonim „Saybusch Aktion” i rozpoczęła się 22 września 1940 roku. Akcja była przygotowana starannie, a wysiedlenia odbywały się bardzo sprawnie, zgodnie z przygotowanym uprzednio harmonogramem, na podstawie imiennych list, pod nadzorem oddziałów sztabu ewakuacyjnego Gestapo. Wszystkie transporty kierowane były do stacji kolejowej w Łodzi, a dopiero stamtąd do stacji docelowych w dystryktach lubelskim, warszawskim, krakowskim i radomskim. Akcję zakończono w styczniu 1941 roku.

Wysiedlenie wsi zaczynało się wczesnym rankiem. Rodzinie wolno było zabrać do piętnastu kilogramów bagażu, a na spakowanie się dawano nie więcej niż 15 minut. Pozostawiony majątek – dom, jego wyposażenie, budynki gospodarcze i inwentarz – przechodziły na własność niemieckiego osadnika.

Zimą 1939 i 1940 z anektowanych przez Rzeszę terytoriów wysiedlono przymusowo ok. 860 000 Polaków, wypędzając ich z bagażem osobistym na terytorium Generalnego Gubernatorstwa. Na ich miejscu osiedlono ok. 400 000 Niemców, repatriowanych (zgodnie z niemiecko-radzieckim traktatem o granicach i przyjaźni z 28.09.1939 roku) ze wschodnich terytoriów Polski, anektowanych przez ZSRR, a następnie także z Litwy, Łotwy, Estonii i rumuńskiej Besarabii – w związku z aneksją tych terenów przez ZSRR latem 1940 roku.

## **Główne wysiedlenia na terenach GG**

Wysiedlenia i przesiedlenia nie ominęły również terenów Generalnego Gubernatorstwa. W latach 1940-1941 wysiedlono ok. 170 000 ludzi z okolic Radomia, Dębicy i Lublina. Na terenach tych Niemcy utworzyli poligony ćwiczebne. Część wysiedlanej ludności trafiła na roboty przymusowe do Niemiec, pozostali musieli samodzielnie poszukiwać nowych miejsc zamieszkania. Los wysiedlanych w żadnej mierze nie interesował Niemców.

## **Zamojszczyzna (1942-1943)**

Pod koniec 1942 roku władze niemieckie przystąpiły do wielkiej akcji przesiedleńczej na Zamojszczyźnie. Pierwsze, sondażowe, wysiedlenia przeprowadzono już rok wcześniej. W okresie od 6 do 25 listopada 1941 roku wysiedlono mieszkańców (ok. trzy tysiące osób) kilku wsi położonych w powiecie zamojskim. 12 września 1942 roku ukazało się rozporządzenie Himmlera, dotyczące utworzenia na tych terenach pierwszego zwartego niemieckiego terenu osadniczego w GG. Aby wprowadzić je w życie, należało usunąć miejscową ludność. W Zamościu utworzono ekspozyturę Centrali Przesiedleńczej oraz obozy przesiedleńcze w Zamościu i Zwierzyńcu, do których kierowano wysiedlaną ludność. Obozy te były tylko etapem przejściowym do dalszych represji. Wielu dorosłych skierowano do obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu (KL Auschwitz) i Lublinie (KL Majdanek) oraz wywieziono na roboty do Rzeszy. Część mieszkańców niezdolnych do pracy oraz dzieci przesiedlono na inne tereny GG (do miejscowości w byłych powiatach siedleckim, garwolińskim, mińskim i łukowskim). W lecie 1943 roku akcję wstrzymano z powodu zdecydowanych działań polskiego podziemia, ucieczek ludności oraz pogarszającej się sytuacji wojsk niemieckich na froncie wschodnim.

### Pozostałe wysiedlenia

W latach 1942-43 wysiedleniami objęto ponad 28 000 osób z terenu okręgu białostockiego. Latem 1943 roku, w odwecie za działania partyzanckie, dokonano wysiedleń około 20 000 mieszkańców Puszczy Nalibockiej. Tereny te przed wojną wchodziły w skład II RP, a w czasie wojny był to Generalny Komisariat Litwa. Masowo wysiedlano również ludność zamieszkujejącą tereny przyfrontowe. W drugiej połowie 1944 roku wyrzucano mieszkańców całych wsi położonych wzdłuż linii frontu, biegnącej Narwią, Wisłą i Wisłokiem. Wysiedleniom towarzyszyły pacyfikacje.

### Wysiedlenie Warszawy

W czasie Powstania i po jego upadku, z Warszawy oraz miejscowości podwarszawskich wysiedlono całą ludność cywilną. Wypędzono wówczas 500-600 tysięcy osób. Część wywieziono do obozów koncentracyjnych, część na roboty do Trzeciej Rzeszy, część uciekła, a resztę przesiedlono do miejscowości położonych na południu GG. Wysiedlenie wszystkich mieszkańców Warszawy i zniszczenie miasta było jedyną i bezprecedensową tego typu niemiecką akcją w Europie.

Zgodnie z wyliczeniami Czesława Madajczyka (są one niepełne, gdyż nie obejmują całości terenów byłej II RP), w czasie drugiej wojny światowej wysiedleniami objęto 1 milion 650 tysięcy Polaków.



Obóz Centrali Przesiedleńczej, prawdopodobnie Łódź, 1940 (IPN)

## ZENON MIKOŁAJCZYK

### **Moje chłopięce przeżycia podczas niemieckiej akcji wysiedleń Polaków z terenów przyłączonych do Rzeszy**

*Zenon Mikołajczyk urodził się 4.06.1933 r. we wsi Długie, wówczas w woj. łódzkim. W pierwszych dniach kwietnia 1940 r. wszyscy mieszkańcy wsi musieli w ciągu pół godziny opuścić swoje domy, zostawiając cały dobytek niemieckim osadnikom. Rodzina Mikołajczyków wraz z pozostałymi rodzinami trafiła do obozu przesiedleńczego w Konstancyńowie pod Łodzią, skąd po czterech miesiącach została wywieziona do Pilczyna w Generalnym Gubernatorstwie. Po wojnie wrócili do pustego gospodarstwa, nie było nawet ich domu.*

---

Już wcześniej mówiono trochę o możliwości wysiedleń w naszej okolicy, ale chyba nikt w to nie wierzył. Gdy więc naprawdę nadeszła ta chwila, było to dla wszystkich pełnym zaskoczeniem. O godzinie piątej rano zostałem zbudzony przez ojca: „Jesteśmy wysiedlani, mamy tylko pół godziny, ubieraj się”. Tak rozpoczął się w 1940 roku kwietniowy poranek dla mojej rodziny i całej naszej wsi – Długie. Miałem wówczas niespełna siedem lat.

Od razu zauważyłem, że w naszym mieszkaniu stoi niemiecki żołnierz z karabinem gotowym do strzału, a drugi, podobnie uzbrojony, stoi czujnie na podwórku, pilnując żeby nikt nie uciekł. Po pół godzinie, niezależnie od stanu przygotowania, wszyscy musieliśmy opuścić dom i całe gospodarstwo. Nasza rodzina składała się z ojca, matki, trzech synów i babci oraz wujka – brata mamy, który pomagał ojcu w gospodarstwie, pełniąc w pewnym sensie rolę służącego. Wujka zatrzymano we wsi i musiał pracować u Niemców, którzy przyjechali i objęli zabrane Polakom gospodarstwa. Pracował u nich bardzo ciężko przez całą okupację, bez właściwego wyżywienia i bez żadnego wynagrodzenia.

Wracając do akcji wysiedlania naszej wsi, to po wyjściu z domu zobaczyłem, że tłum mieszkańców był już na drodze i poszczególne rodziny przyłączały się do tego pochodu. Wszyscy mieli liczne tobołki – każdy starał się zabrać jak najwięcej rzeczy – ubrań, jedzenia, ale na nic to się zdało, bo Niemcy przepędzili nas pieszo trzy kilometry i wielu, także mój ojciec, musiało zostawić po drodze zbyt ciężkie paki.

Atmosfera wśród wysiedlanych ludzi była ciężka. Nasz los niepewny. Całą tę długą kolumnę wygnańców otaczali uzbrojeni żołnierze niemieccy. Kobiety modliły się cicho, popłakiwały. Każdy zostawił cały swój dobytek, dom, zwierzęta, maszyny. Moi rodzice posiadali dziesięciohektarowe gospodarstwo z pełną obsadą inwentarza: dwa konie, cztery krowy, kilkanaście sztuk trzody chlewnej, kilkadziesiąt sztuk drobiu. Wszystko to musieli zostawić.

W tym pochodzie płaczu i smutku zetknęliśmy się z miłym gestem Niemki, mieszkającej w naszej wsi od wielu lat. Wyszła na drogę, żeby okazać nam współczucie w tym, co nas spotkało i poczęstować ciastem własnego wypieku chociaż najbliższej przechodzących. W naszej dużej wsi Długie mieszkały przed wojną trzy niemieckie rodziny, a ich stosunki z resztą mieszkańców – jak mówiono – były zawsze dobre i nie pogorszyły się nawet w chwili wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku.

Evakuacja piesza z bagażami na plecach czy w rękach odbywała się przez trzy-cztery kilometry, w zależności od miejsca zamieszkania poszczególnych rodzin we wsi. Przez całą drogę byliśmy traktowani przez żołnierzy niemieckich jak ludzie gorszej kategorii, jak niewolnicy. Byliśmy bardzo wystraszeni. Ten pieszy etap zakończył się w miejscowości Dzierzbice. Tutaj przeprowadzono selekcję. Najpierw oddzielono młodzież w wieku od 18 lat, którą od razu zakwalifikowano do wywiezienia na roboty przymusowe do Niemiec. Dla pozostałych podstawiono dwa samochody ciężarowe pokryte plandekami, bez miejsc siedzących. W tych samochodach stłoczono, dosłownie ubito, bo miejsca było za mało, wszystkich pozostałych mieszkańców wysiedlonych z naszej wsi. Plandekę w ciężarówkach zasznurowano i samochody ruszyły. Nic nie widzieliśmy i nikt nie wiedział, dokąd nas wiozą.

Okazało się, że zostaliśmy przetransportowani najpierw do Kutna, a stamtąd już autobusami przewieziono nas do obozu przesiedleńczego w Łodzi. Tam odbyło się ewidencjonowanie i jeszcze jakieś biurokratyczne czynności, ale nadal byliśmy pilnowani przez Niemców. Tu zastał nas wieczór. Przez cały dzień od wczesnego ranka do wieczora nic nie jedliśmy i nie piliśmy, ale charakterystyczne było to, że nawet nie odczuwaliśmy głodu ani pragnienia.

Z Łodzi jeszcze tego samego dnia, a właściwie już w nocy, bo ok 22., przewieziono nas do obozu w pobliskim Konstancynie i dopiero tu odbyło się przeszukanie bagaży i ścisłe rewizje osobiste. Rewidowano osobno kobiety i osobno mężczyzn. Młodszego brata zabrała na rewizję mama, a ja poszedłem z ojcem. Wszystkim odbierano pieniądze, biżuterię i cenne przedmioty. Zatrzymać można było tylko ślubne obrączki. Konfiskacie podlegała nawet żywność. Trafiliśmy z ojcem na Niemca względnie łagodnego. Ojciec sam wyjął portfel i oddał pieniądze, musiał jeszcze zdjąć prawy but i marynarkę do sprawdzenia, czy tam nic nie ukrył. Ja w tym czasie stałem sobie przy ścianie, parę kroków od nich i trzymałem w ręku duży czajnik. W czajniku była schowana, o czym wszyscy zdążyli zapomnieć, połamana na kawałki kiełbasa wielkanocna, która powinna mi zostać zabrana. Jednak Niemiec nie zwrócił na mnie uwagi i gdy zwolnił ojca, wyszliśmy razem. Kiełbasa została uratowana.



W obozie w Konstancytownie umieszczono wszystkich w hali fabrycznej – każda rodzina miała swój kawałek betonowego klepiska. Spaliśmy na słomie, a przykrywał się każdy tym, co miał, najczęściej swoim ubraniem. Obóz ogrodzony był drutem kolczastym i strzeżony przez uzbrojonych Niemców. Podobno były próby ucieczki i kończyły się – jak mówiono – zabiciem uciekinierów.

Żywieni byliśmy na tyle, żeby nikt nie umarł z głodu: niesłodzoną kawą zbożową – lurą, niezjadliwą zupą, ale – w moim odczuciu – chleba było pod dostatkiem. W obozie brakowało wody i musiała być dowożona beczkami. Do pchania tego zbiornika brano czterech mężczyzn. W obozie była stała kolejka chętnych do pchania beczkowszu. Była to okazja, aby znaleźć się choć przez chwilę na wolności, a czasem zdobyć też coś dla dzieci. Naszemu tacie udało się wyjść po wodę kilka razy.

Po trzech czy czterech miesiącach zostaliśmy niespodziewanie zabrani z obozu i pociągiem – nadal pod strażą – dowiezieni do stacji Garwolin. Dopiero tam zdjęto z nas niemiecką eskortę i przekazano polskim władzom. Chłopską furmanką zawieziono moją rodzinę do Łaskarzewa, a dalej wójt gminy skierował nas do Pilczyna. Zamieszkaliśmy u miejscowego rolnika, który miał wolne jedno pomieszczenie z małym oknem. Pierwsze noce spaliśmy na podłodze.

Na początku pomagali nam przeżyć mieszkańcy wsi, żywiąc nas chlebem i mlekiem, chociaż sami byli bardzo biedni. Mój ojciec podejmował się różnych prac, żeby utrzymać rodzinę, aż w końcu wyspecjalizował się w kryciu słomą dachów. Robił to nieznaną w tym rejonie metodą dekowania. Zimą wyrabiał buty na drewnianych podeszwach. Tutaj doczekaliśmy się wyzwolenia, wciąż żyjąc nadzieją na powrót do domu.

Po wojnie wróciliśmy do rodzinnej wsi. Miałem już jedenaście lat i pamiętam, że jechaliśmy kilka dni różnymi środkami lokomocji – furmankami i odkrytym pociągiem. Naszego domu już nie było. Niemiecka rodzina, która oprócz naszego objęła jeszcze inne gospodarstwo, rozebrała „niepotrzebny” budynek. Nie było też żadnych zwierząt gospodarskich, bo zostały przez nich zabrane. Niemcy zdążyli uciec przed frontem, zabierając nasze konie, nasze wozy i inny dobytek. Jesienią nawet nie wysiali ozimin.

Bez żadnej pomocy ojciec rozpoczął odbudowę gospodarstwa.

---

## KAZIMIERZ BĄCZKIEWICZ

# Losy wysiedlonych

Autor urodził się w 1922 r. w Ciężeniu, woj. wielkopolskie. W dniu 13 maja 1941 r. niemieckie władze okupacyjne wysiedliły ze wsi Ciężen kilkadziesiąt polskich rodzin, przeznaczając opuszczone domy i gospodarstwa rolne dla niemieckich osadników. Wśród wysiedlonych znalazł się Kazimierz Bączkiewicz wraz z rodzicami. Po wstępnej selekcji dokonanej w Kole, rodzinę Bączkiewiczów przewieziono do obozu przejściowego w Łodzi, a następnie wywieziono na roboty do majątku ziemskiego w miejscowości Wollstein (Hesja). Autor relacji początkowo zatrudniany był przy hodowli zwierząt i wyrębie lasu. Po wyzwoleniu przez armię amerykańską w kwietniu 1945 r. i półrocznym pobycie w Kassel, powrócił z rodzicami do domu.

---

13 maja 1941 roku, przed świtem, kołatanie kolbą karabinu do drzwi wejściowych wiejskiego domu i wołanie „Aufmachen!” [Otwierać!] zapoczątkowało mój los wysiedlonego. Miałem wtedy 19 lat. Do wybuchu wojny ukończyłem szkołę powszechną w Ciążeniu oraz pierwszą klasę prywatnego koedukacyjnego Gimnazjum Kupieckiego w Słupcy. Liczyłem się z możliwością wywiezienia na roboty przymusowe do Niemiec, mimo że zarówno w roku 1940 jak i wczesną wiosną roku 1941 pracowałem wraz z kilkunastoma osobami przymusowo i bezpłatnie (na zasadzie szarwarku) przy obniżaniu wzniesienia na drodze z Ciążenia do Łądu w Policku. Wtedy była to jeszcze droga polna, przygotowywana do utwardzenia.

Mieszkałem z rodzicami w Ciążeniu, a ponieważ wiosna była wyjątkowo późna i zimna, sypiałem w domu. Całe poprzednie lato, podobnie jak moi rówieśnicy, sypiałem w stodole, aby w razie łapanki mieć możliwość ucieczki w pola. Gdy tej pamiętnej nocy mój ojciec otworzył drzwi, ujrzał dwóch żandarmów niemieckich, którzy łamaną polszczyzną zakomunikowali mu, że wszyscy zostajemy wysiedleni i za pół godziny mamy być gotowi do wyjścia. Żandarmami byli powołani do służby Niemcy, mieszkający przed wojną w różnych miejscowościach powiatu konińskiego. Obaj znali język polski, lecz szpanowali, aby dodać sobie ważności. Gubiliśmy się w zdenerwowaniu, nie wiedząc, w co się ubrać i co zabrać ze sobą, nie wiedząc, jaki będzie dalszy nasz los. Zabrać można było tylko bagaż podręczny, a więc bieliznę i dokumenty, dlatego wybór był taki trudny, a czasu na zastanowienie się mało. Po upływie wyznaczonego czasu jeden żandarm eskortował nas do punktu zbornego, a drugi pozostał na miejscu, dozorując pozostawione mienie. Moment opuszczenia domu rodzinnego i zagrody stanowił niezwykle bolesne przeżycie. Nikt jednak nie płakał. Moi rodzice mieli wówczas gospodarstwo rolne 5,6 ha z obsadą inwentarza, w tym 2 krowy, a także wyposażone warsztaty, gdyż ojciec prowadził zarejestrowaną kuźnię, a matka była krawcową. Cały nasz dobytek został zabrany bez potwierdzenia jakimkolwiek dokumentem. Jeszcze w dniu naszego wysiedlenia objęła go w posiadanie niemiecka rodzina przesiedlona z Estonii. Tego dnia okupacyjne władze niemieckie wysiedliły wraz z nami 48 polskich rodzin z Ciążenia, głównie rolników.

Wysiedleni zostali przewiezieni autobusami z Ciążenia do Koła i umieszczeni tam w zrujnowanym budynku żydowskiej bożnicy. Tutaj dwaj urzędnicy niemieccy, po dokonaniu oględzin wszystkich rodzin, posegregowali je na trzy grupy. Najliczniejszą przeznaczono do wyjazdu z Koła bezpośrednio do Saksonii, na roboty przymusowe na roli. Mniejszą – byli w niej moi rodzice i ja – skierowano do obozu dla przesiedleńców w Łodzi. Do grupy trzeciej zakwalifikowano natomiast osoby nienadające się do pracy fizycznej. Dokwaterowano je następnie do rodzin polskich, mieszkających w okolicy Rzgowa.

Do Łodzi przewieziono nas pociągiem pod eskortą funkcjonariusza mundurowego. W obozie poddano nas zabiegom higienicznym, w tym parowaniu odzieży. Zabrano nam do kontroli cały bagaż, konfiskując wszelką żywność i ostre przedmioty. Następnie dokonano identyfikacji i oględzin antropologicznych (byliśmy całkiem nago), pobrano odciski palców i zrobiono zdjęcia dowodowe (mieliśmy zawieszane na szyi numery identyfikacyjne). Podczas dnia musieliśmy wykonywać prace fizyczne w ogrodzie należącym do posesji obozu.

Cały personel obozu w Łodzi, oprócz osób wydających posiłki, nosił mundury ze znakami SS. Podobnie byli ubrani również Niemcy eskortujący wysiedlonych z Koła do Łodzi i z Łodzi do Rzeszy. W stosunku do nas zachowywali się wyniośle. Widziałem, jak w obozie dwóch wyższych funkcjonariuszy przechodziło przez salę zatłoczoną wysiedlonymi i jeden z nich powiedział do drugiego: „Leute, wie das Volk stinkt” [Ludzie, ale oni śmierdzą]. Wyniosłość i pogarda w jego wypowiedzi upokarzały nas i raziły. Po tygodniu pobytu w obozie w Łodzi osiem rodzin, w tym moich rodziców i mnie, załadowano do pociągu i przez Wrocław i Lipsk wywieziono do Niemiec. Po drodze przekazywano poszczególne rodziny odpowiednim niemieckim adresatom.

W drodze nasz konwojent nie pozwalał wchodzić do naszej części wagonu żadnym innym podróżnym. W mieście powiatowym Witzenhausen przekazał moich rodziców i mnie oczekującemu tam naszemu przyszłemu pracodawcy, który zaprzęgiem konnym zawiózł nas do miejscowości Wollstein, odległej od Witzenhausen około 30 kilometrów. Dopiero w tej drodze dowiedzieliśmy się nieco o tym, jaki ma być najbliższy nasz los. Tam dano nam pierwszy od wyjazdu z Łodzi (po 36 godzinach podróży) suchy posiłek oraz przydzielono kwaterę. Był to stary dwupiętrowy budynek dla robotników. Dostaliśmy pokój z kuchnią na drugim piętrze, dość prymitywnie wyposażony, i po jednym kocu do spania.[...]

## **WIESŁAW SZCZEPAŃSKI**

### **Przeżycia 10-letniego chłopca z wysiedlenia podczas okupacji hitlerowskiej**

*Autor mieszkał z rodzicami i młodszym rodzeństwem w wiosce Grochowiska pod Izbicą Kujawską. Rodzina utrzymywała się z uprawy dziesięciohektarowego gospodarstwa. W 1940 r. zostali wysiedleni, przeszli przez obóz przesiedleńczy w Łodzi a następnie wywieziono ich do Generalnego Gubernatorstwa. Autor w chwili opisywanych wydarzeń miał 10 lat.*

---

[...] Nigdy nie zapomnę ostatniego czwartku maja 1940 roku. Wydawało się, że jest to dzień jak każdy inny podczas wojny.

Jak zwykle w ostatni czwartek miesiąca w Izbicy Kujawskiej, oddalonej od naszej wsi o cztery kilometry, odbywa się jarmark, na który przyjeżdżali rolnicy z całej okolicy. Sprzedawali wyprodukowane przez siebie płody rolne, drób i zwierzęta, a kupowali artykuły pierwszej potrzeby jak sól, cukier, nafta, zapałki itp.

Właśnie w ten ostatni czwartek maja 1940 roku nasi rodzice pojechali na jarmark – żeby zrobić zakupy, ale też żeby posłuchać, co mówią ludzie na temat wojny i wysiedlania przez Niemców polskich rodzin, co już miało miejsce w naszym rejonie. Dowiedzieli się, z których wiosek już wysiedlano mieszkańców, spekulowali, kiedy i gdzie mogą wysiedlać w najbliższym czasie i czy nas to też może spotkać. Po południu rodzice wrócili do domu przygnębieni. [...]

Zbliżał się zmierzch. Gdy ojciec wrócił do domu po zadaniu karmy zwierzętom, powiedział, że ma bardzo złe przeczucia, bo krowy jak nigdy porykują z uszami postawionymi do góry, jakby się żegnały, a psy co jakiś czas żałośnie wyją. Mama zaczęła płakać. Po kolacji, późnym wieczorem położyliśmy się spać. Słyszeliśmy jednak, jak rodzice rozmawiali, stwierdzając, że instynkt zwierząt jest niezawodny i wróży coś niedobrego.

Następnego dnia, około godziny trzeciej nad ranem, obudził nas warkot silnika samochodu. Ojciec wstał z łóżka, podszedł do okna i oznajmił nam, że z autobusu wychodzą niemieccy żołnierze i jacyś cywile. Jeden żołnierz i jeden cywil zostali przed naszym domem. Pozostali rozbiegli się po wsi. Po chwili usłyszeliśmy mocne walenie w drzwi. Ojciec otworzył. W drzwiach stał żołnierz z karabinem w ręku i cywil, który łamaną polszczyzną kazał nam szybko się ubierać i zapakować tylko rzeczy osobiste. Mama i pobudzone dzieci zaczęły płakać, a Niemiec krzychał „sznel, sznel”, – „szybko, szybko” – wtórował mu cywil.

Mogliśmy spakować do tobołków tylko rzeczy osobiste. Bardziej wartościowe jak garnitur, palto czy pelisa musieliśmy zostawić. Niemcy nie pozwolili zabrać nawet jaśka dla najmłodszego brata ani większej ilości żywności. Miał to być zapas tylko na dwa dni. Na spakowanie dano nam około 20 minut i wypędzono do autobusu.

Po 15 minutach żołnierze odeskortowali do autobusu także naszych sąsiadów. Było nas razem pięć rodzin [...]. Do sprzątania i obsługi inwentarza Niemcy pozostawili we wsi dwie rodziny. Miały one pozostać do czasu przybycia niemieckich rolników. Mówili, że mają to być przybysze z Wołynia.

[...] Następnie zwieziono nas na podwórko przy Remizie Ochotniczej Straży Pożarnej w Izbicy Kujawskiej, gdzie zrobiono punkt zbiorczy dla wysiedlanych z naszej gminy. Do godziny 15 zwożono rodziny wysiedlane z okolicznych wiosek – ludzi z małymi dziećmi, a nawet z niemowlętami. Wszyscy byli zapłakani i przerażeni jak i my.

W czasie oczekiwania przychodzili bliscy i znajomi, przez płót podawali coś do jedzenia, ale na rozmowy czy pożegnania pilnujący nas żołnierze nie pozwalali, machając bronią, pokrzykiwali i odganiaли od płotu. Około 15.30 nakazano nam wsiadać do podstawionych trzech autobusów. Towarzyszyło temu pokrzykiwanie i popychanie. Następnie ruszyliśmy w nieznanym nam kierunku. Niemcy cały czas pilnowali nas, stojąc przy drzwiach autobusu z bronią w ręku. Wszyscy byliśmy bardzo wystraszeni, zapłakani, umęczeni i słychać było tylko takie słowa: „co z nami będzie dalej, co z nami zrobią, czy wywiozą nas do obozu koncentracyjnego czy na roboty do Niemiec, a może na śmierć?” [...]

Przed wieczorem dojechaliśmy do Łodzi. Autobusy wjechały na teren zamknięty i pilnie strzeżony. Jak się później okazało, znaleźliśmy się w obozie przejściowym na ulicy Łąkowej. Kazano nam szybko wysiadać z autobusu – jak zawsze Niemcy krzyczeli i poganiali nas, traktując jak bydło. Wyzwalało to płacz dzieci i kobiet, co we wszystkich potęgowało strach.[...]

W specjalnym pokoju prowadzono ewidencję i po spisaniu naszych danych, zrobiono ścisłą kontrolę osobistą, zabierając wszystkie pieniądze, kosztowności i bardziej wartościowe rzeczy. Ojcu między innymi zabrali złotą koronkę na ząb, którą miał w portmonetce razem z bilonem. Kiedy poprosił Niemca o jej zwrot, otrzymał dwa silne ciosy w twarz.

Po skończonej rewizji ojciec dostał po 20 złotych na osobę w banknotach Banku Emisyjnego i wrócił do nas na teren obozu. Obóz składał się z dużego podwórka i hali. Hala wyścielona była czymś, co kiedyś

było słomą, drobną jak sieczka, wygniecioną i pełną pcheł, które gryzły niemiłosiernie. Do dzisiaj ten czas wraca do mnie w koszmarnych snach. Codziennie do obozu przybywali nowi wysiedleńcy.

[...] Po około 15 dniach pobytu w obozie zrobiono nam zbiórkę, oczywiście w nocy. Wszyscy byliśmy przerażeni. Skompletowaną grupę wysiedleńców pędzono pod ścisłą eskortą uzbrojonych po zęby żołnierzy niemieckich z psami. Trwało to około pięciu godzin. Osoby niosące małe dzieci i jeszcze swój bagaż upadały ze zmęczenia, a Niemcy poganiali, krzycząc i szczując psami. Ludzie starsi czy po prostu słabsi rezygnowali z części posiadanych rzeczy, a nawet pozostawiali całe tobołki. Wszyscy z naszej grupy byli bardzo słabi i wycieńczeni, bo w czasie pobytu w obozie dostawaliśmy do jedzenia wyłącznie czarny chleb i kawę.

Nad ranem znaleźliśmy się na dworcu kolejowym. Tam czekały już na nas wagony bydłące. W każdym znajdowało się po 20 bochenków okrągłego chleba. Do jednego wagonu wpędzono po 40 osób i jak pod koniec wypadło na większą rodzinę, to ją dzielono, nawet jeżeli dotyczyło to jednej osoby. Nie pomagały prośby i błagania. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że cała nasza rodzina zmieściła się w jednym wagonie i mogliśmy być razem w czasie tej koszarnej podróży w nieznane. W wagonach przebywaliśmy cały dzień pod ścisłym nadzorem niemieckich żołnierzy z psami. Pociąg ruszył dopiero wieczorem, a następnego ranka byliśmy już na stacji w Nałęczowie. Tutaj Niemcy wypędzili nas z wagonów i pozostawili już bez żadnego nadzoru.

Nie wiedzieliśmy, co będzie dalej. Zobaczyliśmy, że wokół stacji są zgromadzone furmanki – jak się okazało – z okolicznych i odległych wsi, których zadaniem było zabranie nas do poszczególnych miejscowości.[...]

Do wsi Książ w gminie Godów przybyliśmy późną nocą. Zakwaterowano nas w małym, starym domku z sienią i jedną izbą bez podłogi. Następnego dnia ojciec zgłosił się do sołtysa z pytaniem, jak mamy dalej żyć. Sołtys skierował ojca do pracy u najbogatszego rolnika w tej wsi pana Anasiewicza. Wynagrodzeniem było skromne wyżywienie dla ojca i resztki obiadu dla rodziny. Ja jako najstarszy z dzieci też pracowałem u pana Anasiewicza. Pasłem krowy z jego synami, Zbyszkim i Ryśkiem. Tak było do roku 1941 i nie wiem jak byśmy przeżyli, gdyby ojciec nie zabrał się do handlowania – woził do Warszawy tytoń i słoninę, schowane pod podszewką marynarki lub kurtki, a z Warszawy przywoził używaną odzież, którą sprzedawał na targu, głównie w Beżycach.

Zaczęło nam się żyć troszkę lepiej, mieliśmy chleb i coś do chleba, głód już tak bardzo nie dokuczał. Nie był jednak z tego zadowolony pan Anasiewicz, który pod koniec 1941 roku został wójtem gminy Godów.

Ostatniego dnia czerwca 1942 roku, w sobotę około południa, pod zajmowany przez nas dom podjechała furmanka. Do domu wpadł mężczyzna, mówiąc trochę po polsku, trochę po niemiecku, kazał nam się szybko spakować. Mama w płacz, młodsze rodzeństwo też. Wszyscy byliśmy przerażeni, ale pomagaliśmy mamie. Cały czas byliśmy poganiani przez tego mężczyznę. Po ulokowaniu skromnego dobytku na furmance, wsiedliśmy do niej wszyscy, ale bez ojca, który w tym czasie był w Warszawie. Volksdeutsch odjechał bryczką. Nasza furmanka ruszyła, a woźnica powiedział, że wiezie nas do wsi Owczarnia, odległej od wsi Książ około 25 kilometrów.

[...] Na szczęście ojciec po powrocie z Warszawy odnalazł nas i rozpoczął poszukiwania jakiegoś mieszkania nadającego się dla ludzi. Znalazł je we wsi Wronów, sąsiadującej ze wsią Książ. We Wronowie mieszkaliśmy już do końca wojny. Tak wyglądała gehenna naszej rodziny. Wyrządzonych nam krzywd nie da się zmierzyć ani zapomnieć i wybaczyć.[...]

W 1945 roku, po wyzwoleniu, wróciliśmy do naszego rodzinnego domu. Drogę pokonaliśmy pociągiem z wojskiem radzieckim – otwartym wagonem. Było mroźno, padał śnieg, ale to nic. Byliśmy szczęśliwi, że wracamy do domu. W gospodarstwie nie zastaliśmy żadnego inwentarza, w domu pustki. Niemcy zabrali niemal wszystko. Rodzice musieli zaczynać od zera, by wyżywić i wychować czwórkę dzieci, i dali radę.



*Selekcja rasowa, b.d.m. (WBBH)*

**BENON BAKALARSKI**

# **Nędza młodości to nie jest bajka**

*Autor był synem polskiego oficera. Przed wojną wraz z rodzeństwem mieszkał w Warszawie. W czasie łapanki ulicznej został aresztowany. Przebywał w obozie przejściowym na ulicy Skaryszewskiej, skąd został wywieziony na roboty do Austrii. W chwili opisywanych wydarzeń miał 14 lat.*

---



[...] W Warszawie od 1940 roku trwały łapanki, to znaczy polowania na ludzi przez specjalnie wyszkolone ekipy niemieckich żandarmów. Złapanych segregowano, sprawdzano tożsamość. Osoby uznane przez Niemców za „niebezpieczny element” kierowano do obozów koncentracyjnych, niektórych od razu rozstrzeliwano, a młodych, zdrowych mężczyzn i kobiety wysyłano do przymusowej pracy w Niemczech i Austrii.

Na początku lutego 1942 roku znalazłem się przypadkowo na praskiej ulicy Targowej i wpadłem w zastawiony „kocioł” łapanki. Obława objęła kilkaset osób, z których większość załadowano od razu na samochody, tzw. budy, i wywieziono. Ja znalazłem się w grupie tych, dla których nie wystarczyło samochodów, i żandarmi z psami spędzili nas na pobliski Dworzec Wileński. Po około czterech godzinach oczekiwania przyjechały budy i ludzi przewieziono do byłej szkoły na ulicy Skaryszewskiej. Byłem oszołomiony tą sytuacją, ale zdawałem sobie sprawę ze śmiertelnego niebezpieczeństwa. Starsi mężczyźni mówili, że mamy szczęście, bo ze Skaryszewskiej nie idzie się do obozu koncentracyjnego, ale na roboty do Niemiec.

Pobyt tutaj był twardą i ciężką szkołą życia. Przez dwa tygodnie spaliśmy na pryzkach zbudowanych z siatki ogrodzeniowej, które nie były wyposażone w nic więcej. Podstawę żywienia stanowiła jednorazowa porcja zupy i niewielkie ilości chleba ze sztucznym miodem. Tak było codziennie przez te dwa tygodnie. Próby uwolnienia mnie podjęte przez rodzinę nie dały żadnych rezultatów. Nie można było również podać zatrzymanym żywności.

Po dwóch tygodniach, pod konwojem, przeprowadzono nas na ulicę Kawęczyńską, to jest około dwóch kilometrów od poprzedniego miejsca pobytu. Mieścił się tam tzw. Arbeitsamt, czyli biuro werbunkowe do niewolniczej pracy.

Pamiętam jak dziś długą salę z licznymi okienkami z nazwami różnych miast niemieckich. Do poszczególnych okienek kierował ludzi niemiecki urzędnik. Zrządzeniem losu na salę weszła tłumaczka i zwróciła uwagę na chłopca, który, mimo że nad wiek wyrośnięty, różnił się jednak posturą od dorosłych mężczyzn. Starła się przekonać Niemca, że czternastoletni chłopak nie będzie przydatny do żadnej ciężkiej pracy. Niemiec na nią krzyknął i nakazał, by mnie zarejestrować. Potem dodał, że ostatecznie będę pasł krowy. Tłumaczka zdążyła jeszcze mi szepnąć, żebym szedł do okienka z napisem Wiedeń, co też niezwłocznie uczyniłem. W okienku zarejestrowano mnie, otrzymałem dokument Transportschein. Po zarejestrowaniu wszystkich wróciliśmy z powrotem w konwoju na Skaryszewską. Za kilka dni zaczęto przewozić ludzi wagonami do wyznaczonych miast.

## FRANCISZKA TWARDOWSKA

# Wspomnienia

*Rodzina autorki pochodziła z Małopolski. Po utracie w pożarze i w powodzi dwóch kolejnych domów jej rodzice postanowili przenieść się na Pomorze Gdańskie, gdzie otrzymali grunty w ramach przedwojennej reformy rolnej. W chwili opisywanych wydarzeń Franciszka miała 4 lata.*

---

[...] Było to 23 listopada 1941 roku. Do naszej wsi przyjechało SS w czarnych i żółtych mundurach. Kazali nam spakować się w kilka minut i nocą wywieźli nas do obozu Centrali Przesiedleńczej w Toruniu. Mama była w ciąży, czuła się bardzo źle, ojciec chorował na astmę i miał przepuklinę. Zaczęły się dni nędzy i głodu, co noc umierało wielu ludzi, którzy nie wytrzymywali tych warunków. Mieszkaliśmy w budynku, w którym na dole była stajnia. Były tam konie, którymi ludzie przyjechali do obozu. Na górze mieszkali ludzie. Nie było prycz, spaliśmy na cemencie i siennikach – kto miał i zdołał zabrać ze sobą. Co noc wdychaliśmy opary z gnoju koni, to było okropne. Ludzie umierali i spało się obok nich przez wiele godzin.

W mojej rodzinie też zaczęła się gehenna. Najpierw zachorowała na czerwonkę mama. Była to straszna choroba z brudu i niedobrego pokarmu. Niemcy zabrali ją do szpitala obozowego. Płakaliśmy bardzo za nią, ale musieliśmy zostać z tatą, który ledwie trzymał się na nogach, bo także był chory. W tym czasie zabrano starszą siostrę, która opiekowała się nami młodszymi dziećmi, na roboty. Mama pokonała chorobę i po miesiącu wróciła do obozu. Miałam wtedy pięć lat, najmłodszy brat dwa lata. On najgorzej odczuł brak mleka i głód. Mama robiła wszystko, by utrzymać nas przy życiu. Wymyśliła ucieczkę z obozu, aby pojechać w swoje rodzinne strony po chleb, smalec i marmoladę. Brak było również środków do prania. Ucieczka mamy była zaplanowana. Mój starszy brat Bronisław przygotował dziurę w ogrodzeniu, odginając druty. Robił to wtedy, gdy wachman oddalał się i siedł w przeciwną stronę. Dziurę zamaskował gałęziami. W mglisty dzień, wczesnym rankiem, gdy ludzie jeszcze spali, mama uciekła z obozu. Nikt nie zauważył braku jednej osoby. Mama szybko dotarła do dworca kolejowego i przyjechała do Kornatowa, stamtąd wyruszyła pieszo. Przeszła cztery kilometry do wsi, gdzie miała dobrych znajomych. Byli bardzo zdziwieni, gdy zobaczyli osobę z obozu. Miała ranę na nodze, ponieważ skaleczyła się przy przechodzeniu przez druty. Ranę przewiązała chustką. Znajomy aptekarz zrobił opatrunek, bo rana była poważna. Dał lekarstwa dla mamy i rodziny w obozie oraz pieniądze. Inni ludzie, którzy mieli młyn i piekarnię, dali chleb, kolejni wiaderko marmolady, jeszcze inni dobrzy ludzie dali słoninę, smalec i wędliny. Jednym słowem miała tego bardzo dużo, aż nie mogła unieść, ale musiała do nocy wrócić do obozu, bo tak umówiła się z rodziną. Wieczorem również sprawdzano stan osobowy w obozie. Było już bardzo ciemno, księżyc wyglądał spoza chmur, a my przy drutach wypatrywaliśmy sylwetki naszej mamy. Wszyscy drżeliśmy ze strachu przy umówionej dziurze, bo wachman chodził. Wreszcie zobaczyliśmy, że ktoś idzie. W tym czasie wachman odszedł dalej. Mama szybko rzucała przez druty bagaże, ale sama nie miała już siły przejść przez dziurę. Była tak zmęczona, wyczerpana i przerażona ze strachu. Wtedy moi bracia, czternastoletni Bronisław i dwunastoletni Franciszek, przekładali jej kolejno nogi i cały tułów. Zaciągnęli ją do pralni, w której ze zmęczenia zemdląca. Po jakimś czasie doszła do siebie i była szczęśliwa, że znowu jesteśmy wszyscy razem. Tym, co przyniosła podzieliła się z wieloma osobami, bo wszyscy byli głodni. W tym czasie była jeszcze w ciąży, ale po rozwiązaniu jeszcze kilka razy wymykała się z obozu i dzięki Bogu nie została złapana, bo za to groziła kara śmierci.

Brat, który urodził się w obozie, miał na imię Eugeniusz. Mama karmiła go piersią, a pieluszki, które robiła z prześcieradeł, zimą suszyła własnym ciałem. Zimą na dworze nie wyschły, a w pomieszczeniu nie wolno było wieszać. Zresztą wszędzie było zimno, bo nie było opalane. Mały Eugeniusz, gdy miał rok, zachorował na uszy, ponieważ wszędzie były przewiewy (ludzie nie wytrzymywali spać w tym zaduchu i otwierali okna). Wcześniej jeszcze zachorował ojciec i zabrano go do szpitala, do którego też trafił mój brat. W obozie pozostało nas czworo dzieci z mamą. Siostra Karolina była na robotach – pracowała w ogrodnictwie, brat Bronisław zamiatał z innymi chłopcami ulice. Szli co rano z kapo, który ich pilnował, i wracali do obozu, jak wszystko było zrobione. Bracia Franciszek, Władysław i ja byliśmy z mamą.

[...] Sytuacja w obozie toruńskim nazwanym „Szmalcówką” zaczęła się pogarszać. Mama nie mogła już więcej ryzykować wypraw po prowiant. Władysław coraz bardziej odczuwał brak mleka, którego dziecko potrzebowało. Był bardzo wycieńczony z głodu i zmarł mamie na rękach – wołając, że chce mleka i bułki.

[...] W tym czasie dostaliśmy kartkę od ojca ze szpitala, dostarczoną przez kapo. Na kartce były słowa „Eugeniusz jest już zdrowy – jutro wraca do rodziny na teren obozu”. My jednak następnego dnia nie cieszyliśmy się z powrotu brata – wiadomość, którą otrzymaliśmy, brzmiała następująco – „Okoński Eugeniusz nie żyje, wypadł przez okno” – dla mamy i całego rodzeństwa wiadomość ta była szokiem. Tata, który w tym czasie był jeszcze w szpitalu, nie widział zwłok syna. Często ukradkiem widywał go na

sali dziecięcej, ponieważ lekarzami byli Polacy. Ojciec nie wierzył w śmierć syna. Brat miał dopiero jeden rok, a okna w szpitalu były zakratowane. Jeszcze nie chodził i nie mówił, niemożliwe, żeby tak zginął.

[...] Bronisław przy pracy zranił sobie nogę grabiami. Zaczęła go coraz bardziej boleć i otworzyła się cieknąca rana, noga po prostu zaczęła gnić. Nie było środków opatrunkowych. Mama bardzo się martwiła, myślała, co by tu zaradzić. Kapo, który wychodził z chłopcami na ulice, był Polakiem. Mama omówiła z nim ucieczkę i dobrze zapłaciła – właściwie dała wszystkie pieniądze, jakie miała. Tego dnia Broniek jak zwykle wyszedł z innymi chłopcami zamiatać ulicę. W pewnym momencie zostawił miotłę i zaczął iść przed siebie. Chłopcy zaczęli krzyczeć, że Okoński ucieka, ale Kapo nie zwracał uwagi. Po jakimś czasie powiedział do chłopców – „Zdawało wam się, on tylko poszedł się załatwić”, ale już nie wrócił. Poszedł na dworzec kolejowy i pojechał do miejscowości, gdzie mieszkała nasza siostra Marianna. Znalazła mu pracę u bauera, który nie miał swoich dzieci i potrzebował człowieka do pracy na roli. Brat spodobał się bardzo właścicielowi gospodarstwa, gdyż umiał pracować w polu. Polubił go jak własnego syna, miał u niego bardzo dobrze, podleczył mu nogę. W obozie jednak zauważono jego zniknięcie. Często wołano mamę na Gestapo i przesłuchiowano – pytano, gdzie jest syn?

[...] Tymczasem ojciec wrócił ze szpitala i zaczęła się jego gehenna, bo wzywano go również na Gestapo w sprawie syna Bronisława. Pytano, gdzie jest, gdzie mamy jakąś rodzinę na wolności. Grozili ojcu, że wywiozą nas do Oświęcimia. Ojciec bał się o nas, bał się również o człowieka, który pomógł przy ucieczce. Mama błagała, żeby powiedział gdzie przebywa Broniek. Następnego dnia na przesłuchaniu ojciec wyjawiał, gdzie mieszka rodzina. Gestapo szybko odnalazło miejsce pobytu brata. Wysłali pociągiem wachmana, który zabrał ze sobą rower, bo od pociągu do wsi, w której przebywał, było dziesięć kilometrów. W tym czasie brat był na polu, ale natychmiast musiał się ubierać. Nie pomogły błaganie gospodarza, że jest potrzebny, że nie ma kto pracować, a on jest stary i nie ma siły. Wachman uwiązał Bronka do roweru sznurkiem, on jechał, a brat biegł za rowerem dziesięć kilometrów jak pies. Do obozu przyjechali wieczorem, z daleka widziałam go zmęczonego i jak dostawał lanie. Wrzucili go do piwnicy, gdzie leżały zwłoki. Drzwi tej piwnicy miały duże szpary, więc kiedy je zamknięto, a wachman oddał się, podbiegłam i patrzyłam, czy żyje. Siedział i płakał, a ja razem z nim. Bał się nocy i co będzie jutro, co z nim jeszcze zrobią. Na szczęście skończyło się na dobrym laniu. Wypuścili go po tygodniu.[...]

W tym czasie w obozie zaczęła się szerzyć epidemia tyfusu, ta straszna choroba dosięgła również mnie. Dostałam tak wysokiej temperatury, że nie wiedziałam o świecie. Nie wiem, w jaki sposób znalazłam się w szpitalu, w którym były okropne warunki, ale było lepiej niż w obozie. Któregoś dnia do tego samego szpitala przywieziono mojego brata Franciszka.

### **Obóz Centrali Przesiedleńczej w Potulicach**

W obozie zaczęto przygotowywać ludzi do transportu do innych obozów. Wkrótce nas też wywieziono. Wraz z rodzicami trafiłam do obozu w Potulicach. Był to obóz pracy położony w lesie, otoczony podwójnym kolczastym drutem. Wewnętrzne ogrodzenie było pod napięciem elektrycznym. Między nim a drugim ogrodzeniem chodził wachman. Nie było mowy o ucieczce. Na środku terenu obozowego znajdował się piętrowy budynek, w którym na dole mieściła się kuchnia, a dalej umywalnia i dwa duże piece gazowe. Na piętrze znajdowała się szwalnia, a jeszcze wyżej szkolne klasy. Baraki, w których mieszkaliśmy, były zbudowane z drewna. Stały jeden przy drugim w małej odległości, było ich bardzo dużo. Mój barak był przeznaczony dla rodzin, inny znowu dla samotnych kobiet, mężczyzn lub dla samotnych dzieci. W obozie potulickim zamieszkiwały różne narodowości: Żydzi, Cyganie, Francuzi. Spaliśmy na pryzkach, na których położyto sienniki ze słomy. Warunki były o wiele lepsze niż w obozie w Toruniu. Każdy tu musiał pracować, ale nie dostawał wynagrodzenia.

Dzień, w którym przywieziono nas do obozu w Potulicach, był pogodny. Bardzo dużo ludzi stało w kolejce do ścięcia włosów, ponieważ wszyscy byli zawszawieni. Moja mama miała piękne włosy i żał było je ścinać, więc postanowiła poprosić komendanta obozu, aby pozwolił jej je zachować. Mama nie miała w głowie robactwa, strasznie płakała, uklękała przed komendantem, prosząc o łaskę. Byliśmy bardzo zdziwieni, kiedy pozwolił jej zatrzymać włosy, jedynie trochę skrócić, bo miała długie warkocz. Wszyscy w obozie chodzili w chustkach, bo nie mieli włosów.

Następnie zaprowadzili nas do łąźni, by się dobrze wymyć, a naszą odzież wrzucili do pieców gazowych, by wyniszczyć robactwo z obozu przesiedleńczego, gdzie warunki były okropne. Przyznano nam barak 15, na sali było bardzo dużo ludzi, ale byliśmy szczęśliwi, że mogliśmy spać na pryczach wystłanych słomą, a nie na cementie. Ponieważ był to obóz pracy, mama została przydzielona do szwalni, a ojciec do kuchni. Palił w piecach i przywoził ziemniaki z kopców do obieralni; to była bardzo dobra funkcja. Ojcu było ciężko, ale cieszył się, że nie poszedł do kopania dołów lub na budowę. Moich dwóch braci zabrali do pracy w fabryce butów w Bydgoszczy, siostrę Karolinę do pracy w ogrodnictwie. Jako najmłodsza pozostałam z rodzicami. Kiedy dorosli szli do pracy, wszystkie dzieci ustawiano, liczone i wyprowadzano pod nadzorem do lasu. Starsze dzieci szły do szkoły uczyć się języka niemieckiego. Te, które nie mogły szybko pojąć nauki, były bite, miały ponadrywane uszy i popuchnięte dłonie. Mama słyszała ich płacz, bo pracowała piętro niżej. My maluchy od rana do wieczora przebywałyśmy w lesie, na terenie ogrodzonym drutem kolczastym. Byliśmy bardzo głodne, często jadłyśmy trawę, by zaspokoić głód. W południe przywozili nam czarną kawę, a po powrocie do obozu jedliśmy obiad. Przeważnie była to zupa z pokrzyw lub z brukwi, ale głodnemu wszystko smakuje. Mój ojciec, kiedy mu się udało, przynosił mi ukryte w kieszeni upieczone kartofle – to był rarytas, coś wspaniałego, lepsze od cukierków, których smaku nie znałam.

Nie zaznałam w dzieciństwie niczego, co miały dzieci na wolności. Przez trzy lata nie widziałam mleka lub posmarowanego chleba, a o słodyczach nikt nie marzył. Człowiek żył w ciągłym strachu, za małe przewinienie bili i karali przeróżnymi metodami. Pamiętam, jak jednemu mężczyźnie kazano wykopać głęboki dół, potem go zastrzelono. Wszyscy musieli przyglądać się tej scenie, dzieci również.

[...] Na terenie obozu ludzie ciężko pracowali przy budowie samolotów, produkcji butów wojskowych, szyciu mundurów i uprzęży dla koni, a także przy uprawie warzyw. Dzieci zatrudniano przy wymianie słomy w siennikach. Ja również dźwigałam nasze sienniki poza obóz, gdzie znajdowały się stogi, wyrzucałam starą, a nakładałam świeżą słomę. Często przeprowadzano rewizje, bo ludzie przynosili różne rzeczy z miejsc pracy. Nie było odzieży, butów, ani pościeli.[...] Każdego dnia był apel, na którym wyczytywano skazanych. Moi rodzice i ja przetrwaliśmy w obozie trzy lata. Dzień wyzwolenia nastąpił niespodziewanie.

Gdy mama jak co dzień szła do pracy, zauważyła przed bramą zamieszanie wśród wojska niemieckiego. Szybko wsiadali na konie lub do samochodów i odjeżdżali. Brama została szeroko otwarta, ale więźniowie nie uciekali, nie wiedzieli, co się dzieje. Rodzice zostali w obozie jeszcze przez tydzień, aż do chwili wkroczenia do obozu Rosjan. Ludzie byli zastraszeni. Mówiono, że poza obozem strzelają do uciekających. Wreszcie mój ojciec zdecydował, że wychodzimy i jedziemy do Bydgoszczy odszukać moich braci. Naszym pojazdem był wózek, na którym mój ojciec woził ziemniaki z kopców. Załadowaliśmy nasz cały dobytek więzienny, składający się z pierzyny, poduszki i kilku rzeczy osobistych, i tak ciągnęliśmy ten wózek przez pola, bo szosą szło wojsko. [...]

---

# Germanizacja dzieci polskich

Niemieckie władze okupacyjne dość szybko doszły do wniosku, iż natychmiastowa germanizacja ziem polskich włączonych do Trzeciej Rzeszy nie dokona się tylko poprzez osiedlanie na terenach polskich Niemców. Coraz popularniejsza stawała się koncepcja częściowego zniemczenia także ludności rodzimej, za którą przemawiały argumenty ekonomiczne. Rodziny zgermanizowane stanowiły źródło nowych rekrutów dla Wehrmachtu a poprawa ich warunków bytowych miała wpłynąć na wydajniejszą pracę. Pod wpływem tej argumentacji Hitler zezwolił na masową germanizację ludności zamieszkującej Śląsk a w późniejszym czasie i Pomorze.

Szczególnie okrutną i nieludzką formę przybrała germanizacja dzieci polskich. Na ich rabunek w Kraju Warty zezwolił Himmler już w 1941 roku. Na początku 1942 roku akcją germanizacji dzieci rozciągnięto na wszystkie ziemie okupowane. Towarzyszyła ona również zakrojonym na szeroką skalę akcjom wysiedleńczym, np. w trakcie wysiedleń Zamojszczyzny. Od tej pory rozpoczęto poszukiwanie polskich dzieci, odpowiadających ustalonym przez władze hitlerowskie kryteriom rasowym. W pierwszej kolejności przeszukano sierocińce. Następnie odbierano sieroty pełnoprawnym opiekunom, zabierając dzieci rodziców aresztowanych za udział w konspiracji, opierającym się germanizacji, z małżeństw mieszanych. Na terenie Niemiec akcją objęto dzieci polskich robotnic przymusowych. Germanizacją zajmowały się instytucje takie jak Komisariat Rzeszy dla Umacniania Niemczyzny, Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS, Urząd Repatriacyjny dla Etnicznych Niemców (VOMI), Lebensborn e. V.

Rodziny z Pomorza, Wielkopolski, Kujaw oraz wyłonione dzieci, uznane w czasie pierwszej selekcji za nadające się do zniemczenia, osadzano w łódzkiej filii głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS przy ulicy Spornej. W obozie przeprowadzono dodatkowe, szczegółowe badania, mające na celu wyselekcjonowanie osób posiadających jak najwięcej cech aryjskich. Badania rasowe przeprowadzono wielokrotnie, w różnych ośrodkach. Były one bardzo szczegółowe, prowadzili je eksperci urzędu rasy lub lekarze z urzędów zdrowia. Dzieci były oceniane według 62 punktów, zawierających informacje między innymi o kolorze oczu, włosów, wroście, wadze, proporcjach ciała, kształcie czaszki itp., definiowanych za pomocą badań antropometrycznych. Na tej podstawie określano przynależność dziecka do jednego z 11 typów rasowych. Dzieci, które nie spełniały wymogów rasowych, kierowano do obozów koncentracyjnych, również tych stworzonych specjalnie dla nich (np. w Łodzi i Konstancynie). Dzieci, u których stwierdzono wady genetyczne, nierzadko poddawano eutanazji lub przeprowadzano na nich okrutne eksperymenty. Te natomiast, które pozytywnie przeszły badania rasowe, były przekazywane do Niemieckich Szkół Ojczyznianych (starsze) i ośrodków Lebensbornu (młodsze). Tu poddawane były dalszej germanizacji. W ośrodkach uczęszczały do szkoły, gdzie uczono języka niemieckiego. Opornych na naukę bito. Za używanie języka polskiego groziły surowe kary. Zakazany był również kontakt z rodzinami. Personalia dzieci, dla zatarcia śladów, wyłączano z kartotek ogólnej ewidencji ludności. Nadawano im nowe niemieckie imiona i nazwiska, zmieniano daty urodzenia, wystawiano fałszywe metryki. W tym celu Lebensborn prowadził własne biuro meldunkowe. Po dokonaniu tych czynności, dzieci przekazywano do adopcji rodzinom niemieckim.

Niemcy masowo uprowadzali dzieci również na wschodnich terenach byłej II RP (obecnie Ukraina), gdzie w 1944 roku Grupa Armii Środek i 9 Armia aresztowały kilkadziesiąt tysięcy dzieci, które przeznaczono do zgermanizowania.

Bardzo trudno ustalić liczbę polskich dzieci, które w czasie drugiej wojny światowej zostały poddane germanizacji. Szacuje się, że waha się ona w przedziale od 50 do 200 tys. W rezultacie poszukiwań prowadzonych po wojnie przez Polski Czerwony Krzyż tylko około 15 do 20 % powróciło do Polski, do swoich rodzin.

Dramat dzieci germanizowanych był podwójny – raz, gdy zabierano je rodzicom bądź wrywano z rodzimego środowiska, drugi raz, gdy wróciły do Polski. Młodsze dzieci nie pamiętały swoich rodzin, nie znały języka polskiego. Przez rówieśników uznawane były za Niemców, a przez wiele środowisk piętnowane i odrzucane.

## BARBARA PACIORKIEWICZ

# Kim jestem ?

*Autorka urodziła się w 1938 r. w Gdyni. W pierwszych dniach wojny zmarła jej matka. W czasie wojny całą rodzinę wysiedlono do Łodzi. Gdy miała cztery latka odebrano ją dziadkom i przeznaczono do germanizacji. Zmieniono jej dane personalne i umieszczono w rodzinie niemieckiej. Swoją prawdziwą tożsamość poznała dopiero w 1948 r., gdy została zidentyfikowana przez Polski Czerwony Krzyż jako dziecko polskie i wróciła do kraju.*

---

Moja wojna trwała znacznie dłużej niż do maja 1945 roku. Było to następstwem procesu wynarodowienia. Odebrano mi tożsamość i świadomość, gdzie naprawdę jest mój dom.

Zaświadczenie z Archiwum Państwowego w Łodzi stwierdza, że „Barbara Gajzler urodzona 1 lub 2 lutego 1938 roku przebywała w Domu Dziecka przy ul. Przędzalnianej 66 w Łodzi od 21.02.1942 roku do 09.03.1942 roku. Następnie została przeniesiona do Domu Dziecka przy ul. Lokatorskiej 12, a 27.05.1942 roku przesłana do Bruczkowa. Stamtąd została wywieziona do Trzeciej Rzeszy i przekazana rodzinie niemieckiej – Rossmann. W październiku 1947 roku została zidentyfikowana przez polskie władze repatriacyjne jako dziecko polskie. A co było przedtem ?

Z relacji babci Kossak (matki mojej matki) wiem, że urodziłam się 1 lutego 1938 roku w Gdyni, w domu, w którym moi rodzice mieszkali razem z rodzicami i rodzeństwem mojej matki.

W pierwszych dniach wojny moja mama zmarła na zawał serca. Cała rodzina została wysiedlona. Młodszych wywieziono do obozów pracy na terenie Trzeciej Rzeszy, a mnie z babcią i dziadkiem, wysłano do Łodzi, gdzie zamieszkaliśmy w starej oficynie przy ul. Lipowej, w jednym z przydzielonych nam pokoi. To z tego właśnie mieszkania Niemcy zabrali mnie w lutym 1942 roku do Domu Dziecka przy ul. Przędzalnianej. Po dwóch tygodniach babcia mnie tam już nie zastała. Po wojnie rozpoczęła poszukiwania przez Polski Czerwony Krzyż. O tym wszystkim dowiedziałam się jednak dopiero po powrocie do Polski.

Spróbuję opisać zapamiętane oczami dziecka obrazy i przeżycia z okresu mojego wojennego dzieciństwa. Moja pamięć sięga czwartego roku życia. Byłam w domu z dużą salą z oknami i szerokim parapetem w kształcie półkola, na którym często siedziałam. Przebywało tam dużo dzieci, z którymi często patrzyliśmy na wielką łąkę. Dzisiaj wiem, że był to duży trawnik, a dom to Lebensborn w Połczynie. Dzieci ciągle oglądano, badano, mierzono, a przede wszystkim karano. Jeżeli jedno się zmoczyło, lanie dostawali wszyscy. A myślę, że moczyły się z powodu strasznego lęku, który towarzyszył każdemu z nas. Nie było więc dnia bez tego incydentu.

Tu też zmieniono moje dane. Nazywałam się Geisler Bärbel, ur. 02.02.1939 roku. Byłam o 1 rok i 1 dzień młodsza niż w rzeczywistości – charakterystyczne dla dzieci z Lebensborn.

Nie sposób zapomnieć dnia, kiedy przyjechał starszy pan, aby zabrać mnie do swojego domu. Byłam, jak wszystkie dzieci, bez włosów i stałam przed nim tylko w majteczkach i koszulce. Płakałam, bo nie chciano mi dać mojego białego futerka.

Po powrocie do Polski dowiedziałam się, że Niemcy zabrali mnie od babci właśnie w białym futerku z królików. Wynika z tego, że przeszłość kojarzyła mi się jedynie z futerkiem.

Starszy pan zawiął mnie w swoją marynarkę i tak pojechaliśmy do Lemgo. Przywitały nas dwie kobiety, które na mój widok rozplakały się. Płakałyśmy więc wszystkie trzy. Wykąpały, nakarmiły mnie i położyły do dziecięcego łóżeczka. Długo jeszcze płakałam zanim zasnęłam. Kiedy obudziłam się, miałam „mamę”, „tatę” i „babcię”. Byłam małą, dzięką Bärbel, „sierotą po zmarłym oficerze niemieckim”. W pokoju mojego nowego domu wisiał portret dziewczynki - Ursel, która zmarła mając 9 lat. Jej postać była dla mnie wzorem. Miałam wcielić się w jej skórę. Nosiłam też jej rzeczy, ale nigdy jej nie dorównałam, mimo różnych kar i dyscypliny jaka panowała w tym domu. Byłam po prostu inna.

Dzisiaj myślę, że to jest główny powód moich strasznych kompleksów i niedoceniaania samej siebie. Mam gdzieś zakodowane, że jestem gorsza od innych. Wracając do tamtego okresu – nigdy nie przyszło mi do głowy, że państwo Rossmann nie są moimi rodzicami. A ja, kim ja byłam?

O tym, że jestem Polką, dowiedziałam się mając 10 lat. Zaczął się rok 1948. W domu panowała tajemnicza atmosfera. Prowadzone rozmowy urywały się na mój widok. Szykowano mnie do wyjazdu. Pewnego styczniowego dnia przyjechała po mnie kobieta w amerykańskim mundurze. Nieświadoma, byłam pewna, że jadę na wycieczkę, ale domownicy żegnali mnie dziwnie, ze łzami w oczach. Choć nie byłam tą Ursel, jednak z czasem mnie pokochali i nie powiedzieli, że nie jestem ich dzieckiem.

Od tej pory przebywałam z niewielką grupką dzieci w małym miasteczku na południu Niemiec. Ubrano nas w piękne rzeczy pochodzące z magazynu UNRA, codziennie częstowano południowymi owocami, których przedtem nie znałam, czekoladą i cukierkami. Musieliśmy jednak uczyć się intensywnie języka angielskiego, nawet przy posiłkach. Później, będąc w Polsce nie mogłam zrozumieć, po co wówczas był mi potrzebny język angielski, skoro nie znałam polskiego. Po latach od osoby, która brała udział





Barbara Paciorkiewicz przed powrotem do Polski, 1948 r. (ZDPGPRH)

w poszukiwaniu dzieci polskich na terenie Niemiec, dowiedziałam się, że miałam być wysłana do Ameryki. Po wojnie Amerykanie odbierali Niemcom zrabowane dzieci i wywozili je do siebie. Gdyby tak się stało ze mną, chyba nigdy już nie poznałabym swojej tożsamości.

W maju tego samego roku przesłano mnie z dwojgiem innych dzieci do Augustdorf. Umieszczono nas w obozie, gdzie były same baraki, w których przebywali ludzie różnych narodowości. Wszyscy czekali na transport do swojego kraju. Poinformowano nas, że czekamy na pociąg do Polski.

Na początku czerwca wsiedliśmy do jednego z wagonów bardzo długiego pociągu PCK. Były w nim piętrowe łóżka. Myślałam, że podróż nigdy się nie skończy. Często staliśmy całymi dniami w polu. Wreszcie dojechaliśmy do Katowic. Z dworca zawieziono nas do ośrodka PCK, gdzie czekaliśmy, aż ktoś po nas przyjedzie. Ale kto? Zgłaszali się rodzice i ze łzami

w oczach zabierali swoje dzieci, a ja płakałam i zazdrościłam im.

Czekał na mnie prowadzony przez siostry sierociniec, który widziałam przez okno. Już wiedziałam, że Barbara Gajzler jest sierotą. Choć mnie tak nazywali, ja wciąż byłam Bärbel Rossmann z Lemgo i długo nie mogłam oswoić się z nowym dla mnie nazwiskiem. Doczekałam się wreszcie wujka. Nie znając go, rzuciłam się mu w objęcia. Zaskoczony moją reakcją wujek chyba się wzruszył, poczęstował mnie bułką z wielkim serdelkiem. Po raz pierwszy w życiu jadłam, trzymając w jednej ręce całą kiełbasę, a w drugiej bułkę z masłem, i do dziś czuję ten smak. Jednak rozmowa z wujkiem była trudna, choć uważał, że nauczył się niemieckiego w obozie pracy w Niemczech. Śmieszyła mnie jego mowa, z której nic nie mogłam zrozumieć. Pojechaliśmy do Gdańska, do domu – jak mówił wujek. Miasto w ruinach, stary dom bez wygód i wody, nieznaną język, same przykre niespodzianki, no i rodzina, którą dopiero poznawałam: ciocia, dwie kuzyneczki (3 i 5 lat), po miesiącu urodził się chłopiec – to był mój nowy dom.

Wojna skończyła się już dawno, a ja poniewierałam się od jednej ciotki do drugiej. Wreszcie trafiam jednak do Domu Dziecka. Ciągle myślałam, że to jakaś pomyłka, bo do niczego i do nikogo nie mogłam się dopasować. Dzieci uważały, że jestem Niemką. W Gdańsku, gdzie po raz pierwszy poszłam do polskiej szkoły i zaczęłam uczyć się języka polskiego, na przerwach, podczas zabawy, dzieci wybierały mnie do kółka i śpiewały „stary Hitler mocno śpi”. Nie miałam im tego za złe, bo przecież w moim mniemaniu byłam Niemką i miałam rodziców w Lemgo. Trudno było mi zrozumieć całą tę historię.

W swojej ojczyźnie byłam tym dzieckiem niechcianym, a powodem wszystkiego była wojna. Ile to razy zadawałam sobie pytanie, gdzie jest moje miejsce na tej ziemi? I kim właściwie jestem? Taka wewnętrzna walka toczyła się we mnie od 10-tego roku życia. Będąc już dorosłą, kiedy po 18-tu latach znów znalazłam się w Lemgo, miałam sama o tym zdecydować. Te chwile rozterki, nieprzespane noce trudno opisać i chyba trudno zrozumieć temu, kto sam tego nie przeżył. Najtrudniejsze lata, w których najbardziej potrzebowałam wsparcia i matki, miałam już za sobą. Swoją ojczyznę poznawałam w trudnych warunkach i sama musiałam decydować o swoim dalszym życiu.

Lata spędzone w Lemgo pozostały głęboko w pamięci. Dzisiaj wracam do tego pięknego miasteczka i do ludzi, których tam poznałam, już jako Polka, która wie gdzie jest jej miejsce i dom. Polka, która chciałaby przekazać następnym pokoleniom historię dzieci polskich, które przez manipulujących nimi „nadludzi”, stały się Janczarami XX wieku.

W tej całej tragedii ja miałam szczęście znaleźć się w rodzinie, do której w najtrudniejszych chwilach mojego życia nieraz tęskniłam. Wybrałam jednak Polskę...

Germanizacja dzieci odebranych narodowi, nawet w przypadku kiedy się Niemcom nie udało, bo wrócili do swojego gniazda i pozostały Polakami, zniszczyła psychikę dziecka, która jak ta złamana gałąź nigdy się nie zrośnie i nie zwróci człowiekowi życiowej równowagi.

Znam dzieci, którym odebrano prawo do polskości, które wyrosły i są dzisiaj Niemcami, ale nie zaznały spokoju. Ciągle jeszcze szukają swojej tożsamości i korzeni w Polsce.

**HENRYK WOJCIECHOWSKI**

# **Zamknięty krąg. Będziesz Wochingerem**

*Autor urodził się w 1932 r. Został pozostawiony przez matkę w poznańskiej klinice położniczej. Od 1937 r. był wychowankiem Katolickiego Domu Dziecka w Pleszewie. Tutaj zastał go wybuch wojny.*

---

W dniu 7 maja 1941 roku zostałem deportowany do obozu germanizacyjnego dla dzieci polskich w Kobylinie, powiat leszczyński, tzw. „Jugendlager für polnische Kinder”. [...] Warunki bytowe i zdrowotne w obozie w Kobylinie były złe. Wiele dzieci chorowało. Personel niemiecki nie reagował na nasze potrzeby. W skrajnych przypadkach dzieci wysyłano do szpitala w Krotoszynie. Uniwersalnym lekiem były zioła i stawianie baniek. Najczęstszymi chorobami zaś – dolegliwości żołądkowe i permanentne przeziębienia. Ciągłe odczuwaliśmy głód. Wypadki dzieci do pobliskiego warzywniaka kończyły się biegunkami.

Podstawowym pożywieniem były grube kasze, zupy z suszonego chleba, zupy warzywne z żółtej brukwi, placki ziemniaczane smażone na oleju lnianym, rzadziej zupy mleczne – pół na pół z wodą, polewki mączne na wodzie kraszone zasmażką z cebuli, szare kluchy ziemniaczane, czarna kawa zbożowa słodzona syropem z buraków cukrowych, suchy chleb, rzadziej ze smalcem, kapuśniaki, niekiedy kisiele. Nie było słodczy.

Spaliśmy w salach wyściełanych siennikami wypełnionymi słomą, pod kocami. Dużym utrapieniem były insekty. Ich tępienie polegało na goleniu głów, szczególnie dziewcząt, i nacieraniu naftą, pod chustę. Raz w tygodniu kąpano nas w baliach, do czego używano lizolu. Ubikacje dezynfekowano chlorkiem. Dni rozpoczynały się i kończyły apelem. Gdy było ciepło – na placu, w zimne dni – na korytarzach lub w jadalni przy kuchni (w refektarzu klasztornym).

[...] W tych warunkach, razem z innym wychowankiem pochodzącym z Krotoszyna, podjęliśmy ucieczkę. Po miesiącu lub dwóch zostaliśmy odstawieni z powrotem do obozu przez policję z Krotoszyna. Wcześniej oberwaliśmy solidne lanie (a mogło skończyć się znacznie gorzej).

Badania dzieci odbywały się wyznaczonymi imiennie grupami. W zależności od rodzaju badań, prowadzone były przez lekarza lub pielęgniarkę. Procedurę badań rasowych każde dziecko przechodziło indywidualnie, rozebrane do naga. Badania dotyczyły przebytych chorób, wzrostu, wagi ciała, sprawności ruchowej, równowagi, ostrości wzroku i słuchu. Były też badania moczu, badania krwi, rentgen, badania psychofizyczne – rozwiązywanie zadań logicznych, pomiary czaszki i osadzenia oczu, genitaliów. Wyniki były wpisane do Karty Dziecka opatrzonej zdjęciem, opracowanej na użytek badań rasowych dziecka. Badania końcowe przeprowadzała dr Hildegarde Hetzer – specjalista Lebensborn z Łodzi, która decydowała o uznaniu, czy dziecko nadaje się do germanizacji.

Dzieci niezakwalifikowane do germanizacji odsyłano do innych obozów, najczęściej do Kalisza, gdzie była Centrala Meldunkowa Głównego Urzędu do Spraw Rasy i Osadnictwa SS z Łodzi.

W Jugendlager Kobylin przebywałem od maja 1941 do czerwca 1942 roku, to jest do momentu gdy znalazłem się w grupie dzieci, które pozytywnie przeszły weryfikację i moje nazwisko zostało wyczytane na obozowym apelu.

Latem 1942 roku razem z trzydziestoosobową grupą dzieci trafiłem jako Ostland Kind do Ośrodka Szkoleniowego Hitlerjugend w Niederalteich w Dolnej Bawarii, do tzw. Szkoły Ojczyźnianej Lebensborn. Przebywałem tam od czerwca 1942 do lipca 1943 roku, ucząc się języka niemieckiego, asymilując w nowym środowisku i czekając na zmianę statusu narodowościowego. Ośrodek był prowadzony przez instruktorów Lebensborn i mundurowych, pod nadzorem wizytujących szkołę esesmanów. Komendantem szkoły był Shturmbannführer S.S. – Hartmann. Szkoła mieściła się w wydzielonej części klasztoru oo. benedyktynów. Jej istnienie było poufne. Nie da się jednak wykluczyć, że okoliczna ludność wiedziała o jej istnieniu.

Edukacja obejmowała między innymi: zajęcia kulturalne, seanse filmowe, zajęcia sportowe w ośrodku „Arbeitsdienst”, udział w Zlocie Młodzieży jesienią 1942 roku w Regensburgu. Pod koniec nauki odbył się egzamin, który przeprowadzili przedstawiciele Lebensborn i mundurowi SS. Po zdaniu egzaminu otrzymałem nowe nazwisko, zamieniając dotychczasowe – Henryk Wojciechowski na Heinrich Wochinger. Otrzymałem też status narodowościowy Reichsdeutsches Kind, zapewniający uzyskanie obywatelstwa niemieckiego po osiągnięciu pełnoletności. Następnie (w 1943 roku) zostałem przekazany do Lager Partsch koło Salzburga w Austrii.

Dzięki zaświadczeniu wystawionemu przez Urząd Lebensborn, potwierdzającemu pochodzenie niemieckie – Reichsdeutsche, byłem równy w prawach z obywatelami Rzeszy. Z nowym nazwiskiem przekazany zostałem rodzinie Engelbert Berger w Dorfgastein.

W okresie adaptacji miałem przydzielonego opiekuna z Urzędu Lebensborn, nadzorującego moje przystosowywanie się do nowego środowiska. Polegało to na tym, że pod wskazany adres mogłem w każdej chwili przekazać swoje wrażenia lub skargę.

W przybranej rodzinie miałem zapewnione warunki do nauki oraz dobre warunki bytowe. Wyczuwałem ich przywiązanie i troskę. Po zajęciach szkolnych pracowałem, na miarę swoich możliwości, przy obrządku inwentarza – owiec, kóz, krów, koni oraz pomagałem we wszystkich pracach gospodarczych. Miałem pełną swobodę ruchu. Za namową gospodarzy w okresie przedświątecznym 1943 roku skorzystałem z przekazanego mi adresu, opisałem swoje wrażenia i zwróciłem się z prośbą o narty na zbliżającą się zimę. Niespodziewanie opiekun stawił się osobiście, dostarczając mi narty oraz okolicznościowe prezenty. Miałem wiele powodów do zadowolenia i nie kryłem radości. W przyszłości już nie kontaktowałem się więcej z opiekunem, nie miałem ani takiej potrzeby, ani powodów do skarżenia się.

W przypiływie nostalgii, by nie zapominać polskiej mowy, nuciłem sobie znaną z dzieciństwa piosnkę „Szła dziewczeczka do laseczka...”, usiłując tłumaczyć jednocześnie jej tekst na niemiecki.

Gospodarz często wspominał, że zamierza mnie usynowić i ustanowi mnie spadkobiercą w miejsce syna, który poległ, walcząc na froncie wschodnim, na Węgrzech.

Okres do wyzwolenia Austrii przez aliantów (strefa amerykańska), wspominam jako znaczący w moim życiu. Pożegnanie z przybraną rodziną dla obu stron nie należało do łatwych. Moim talizmanem z tego okresu jest zasuszona szarotka pozyskana na szczycie Schuhflieker.

W wyniku działań polskiej misji wojskowej i Polskiego Czerwonego Krzyża późną jesienią 1945 roku powróciłem do Polski. Z Salzburga do Poznania jechałem przez Czechy, Międzylesie i Wrocław pod opieką nieznaną mi z nazwiska rodziny poznaników.

W obozie repatriacyjnym w Salzburgu byłem sam wśród dorosłych, innych rówieśników nie pamiętam.



*Selekcja rasowa polskich wysiedlonych, b.d.m. (IPN)*

Do dzisiaj przechowuję drewniany kuferek-walizkę na rzeczy osobiste wykonany w obozie. Przed wyjazdem i wydaniem dokumentów pobrano mi odciski palców oraz wykonano fotografię do Karty Repatriacyjnej. Każdego z nas zdezynfekowano, a następnie przydzielono miejsce w wagonie towarowym. Dostaliśmy paczki z żywnością na dwa dni podróży.

Moje losy osobiste po 1945 r. nie należały do łatwych, jak zresztą wszystkich powracających z wygnania. Pozostałem zdany na własne siły i kuratelę opieki społecznej. Po przybyciu do Poznania zostałem zarejestrowany w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym, mieszczącym się w barakach wzniesionych na placu Dworca Głównego. Otrzymałem wówczas kwotę 100 złotych na niezbędne wydatki wraz z kartą PUR, jako dowodem osobistym oraz skierowanie do Wojewódzkiego Wydziału Opieki Społecznej przy ulicy Dąbrowskiego.

Staraniem PCK i Wydziału Opieki Społecznej ulokowany zostałem w Domu Dziecka Sióstr Urszulanek przy ulicy Mariackiej, a następnie – ponieważ nie udało się nawiązać kontaktu ani ustalić miejsca pobytu rodziny Zofii i Michała Ślusarek – moich przedwojennych opiekunów, przeniesiono mnie do Domu Dziecka w Broniszewicach koło Pleszewa prowadzonego przez Siostry Zgromadzenia Dominikanek...

**WIESŁAW KULIGOWSKI**

# **Wspomnienia z lat germanizacji 1942-45**

*Autor urodził się w 1934 r. Był sierotą, wychowywała go dalsza rodzina. W czasie wojny został uznany za nadającego się do germanizacji. Przebywał w kilku ośrodkach germanizacyjnych, zanim trafił na wychowanie do rodziny niemieckiej. Po wojnie szczęśliwie wrócił do Polski.*

---

Urodziłem się 13 maja 1934 roku we wsi Topola Wielka, pow. Ostrów Wielkopolski, woj. poznańskie. Mama zmarła w 1940 roku, braciszek kilka miesięcy później. W 1941 roku zmarli babcia i dziadek. W tej sytuacji w 1941 roku na dalsze wychowanie wzięli mnie siostra mojej babci Weronika Śnioch i jej mąż Jan, zamieszkujący w tej samej miejscowości. Rodzina była liczna, ale nikt inny nie chciał mnie wziąć, tłumacząc się okupacją i trudnymi czasami. Nowi wychowawcy mieli dwie córki – piętnastoletnią Joannę i siedmioletnią Władysławę. Chcieli, żebym mówił im „mamo” i „tato”, ale święta dla mnie pamięć o śmierci matki spowodowała, że mówiłem im „ciociu” i „wujku”. Wujek Jan pracował z nakazu okupantów w dużym gospodarstwie rolnym u Volksdeutscha Kwiatkowskiego. Za pracę wujek otrzymywał tzw. deputat na każdą osobę z rodziny. Ja byłem piąty, więc Kwiatkowski nie był z tego zadowolony i wydał mnie Niemcom (tak po wojnie wyjaśniał mi to zająście wujek). Do chwili wywiezienia Joanna codziennie uczyła mnie pisać i czytać, co później okazało się bardzo pomocne. Na początku 1942 roku przeszedłem badania lekarskie, w wyniku których służba zdrowia organizacji Lebensborn uznała, że jestem odpowiedniej rasy, nadaję się na zgermanizowanie i będę dobrym Niemcem. I tak się zaczęło. Mój szlak germanizacyjny wiódł przez Kalisz, München, Oberweis, Kalisz, Oberweis, Salzburg, Taxenbach.

### **Kalisz („Gaukinderheim” in Kalisch – Warthegau).**

Tu przywieziono mnie i kilkoro innych dzieci z punktu zbornego w Ośrodku Zdrowia w Ostrowie Wielkopolskim. W Kaliszu przygotowywano nas dla potrzeb Trzeciej Rzeszy w dawnym budynku klasztoru przy ul. Górnośląskiej. Uczono intensywnie języka niemieckiego, chwalono Hitlera, Niemcy i ich zwycięstwa. Język niemiecki wchodził mi do głowy bardzo opornie, dlatego wiele razy dostałem lanie od nowych wychowawców, którymi byli niemieccy funkcjonariusze i jakieś kobiety mówiące po polsku i po niemiecku oraz siostry zakonne, również mówiące w obu tych językach. Okres adaptacyjny w Kaliszu trwał około 6-7 miesięcy. W tym czasie zadbano, abyśmy nie mieli żadnych kontaktów z dotychczasowymi rodzinami. Moja ciotka Weronika dobrze знаła niemiecki, odwiedzała więc urzędy w gminie Przygodzice i w powiecie Ostrów Wielkopolski, aby uzyskać pozwolenie na kontakt ze mną. Dano jej do zrozumienia, aby natychmiast zaprzestała tych zabiegów, zapomniała o mnie, bo jestem już „deutsche Kinder” [niemieckim dzieckiem]. Wyraźnie jej powiedziano, że w przeciwnym wypadku grozi jej wywiezienie do Auschwitz. Ciotka wiedziała, że jestem w Kaliszu, bo zmieniawszy dane nadawcy, przez robotników polskich wywożących śmieci, wysłałem krótki list informacyjny do domu. Do końca pobytu w Kaliszu nie widziałem się z nikim z rodziny. Jak ja wówczas nienawidziłem Niemców! Miałem już 8 lat, byłem sprytnym chłopcem, tęskniłem bardzo za najbliższymi i kolegami. Myślałem nawet o ucieczce, ale nie znalazłem odpowiedniego kumpla na towarzysza. W Kaliszu mogliśmy jeszcze mówić po polsku, ale pod żadnym pozorem nie wolno było kontaktować się z Polakami. Pamiętam jak dziś, że całe wieczory w ciszy i skupieniu przeznaczaliśmy na modlitwy, aby zmienił się nasz los. Wszyscy byli przytłumieni i zastraszeni. Nasi wychowawcy byli czujni, nawet wśród kolegów i koleżanek wypytywali o nasze myśli i zamiary.

### **München**

Tu wszystko się zmieniło. Porządek jak w wojsku. Pobudka, capstrzyk, cisza po obiedzie. Nauka, musztra, podział na drużyny i surowy zakaz mówienia po polsku. Wychowawcami byli esesmani w czarnych mundurach, ale pomagały im również kobiety mówiące tylko po niemiecku. Wyżywienie było marne, na obiady głównie pastewna żółta brukiew, raz krojona w kostkę, innym razem jak kapusta na surówkę, na inne posiłki przeważnie czarny chleb i marmolada. Wszyscy bardzo chudli. Największą frajdą było dostać się do drużyny kuchennej, do mycia olbrzymich garów. Dla niemowlaków i maluchów gotowano kaszkę manną, a my te gary tak łyżkami wyskrobywaliśmy, że nie było właściwie co myć. Pamiętam, że na tym oddziale niektóre dzieci miały najwyżej roczek, nie mówiły po polsku, a jedynie dwa słowa: „papa” i „mutter”. Kto wie, co się z nimi stało?

Za każde nieposłuszeństwo wychowawcy karali nas, przeważnie karę wyznaczał dyżurny esesman – pozbawienie posiłków, bicie po dłoniach skórzanym pejcem. Częste było również bicie dłonią lub pięścią

w twarz, w zależności od humoru wychowawcy. Jeśli kara odebrania posiłków wynosiła 2, 3 lub więcej dni, to otrzymywało się tylko raz dziennie chleb i czarną gorzką kawę zbożową. Stosowano również zamykanie w ciemni (w piwnicy). Opisuję tylko to, co pamiętam i co sam przechodziłem. Pewnego razu, po ogłoszeniu alarmu lotniczego, wyprowadzili nas na najbliższe pola. Szliśmy czwórkami polną drogą, obok rosły pomidory, wyskoczyłem z ostatniej czwórki, zerwałem dwa pomidory. Jak wstępowałem do szeregu pech chciał, że odwrócił się jeden esesman i zauważył to. Nic nie powiedział, ale w kilka minut po powrocie do ośrodka wezwano mnie do dyżurki esesmanów, trzech z nich doskoczyło do mnie, dwóch trzymało, a trzeci bił pejcem. Rzucałem się i kładłem na podłogę. Ustawili mnie wtedy za dużym, ciężkim krzesłem dębowym, a ręce przywiązali do siedzenia. Wówczas, gdy nie mogłem się prawie ruszyć, bili po dłoniach tak, że krew tryskała. Dalej nie pamiętam, bo straciłem przytomność. Wrzucili mnie między metalowe drzwi, na betonowe schody prowadzące do piwnicy. Koledzy mówili mi potem, że byłem nieprzytomny 3-4 dni. Po wojnie zastanawiałem się, dlaczego tak mnie zbili za 2 pomidory. Wujek tłumaczył mi, że nie za pomidory, ale za kradzież, bo Niemcy nie lubili złodziejstwa.

Obok nas za drutem kolczastym był obóz jeńców francuskich, którzy litowali się nad nami i w miarę możliwości nam pomagali. Przez druty podawali nam cukierki i inne słodkie, nie było to często, ale jednak. Oni mogli otrzymywać paczki z domu. Francuzi wysyłali nasze listy do rodzin, znów ze zmyślnym nadawcą. Dzięki temu moja rodzina wiedziała, gdzie jestem. Trzeba było uważać na esesmanów, odwracać ich uwagę, pojedynczo docierać do ogrodzenia i przekazywać francuskim jeńcom nasze listy. Było to trudne, ale jakoś udawało się. Francuzi tłumaczyli nam, że wojna niedługo się skończy, trzeba będzie wracać do rodzin, a jak zapomnimy język polski, to nikt nam nie uwierzy, że jesteśmy Polakami.

My starsi chłopcy, w wieku 8-15 lat, zrozumieliśmy to w lot, a właściwie przystąpiliśmy do działania. Codziennie po capstrzyku (po godz. 22.00), gdy gaszono światła i słychać było odgłos kroków dyżurnego esesmana wchodzącego na dyżurkę, zbieraliśmy się w 4-5 na jednym łóżku i po ciemku przyciszonym głosem rozmawialiśmy ze sobą po polsku, aby nie zapomnieć ojczystej mowy. Były wpadki, nieraz podsłuchano, nieraz ktoś słaby wydał nas. Bito i karano, a my w skrytości robiliśmy swoje. Musieliśmy tak czynić, bo po przyjeździe do München dowiedzieliśmy się, że nie jesteśmy tymi, którymi dotychczas byliśmy. Ja Wiesław Kuligowski odtąd nazywałem się Claus Kugler, urodzony 20 kwietnia 1934 roku, (jak na ironię zbieżność z urodzinami Adolfa Hitlera) w miejscowości Posen [Poznań], wyznanie ewangelickie. Takimi dokumentami posługiwałem się do końca wojny, w strefie amerykańskiej po drugiej wojnie i w czasie nielegalnej podróży do Polski w sierpniu 1945 roku. Wtedy o ruskich różnie mówiono, bałem się ich i zniszczyłem niemieckie dokumenty, aby nie wysłali mnie znów do Niemiec. Miało to miejsce w Ostrawie Czeskiej. Znalazłem dwie dorosłe osoby spod Sieradza, które potwierdziły moją tożsamość. Wówczas, nie miałem żadnego polskiego dokumentu.

Właśnie w München nastąpiła selekcja. Starszych chłopców i dziewczyny powysyłano do rodzin niemieckich do adopcji. Młodszych przewieziono do kolejnego ośrodka germanizacyjnego w Oberweis koło Gmunden w Austrii. Oddzielono mnie od starszego o cztery lata kolegi, Mariana Wojtaszka, również z Topoli Wielkiej. Nie wiem, co stało się z niemowlętami i maluchami, bo do dnia mojego wyjazdu do Oberweis były jeszcze w München. Po nas przywieziono do München następną grupę polskich dzieci.

### **Oberweis „Alpenland”**

Tu rolę wychowawców także pełnili mundurowi, chyba z Wehrmachtu, bo komendant z czarną opaską na jednym oku chodził w zielonkawym mundurze. Dalej dryl pruski, porządek wojskowy, od pobudki do capstrzyku zajęcia, szkolenie musztry i gry. Jedzenie marne, podobnie jak w München. Żadnych kontaktów z osobami postronnymi, nawet z Niemcami. Tam również wykorzystywaliśmy każdy chwilowy brak nadzoru w dzień lub w nocy i rozmawialiśmy ze sobą po polsku. Po niemiecku umiałem już dobrze pisać i czytać.

Starsi koledzy znów przechytrzyli naszych nadzorców. Dowiedzieli się, że w Oberweis są dobrzy Austriacy i nocami na krótko wykradali się, by przekazywać do wysyłki nasze listy do rodzin. I znów moja ciotka Weronika wiedziała, gdzie jestem. Listy przekazywano również niezauważalnie podczas wprowadzania nas w teren. Nie wiem, jak to organizowano, ale na trasie naszego przemarszu miały nas



jakiś „przypadkowy” cywil i jeden z kolegów przekazywał mu nasze listy. Jeżeli w tej chwili był obserwowany, to przekazywanie listów nie następowało, dla bezpieczeństwa jednej i drugiej strony. Nasza korespondencja była wysyłana z innych miejscowości, bo na poczcie w Oberweis wprowadzono ścisłą cenzurę. Po wyzwoleniu oficerowie z armii gen. Andersa mówili nam, że listy pomagał nam wysyłać Austriacki Ruch Oporu. Wszystkie ośrodki germanizacji dzieci polskich podlegały bezpośrednio Himmlerowi w Berlinie, który otaczał je ścisłą tajemnicą nie tylko przed całym światem, ale nawet przed własnym społeczeństwem. Niemcy nie rozpieszczali nas. Cały czas byliśmy poddani twardej pruskiej dyscyplinie i szkoleniu. Latem 1943 roku zorganizowano dla nas obóz wojskowy pod namiotami, za Gmunden na łąkach nad jeziorem Traunsee. Ubrano nas w mundurki, przydzielono karabiny z bagnietami, ale bez amunicji. Miałem 9 lat, karabin z nałożonym bagnietem był wyższy niż ja. Od pobudki do capstrzyku intensywnie nas szkolono: musztra, biegi, nauka walki wręcz, zadawanie ciosów bagnietem w tarczę z sylwetką lub w manekina. Miało to być potrzebne do zadawania ciosów „polnische banditen” [polskim bandytom]. Nocami organizowano alarmy, zbiórki, rewizje.

W Oberweis też miałem pecha. Pewnego dnia wypuścili nas na plac. Pobiegłem na wzgórze, gdzie za metalowym ogrodzeniem rósł duży orzech włoski i tam usiadłem sobie na ziemi. Za chwilę przyszedł do mnie oficer SS w długich butach, uderzając się pejcem po lewej dłoni, rozkazał mi wejść na drzewo i narwać orzechów. Na widok pejca dostawałem szoku. Błyskawicznie znalazłem się na drzewie, złamała się krucha gałąź i spadłem z wysokości kilku metrów na plecy. Leżałem ponad 2 tygodnie nieprzytomny w izolatce. Sprawę wyciszono, tak jakby się nic nie stało. Zaprowadzono mnie z powrotem do grupy, do szpitala mnie nie zawieziono, ale ciekawe, że tego oficera już więcej nie widziałem. W Oberweis zdarzały się również dziwne rzeczy. Kilku starszych chłopców uciekło. Po każdej ucieczce było częste liczenie i kontrole. Nic nam nie mówiono, w obozie nie organizowano alarmu. W okolicy natomiast pełno było patroli z psami, obstawione drogi i stacje kolejowe. Żaden z uciekinierów nie został z powrotem przywieziony do Oberweis. Starszych chłopców, którzy kończyli 15 lat, wywożono małymi grupami w nieznanym kierunku. Po wojnie amerykańscy oficerowie z Dywizji Powietrzno-Desantowej w miejscowości Zel am See mówili, że piętnasto-szesnastoletnich chłopców spotykali na froncie przy granicy francuskiej. Nie wiedzieli, co z nimi robić, dla hecy ucinali im nogawki i w krótkich spodniach puszczały wolno. W rozmowach chłopcy mówili, że donosili na pierwszą linię frontu amunicję. Kim oni byli – Amerykanie nie wnikal. Latem 1944 roku dużo chłopców i dziewcząt polskich przetransportowano do Salzburga. W tym czasie Niemcom grunt palił się już pod nogami.

## **Kalisz**

We wrześniu 1943 roku trasą przez Wiedeń, Pragę i Wrocław znów wraz z kilkunastoma kolegami znalazłem się w Kaliszu. Tym razem traktowano nas wyjątkowo dobrze. Naszym zadaniem było tylko to, żeby chłopcom i dziewczynkom w Kaliszu opowiadać, że w Oberweis jest pięknie i fajnie, żeby same chciały tam jechać. Trwało to tylko kilka tygodni, po czym z dużą grupą polskich dzieci wróciliśmy do Oberweis.

## **Salzburg „lager partsch”**

Następnym etapem był Salzburg. Tam ulokowano nas na peryferiach miasta, w barakach stojących u podnóża skalistej góry. Codziennie nękały nas naloty. W dzień bombardowali Anglicy, w nocy Amerykanie. Wewnątrz góry wydrążone były tunele przeciwlotnicze. Na sygnał syren pędzono nas biegiem do tych tuneli. Wiele razy nie zdążyliśmy dopaść schronu zanim samoloty zrzuciły bomby. Tam odłamkami czy odpryskami zostałem ranny w obie nogi. Znow leżałem w izolatce kilka tygodni, ale zostawiali mnie w baraku, nie pędzili do tunelu. Byłem ciągle w napięciu i w strachu. Na przemian modliłem się o przeżycie i pościłem się ze strachu. To było jak piekło na ziemi. Później zrozumiałem, że obóz w Salzburgu był etapem przejściowym. Stąd wysyłano nas pojedynczo pod nadzorem do rodzin niemieckich w Trzeciej Rzeszy i w Austrii, do adopcji. Ja trafiłem do miejscowości Taxenbach w Austrii.

## Taxenbach

Pod koniec sierpnia 1944 roku przydzielono mnie do rodziny H. Bruggera w Taxenbach. Mieli „Gasthaus” [zajazd] i gospodarstwo rolne. Pani Bruggerowa zajmowała się restauracją. Pan Brugger był ranny na froncie wschodnim, stracił oko, zakrywał je czarną opaską. Ciągłe nosił brunatny mundur i pistolet w kaburze. Bardzo się go bałem, ale on się mną nie zajmował. Bruggerowie na froncie wschodnim stracili też jedyne go syna. Był tam też służący narodowości ukraińskiej, lat około trzydziestu, znał kilka języków. Z nim się zaprzyjaźniłem. I znów pech, pani Brugger nakryła nas podczas rozmowy po polsku. Od tego czasu byłem bity za te spotkania, rozmowy po polsku i za to, że nie chciałem mówić do niej „mamo” ani „ciociu”, tylko „Frau Brugger”. Pamiętałem, że moja mama zmarła jak miałem 6 lat, umierała na moich oczach, klęczałem przy łóżku i trzymałem zapaloną gromnicę. Ciotki zaś miałem w Polsce. Pani Brugger ciągle mnie obserwowała i przydzielała mi robotę. Mimo zakazu, potajemnie spotykałem się z tym Ukraińcem, rozmawialiśmy po polsku, choć wiele słów już zapomniałem. On miał radio ukryte na strychu pod podłogą i systematycznie informował mnie o sytuacji na frontach. Pan Brugger był szefem policji w tym miasteczku i dobrze, że nas nie przyłapał. Do maja 1945 roku chodziłem do miejscowej szkoły publicznej, do 5 klasy. W niedziele, dni wolne lub niekiedy po południu ładowano mi plecak i torby jakimiś sprawunkami i musiałem zanosić je w góry, do ich rodziny. Na drogę powrotną ładowano mi bochenki sera. Najgorzej było pod górę. To była dla mnie katorżnicza trasa. Było mi ciężko, za darmo mnie nie karmili. Wyżywienie było co prawda lepsze niż w München i Oberweis, ale i tak byłem wygłodzony, sama skóra i kości. 7 maja 1945 roku o godzinie 13 do Taxenbach wjechali Amerykanie, na czołgach, z akordeonami i flagami. Radość i entuzjazm nie miały granic. Nie tylko obcokrajowcy, ale i miejscowi cieszyli się z zakończenia wojny. Już następnego dnia, 8 maja o godzinie 8 rano przyjaciel ukraiński narysował mi na kartce szkiec marszruty do międzynarodowego obozu dla cudzoziemców w Zel am See. Wsadził mnie do pociągu, a sam wrócił do Taxenbach, bo jak mówił, miał jeszcze coś do załatwienia. Kazał mi wysiąść na stacji Brucke, dalej pytać i iść pieszo. Tak dotarłem do obozu w Zel am See, a stamtąd do polskiego obozu w Salzburgu. Miałem wiele propozycji – adopcji przez pułkownika z USA, wyjazd do Włoch i Hiszpanii. Postąpiłem po swojemu, wykorzystałem nieuwagę wartowników amerykańskich na stacji kolejowej Salzburg w poniedziałek 13 sierpnia i wskoczyłem do transportu jadącego do Polski. Przez 2 tygodnie dobrzy ludzie pomagali mi przeżyć, dając mi jedzenie z paczek UNRA. Nie było mnie na liście transportu, nie było więc racji żywnościowej, a podczas kontroli ukrywano mnie, bo jechałem nielegalnie. Udało się. W niedzielę 26 sierpnia 1945 roku stanąłem w domu rodzinnym w Topoli Wielkiej. Nie poznali mnie, bo wyglądałem jak wygłodzony więzień z Oświęcimia.

Tak w skrócie przebiegał okres mojej germanizacji w latach 1942-1945. Miałem szczęście, bo żyję. Wiele polskich dzieci takiego szczęścia nie miało.



*Ośrodek germanizacyjny dla dzieci polskich, Bruczków, 1942 r. (ZDPGPRH)*



*Dzieci w ośrodku germanizacyjnym w Bruczkowie, 1942 r. (ZDPGPRH)*

# Okupacyjna codzienność

1 września 1939 roku rozpoczął nowy etap w życiu mieszkańców Polski. Wojna a następnie pięcioletnia okupacja zmieniły codzienność zwykłych ludzi. Początkowo nie wiadomo było, czego się spodziewać po Niemcach. Jednak już po pierwszych działaniach Wehrmachtu, niemieckiego lotnictwa i pojawiającego się natychmiast Gestapo stało się jasne, że okupanci nie będą łaskawi dla mieszkańców terenów, które zajmowali. Wszystkie działania niemieckie służyły z jednej strony natychmiastowemu zastraszeniu ludności cywilnej, z drugiej zaś maksymalnemu uprzykrzeniu życia.

Za niezastosowanie się do nakazów, rozkazów, rozporządzeń okupacyjnych groziły drakońskie kary – pobyt w obozie koncentracyjnym, więzieniu, a najczęściej kara śmierci. Stałym elementem życia okupacyjnego stał się wszechobecny terror, tzw. łapanki uliczne i publiczne egzekucje. Aresztowani w trakcie przypadkowych łapanek trafiali do obozów koncentracyjnych, a w najlepszym przypadku byli wywożeni na roboty przymusowe do Niemiec.

Życie codzienne, szczególnie w pierwszym okresie okupacji, było bardzo ciężkie. Brakowało artykułów pierwszej potrzeby, w miastach nie działały wodociągi, elektrownie, nie było możliwości zdobycia opału na zimę. Wprowadzono kartki na niemalże wszystkie artykuły spożywcze i przemysłowe. Ludzie musieli przystosować się do stworzonych przez okupanta warunków, aby przetrwać w tej wojennej rzeczywistości. Życie powszednie stało się nieustającą walką o byt.

Polakom nie wolno było posiadać radia, na terenach włączonych do Trzeciej Rzeszy także roweru, obowiązywała ich godzina policyjna. Zamknięto dla nich parki, kina, teatry, biblioteki, a nawet boiska sportowe. Wydzielono miejsca, w których mogli przebywać tylko Niemcy. Zamknięto szkoły i wyższe uczelnie. Dokonano zmiany w nazwach ulic. W okresie późniejszym zezwolono dzieciom uczyć się w ograniczonym zakresie szkoły podstawowej, a w GG także zawodowo, ale tylko w wybranych, uważanych za gorsze zawodach. Polacy nie mogli sprawować żadnych urzędów i zajmować wyższych stanowisk. Ich rolą było tylko i wyłącznie wykonywanie pracy fizycznej dla dobra gospodarki niemieckiej. Już w październiku 1939 roku wprowadzono dla ludności polskiej przymus pracy dla mężczyzn od 18 do 60 roku życia. Wkrótce wiek ten obniżono do 14 lat, a w praktyce zatrudniano również dzieci młodsze. W późniejszym okresie okupacji przymus pracy dotyczył także kobiet. Ograniczono zarobki, które stały się nieproporcjonalnie niskie w stosunku do kosztów utrzymania.

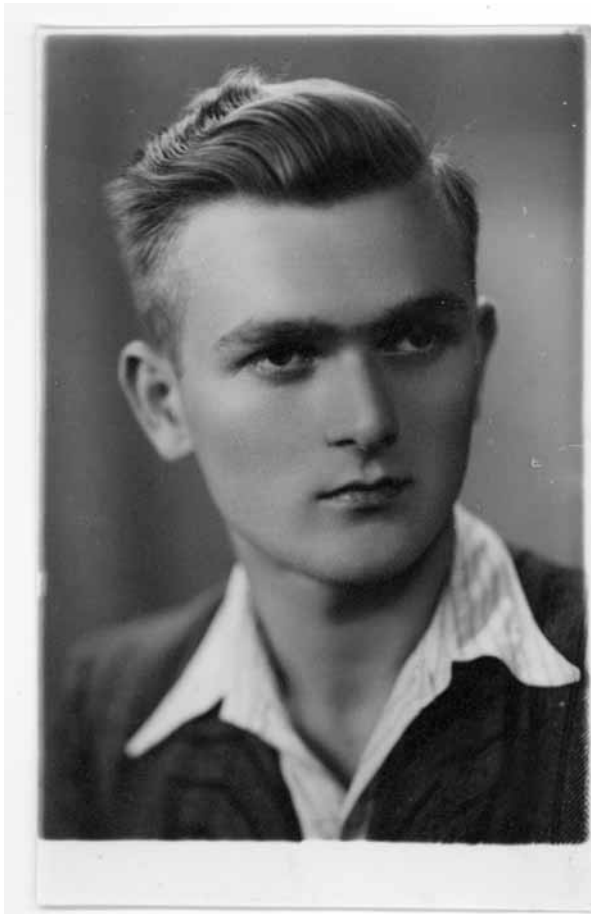
Ale Polacy nie dali się przekształcić w zastraszoną, pozbawioną własnej osobowości, bezwolną masę niewykwalifikowanych robotników. W nowej rzeczywistości starali się zachować nie tylko życie, lecz także godność. Polacy żyli nadzieją na odzyskanie wolności, czas wojny traktowali jako okres przejściowy, krótki epizod, dlatego nigdy do końca nie podporządkowali się zarządzeniom okupanta. Polityce okupacyjnej przeciwstawiła się większa część polskiego społeczeństwa, stosując bierny opór i podejmując działalność konspiracyjną. Błyskawicznie zorganizowano tajne nauczanie na wszystkich poziomach edukacyjnych, zaczęto wydawać konspiracyjną prasę. Polacy stworzyli najlepiej działające w Europie struktury państwa podziemnego. Te heroiczne wysiłki dawały ludziom nadzieję i pomagały doczekać końca wojny.

**HENRYK JAKUBOWSKI**

# **Walka o przetrwanie. Wspomnienia z lat 1939 – 1945**

*Autor urodził się 10 maja 1925 r. Przed wybuchem wojny mieszkał w Zawierciu, gdzie ojciec prowadził zakład fotograficzny. Po wybuchu wojny kontynuował naukę w ramach tajnego nauczania, działał w konspiracji. W 1942 r. został zaprzysiężony jako żołnierz AK obwodu Zawiercie. W 1943 r. aresztowany i uwięziony początkowo w więzieniach w Opolu i Mysłowicach, a następnie w obozach koncentracyjnych Auschwitz-Birkenau i Mauthausen.*

---



Henryk Jakubowski, 1942 r. (AFPNP)

część lekcji prowadził jego brat Zdzisław, który dopiero co został absolwentem szkoły średniej. Lekcje odbywały się w mieszkaniu prywatnym księdza Całusińskiego przy ulicy Piłsudskiego. W czasie zajęć jeden z uczniów stale obserwował ulicę, sprawdzając, czy nie nadchodzą Niemcy.

W tym okresie pracowałem u ojca w zakładzie fotograficznym. Przy tej okazji miałem możliwość, obsługując Niemców, pogłębiać znajomość języka niemieckiego. Część wolnego czasu spędzałem z przyjaciółmi. Wszyscy byliśmy w podobnym wieku, mieliśmy od 14 do 17 lat. Przy dobrej pogodzie często wybieraliśmy się nad wodę do pobliskiego Kądzielowa, gdzie w zbiorniku przy młynie Holenderskiego kąpałiśmy się i plażowaliśmy. Tamtejsze sosnowe lasy były też osłoną przed słońcem i dawały wspaniałe powietrze. W niepogodne dni urządzaliśmy potańcówki, głównie przy melodiach z płyt Mieczysława Fogga. Spotkania nasze organizowaliśmy nie tylko w celach towarzyskich i sportowych. Wiele czasu spędzaliśmy na czytaniu gazet konspiracyjnych i omawianiu wiadomości radiowych z Londynu. Prowadziłem tajny nasłuch w laboratorium zakładu mojego ojca.

Pojedyncze sztuki gazetek pod tytułem „Płomień”, a później „Niepodległa”, otrzymywałem w trakcie lekcji u księdza. Tam też poznałem znajomego jego brata, Zdzisława Piotrowskiego. Po kilku spotkaniach Piotrowski zaczął przekazywać mi co kilka dni całe paczki gazetek. Ja, dzięki pomocy kolegów, zajmowałem się ich kolportażem. Oni przekazywali je rodzinie i kolegom.

Po pewnym czasie jeden z kolegów oświadczył mi, że nie będzie już odbierał gazetek, ponieważ podjął pracę w żandarmerii niemieckiej w charakterze tłumacza. Jego oświadczenie, a jeszcze bardziej jego postawa, kompletnie nas zaskoczyły. Mieliśmy również obawy, czy nas nie zdradzi. Jak mogliśmy się później przekonać, nie zdradził nas, ale zerwał z nami wszelkie kontakty. Pod koniec wojny uciekł z Niemcami z Zawiercia i z Polski.

W późniejszym okresie krąg odbiorców gazetek powiększył się o przyjaciół z harcerstwa. Kiedy Niemcy nakazali oddawanie odbiorników radiowych, mój ojciec nie do końca podporządkował się zarządzeniu –

[...] Jeszcze we wrześniu na tablicach ogłoszeń ukazały się pierwsze zawiadomienia, zarządzenia, komunikaty itp. niemieckich władz wojskowych i policyjnych. Między innymi nakazywano pod groźbą kary śmierci zdawać w określonych punktach broń, radia, pojazdy itd. Ukazało się również ogłoszenie wyznaczające termin rozpoczęcia nauki w szkołach. Chodziliśmy do szkoły przez kilka tygodni. Pewnego dnia zawiadomiono nas, że nauka zostaje przerwana na czas nieokreślony. Wiadomo było, że przerwa ta przeciągnie się do końca wojny. Pamiętam jak stałem z grupą kolegów przed szkołą, gdy podeszli do nas ksiądz prefekt Całusiński i profesor Woźniak ze słowami: „Chłopcy, nie ma się na co oglądać, naukę trzeba kontynuować potajemnie, przychodźcie do nas do domów na lekcje”.

Kilku z nas skorzystało z tej propozycji i od następnego dnia rozpoczęliśmy tajne nauczanie. Na lekcje matematyki, polskiego, języków obcych i historii chodziliśmy do księdza Całusińskiego. Na pozostałe przedmioty do profesora Woźniaka. Później ten ostatni wyjechał z Zawiercia, więc wszystkie lekcje braliśmy u księdza, z tym że

oddał jedno radio z posiadanych dwóch. Drugie radio było zainstalowane w zakładzie, w ciemni. I tam właśnie, pod pozorem wykonywania pracy laboratoryjnej, na zmianę z ojcem słuchaliśmy zagranicznych wiadomości. Ważniejsze z nich spisywaliśmy na kartkach i przekazywaliśmy dalej księdzu i Piotrowskiemu. Z czasem korzystanie z odbiornika w zakładzie stawało się coraz trudniejsze i bardziej niebezpieczne. Należało myśleć o zmianie miejsca. W mieście i okolicy Niemcy szaleli – miały miejsce masowe aresztowania i wywóz na roboty do Niemiec. Konfidentów nie brakowało.

[...] Pewnego razu, gdy wracałem do domu, zostałem wraz z wieloma przechodniami otoczony przez niemiecką policję. Z krzykiem i popychaniem zaprowadzili nas w aleje przy torach obok Grobu Nieznanego Żołnierza. Było tam już sporo przypędzonych ludzi. Na jednym z drzew na tle kościoła ujrzałem pętlę ze sznura. Od razu domyśliłem się, że Niemcy szykują egzekucję. Rzeczywiście, po jakimś czasie przyjechał samochód, z którego gestapowcy wyprowadzili szczupłego mężczyznę w kombinezonie roboczym z rękami związanymi z tyłu.

Spędzony tłum ustawiony był w czworobok i otoczony przez policję, żandarmów i gestapowców ze skierowanymi w naszą stronę karabinami. Skazanego doprowadzono pod drzewo, po czym jeden z gestapowców odczytał wyrok. Brzmiał on mniej więcej tak: nazwisko, imię, data urodzenia i dalej – zostaje skazany na karę śmierci za przynależność do tajnej organizacji Orzeł Biały i tym samym działanie przeciw narodowi i władzy niemieckiej. Po odczytaniu wyroku, więźnia ustawiono na taborecie. W tym momencie usłyszeliśmy z jego ust słowa: „Niech żyje Polska”. Gestapowcy zaczęli coś wykrzykiwać. Jeden z nich założył skazanemu na szyję pętlę, a drugi poderwał taboret, na którym stała ofiara. W ten sposób po raz pierwszy w życiu byłem przymusowym świadkiem mordu politycznego na Polaku. Również po raz pierwszy odczułem prawdziwą i wielką nienawiść, a także wolę zemsty.

Kilka miesięcy później w identyczny sposób zmuszony zostałem do oglądania kolejnego mordu, tym razem w Sosnowcu. Pojechałem tam w odwiedziny do mojej rodziny. Sprzed dworca spędzono nas na plac otaczający synagogę. Egzekucja odbyła się w ten sam sposób, co w Zawierciu. Miałem wtedy mniej więcej 15 lat. Widok obu egzekucji wywarł na mnie olbrzymie wrażenie i wpłynął na moją kształtującą się dopiero psychikę. Odwracałem głowę i zamykałem oczy, bo nie mogłem patrzeć, jak mordują człowieka. Mimo że byłem jeszcze młody, zacząłem odczuwać potrzebę działania, chociaż doskonale znałem jego cenę.

Pewnego dnia Niemcy rozkleili po mieście plakaty przedstawiające zburzone miasto i lecące nad nim samoloty angielskie. Pod plakatem widniał napis: „Anglio, twoje dzieło”. Plakat taki wisiał również na tablicy, naprzeciw okien zakładu mego ojca. Wraz z Marianem, pracownikiem ojca, postanowiliśmy zmienić ten napis, przez naklejenie na słowo „Anglio” – słowa „Hitlerze”. Tego dnia zostaliśmy w zakładzie do późnego wieczoru. Marian napisał dużymi literami tuszem na karcie z zeszytu „Hitlerze”. Na odwrocie kartę posmarowałem klejem, a następnie, korzystając z chwilowej kompletnej pustki na ulicy, podbiegłem do plakatu i wykonałem ustalone zadanie. Nazajutrz od rana obserwowaliśmy przez okna, jak przechodnie z uśmiechem spoglądali na plakat. Dopiero około godziny 10 przyjechała grupa gestapowców. Sfotografowali plakat, a następnie zerwali go. Przez cały ten dzień oraz kilka następnych w mieście trwało pogotowie. Obyło się jednak bez represji.

[...] W miarę upływu czasu życie pod okupacją stawało się coraz trudniejsze. Racje żywnościowe na kartki były coraz bardziej ograniczone. Coraz częściej przeprowadzano łapanki na ulicach i wywożono całe grupy ludzi do obozów pracy. Z powodu braku żywności nieraz wyjeżdżałem rowerem do pobliskich wsi, żeby kupić coś do jedzenia. Czasem udawało się przywieźć trochę mleka i masła.[...]

**JULIUSZ RYBARSKI**

# **Okupacyjna młodość**

*Autor przed wybuchem wojny mieszkał z rodzicami w Krakowie, na przedmieściu Nowa Olsza. Uczył się w szkole powszechnej nr 3 im. Św. Mikołaja. Był członkiem Związku Harcerstwa Polskiego. W chwili wybuchu wojny miał 16 lat.*

---



[...]6 września 1939 roku, o godzinie szóstej rano, do Krakowa wkroczyły jednostki szturmowe Wehrmachtu i SS, zaprowadzając nowe okupacyjne porządki i administrację.

Moją szkołę wojsko zajęło na koszary, zamknięto również Gimnazjum im. św. Jacka, w którym miałem rozpocząć dalszą edukację. Wybrałem możliwość ukończenia siódmej klasy w szkole, którą uruchomiono w zastępczym budynku jednego z byłych instytutów naukowych przy ul. Lubicz. Okupant uznał, że Polakom wystarczy umiejętność czytania i liczenia do tysiąca. Najwyższym szczeblem nauczenia miała być szkoła zawodowa.

[...]Na wieży Wawelskiej powieszono flagę hitlerowską (siedziba Generalnego Gubernatora Hansa Franka, Krakauer Burg). Rynek Główny przemianowano na Adolf Hitler Platz, szereg parków, restauracji, sklepów, części tramwajów i wiele innych miejsc nosiły klauzulę Nur Für Deutsche [tylko dla Niemców]. W Akademii Górniczo-Hutniczej zainstalował się „rząd” Generalnego Gubernatorstwa.

Po wkroczeniu do Krakowa niemieckich wojsk okupacyjnych zaczęły się monotonne szare dni. Po ulicach krążyły uzbrojone patrole. Pojawiły się również obwieszczenia nakazujące ludności oddawanie broni, radioodbiorników oraz ustalające godzinę policyjną od 18.30 do 5 rano. Za wojskami Wehrmachtu wkroczyły do Krakowa grupy operacyjne SS, SD, Gestapo i inne służby mundurowe okupanta.

Zburzono pomnik Grunwaldzki na placu Matejki i pomnik Adama Mickiewicza na Rynku Głównym. Ustanowiono karę śmierci za czyny skierowane przeciw Rzeszy Niemieckiej. Podstępnie aresztowano profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. W Krzeszowicach pod Krakowem wykonano pierwsze masowe egzekucje. Rozstrzelano piętnastu więźniów z więzienia św. Michała. W późniejszym okresie w tym miejscu kaźni stracono około dwóch tysięcy więźniów.

Gdy kończyłem siódmą klasę szkoły powszechnej, trafiłem na świetnego nauczyciela i wychowawcę - profesora Mikułę. Potrafił on rozbudzić w nas szerokie zainteresowania kulturalne (muzyka, sztuka, malarstwo, poezja). Jednocześnie wpływał na kształtowanie właściwych postaw patriotycznych.[...]

Pierwsze miesiące okupacji to stały brak żywności, a zwłaszcza chleba. Sprawa zaopatrzenia domu w chleb spadła na mnie. Co noc wyczekiwałem w kolejce przed pobliską piekarnią na pierwszy wypiek (często jedyny na dobę). W okresie późniejszym jeździłem rowerem po chleb do podkrakowskiego miasteczka Słomniki (około 30 km od Krakowa). Właśnie tam można było jeszcze kupić pieczywo bez kartek i ograniczeń. Wyjeżdżaliśmy z domu w kilkusobowej grupie o godzinie trzeciej nad ranem, nie zwracając uwagi na godzinę policyjną. Następnie wracaliśmy z kilkoma bochenkami chleba dla domu i znajomych.

Tylko dzięki wyjątkowym talentom gospodarskim mojej mamy udawało się jakoś zaspokoić skromne i przymusowo ograniczone potrzeby dnia codziennego.[...]



*Zarządzenie generalnego gubernatora Hansa Franka z 24.04.1940 r. o kierowaniu Polaków do prac rolnych w Rzeszy (ADM)*

**IRENA ROWIŃSKA**

# **Młodzi od Kolumbów**

*Autorka urodziła się i mieszkała w Warszawie. W chwili wybuchu wojny miała 8 lat.*

---

[...] Nadeszła straszna zima 1940 roku. Mróz często sięgał 30 stopni, w domu było bardzo zimno, nie było czym palić w kuchni (w wielu mieszkaniach nie było kuchni), brakowało drewna, węgla i koksu. Pękały rury, nie było wody w kranach, nieczynne były ubikacje.

Brakowało jedzenia, które można było kupić tylko na „czarnym rynku”, ale nie stać nas było na takie zakupy, ceny były bardzo wysokie. Na śniadanie był czarny chleb, najczęściej „pusty” i kawa bez cukru, obiad – to zupa bez włośzczyzny, której nie było, kolacja – znów kawa i chleb. Każdy posiłek zaczynał się płaczem, ponieważ nie chciałam jeść tego paskudztwa i najczęściej pozostawałam głodna. Nie dostawałam niestety niczego lepszego, więc było nie tylko zimno, ale i głodno, i jakoś strasznie. Każdego dnia ulicą Puławską jechały karawany, wioząc zmarłych na cmentarze. Żałobników było niewielu, za to zmarłych coraz więcej. Tylko niekiedy pojawiały się za karawanem płaczki – znak, że zmarły był Żydem.

Zimą 1940 roku, gdy mróz sięgał 35 stopni, naukę w szkołach przzerwano. Zapasy żywności wyczerpały się, zabrakło nawet chleba i ziemniaków. Wieści z miasta dochodziły coraz straszniejsze, z niedożywienia i głodu na gruźlicę masowo umierała najuboższa ludność Warszawy.

W „naszym domu” też było smutno, chociaż lokatorzy starali się pomagać sobie wzajemnie i dzielić się tym, co posiadali. Często zbierali się u nas, gdzie była kaflowa kuchnia i jeszcze trochę koksu. Do rozpalania ognia służyły stare, drewniane sprzęty – krzesła, szafki, stołki itp. Długo wieczorami trwały rozmowy, przekazywano sobie nawzajem najnowsze wieści, zapowiadano rychły koniec wojny.

Tymczasem okupanci uruchamiali różne zakłady pracy, produkujące głównie na potrzeby wojska. Ojciec mój postarał się o pracę pod zarządem niemieckim w wytwórni kołder i koców na Powązkach. Praca była mało płatna, daleko od miejsca zamieszkania, ale dawała Ausweis, czyli częściowo zabezpieczała przed aresztowaniem.

Wreszcie nadeszła wiosna 1940 roku. Nasi znajomi przyjaciele pochodzenia żydowskiego otrzymali gwiazdę Dawida, poruszali się skrajem chodnika i coraz częściej mówili o przeniesieniu do getta. Kolejni lokatorzy domu przy ul. Puławskiej opuszczali dotychczasowe mieszkania, pozostawiali często część dobytku, który nie mieścił się na wozie. Przenosili się w „nieznane”. Żegnaliśmy ich bardzo serdecznie, z ogromnym żalem, życząc wszystkiego najlepszego. Przez wiele lat żyliśmy się, lubiliśmy się i nie mogliśmy zrozumieć dlaczego ich to spotyka, co złego zrobili ci ludzie. Nikt nie przetrwał, nikogo nie spotkaliśmy po wojnie, wszyscy nasi znajomi Żydzi zginęli w getcie. Smutne. Opuszczone mieszkania zajęli inni lokatorzy, najczęściej wysiedleni z innych domów lub ludzie pochodzenia niemieckiego, do których trudno było mieć zaufanie.

Coraz częściej pojawiali się w budynku nowi najemcy w niemieckich mundurach. Wraz z rodzinami zajmowali przede wszystkim najdroższe lokale wielopokojowe. Byli też „cywilni” pracownicy niemieckich urzędów, zwłaszcza Gestapo. Starzy lokatorzy wiedzieli, kim oni są, i mieli się na baczności. Zdarzały się jednak sytuacje nie do przewidzenia. Pewnego wieczoru siedzieliśmy w naszym mieszkaniu przy palącym się w kuchni ogniu, fajerki były odsunięte, czytaliśmy podziemną prasę. Nagle usłyszeliśmy, że ktoś wkłada klucz do zamka i otwiera nasze drzwi. Zdążyliśmy wrzucić gazetkę do ognia. Do naszego mieszkania weszła mieszkająca w tym samym korytarzu współpracownica Gestapo i oświadczyła z uśmiechem, że otworzyła sobie mieszkanie, bo jej klucz pasuje do naszych drzwi. Nikt nie wie, ile razy sprawdziła nasze rzeczy, i aż dziwne, że nie natrafiła na zakazane pisma.

[...] Tymczasem żyło się wszystkim coraz gorzej. Brakowało właściwie wszystkiego. Można było dokonać zakupów na „czarnym rynku”, gdzie były sprzedawane najbardziej poszukiwane towary – od żywności poprzez ubrania do złota i brylantów. Rodzice moi nie mieli jednak dość pieniędzy, nie stać ich było na takie wydatki, klepaliśmy więc biedę.

Ojciec wprawdzie kilkakrotnie wybierał się na wieś, aby tam dokonać zakupów, ale szczęście mu nie dopisywało i podczas rewizji w pociągu czy na dworcu tracił wszystko – zakupy, a wraz z nimi wydane pieniądze. Nasze menu wzbogaciło się jednak o cebulę i olej rzepakowy. Było to danie bardzo wykwintne – krojona drobno cebula polana olejem i czarny, gliniasty kartkowy chleb. Popijane to było czymś, co nazywano herbatą, a naprawdę nie było wiadomo, co to jest, osłodzone sacharyną. Było to wstrętne i zawsze okupione moim płaczem. Jadłospis urozmaicił się od czasu, kiedy wprowadzono „kartki na wszystko”. Pojawiła się wówczas obrzydliwa marmolada, którą wlewano nam do naczynia w określonej ilości. Po kilku dniach marmolady było więcej niż pierwotnie, ciągle fermentowała, nieustannie słychać

było dochodzące z garnka bulgotanie. Pamiętam to do dziś. Innym „specjałem” był sztuczny miód, równie wstrętny jak marmolada. Wystarczy dodać do tego czarny chleb, który wspaniale imitował glinę, śmierdzącą margarynę, „mydło”, które nie pieniało się nigdy oraz czasami inne dodatkowe „delicje” według rozdzielnika władz okupacyjnych.

Sklep mieścił się przy ulicy Willowej, w suterynie, obok komendy żandarmerii, strzeżonej ustawicznie przez dwóch stojących w rozkroku żołnierzy. Trzypiętrowy budynek chroniony był dodatkowo przez ułożone do wysokości pierwszego piętra worki z piaskiem. Stąd wyjeżdżały na łapanki samochody pełne żandarmów siedzących na ławkach po obu stronach wozu, tu często słychać było strzały na podwórzu. Po przeciwnej stronie sklepu, przy ulicy Willowej nr 8/10, stał kilkupiętrowy budynek zajęty przez Gestapo na mieszkania prywatne i też skrzętnie pilnowany. Wszędzie pełno było zielonych i czarnych mundurów, budzących ogromny lęk wśród Polaków. Kto nie musiał, nie wchodził w małą ulicę Willową, zajęłą prawie w całości przez okupantów wysokiej rangi. Dlatego w sklepie spotkać można było przede wszystkim dzieci dokonujące kartkowych zakupów. Moja mama nigdy nie była w tym sklepie, przerażona wołała nie patrzeć w tamtą stronę. Nawet po wojnie ulica Willowa budziła w nas lęk i niechęć do chodzenia tamtędy. Podobną rolę spełniała wówczas równoległa do Willowej krótka uliczka Dworkowa. Tam też mieściła się komenda żandarmerii, a wszystkie domy zajęte były w całości przez Niemców. Również ulica Puławska na odcinku od Rakowieckiej do Madalińskiego stanowiła wyłączną własność najczęściej mundurowych niemieckich dygnitarzy, bowiem domy były tu nowoczesne, zbudowane tuż przed wojną. Pamiętam, że jednego dnia wyszedł z domu „Wedla” przy ulicy Madalińskiego wysokiej rangi oficer. Wpadł pod nadjeżdżający tramwaj, który go śmiertelnie poranił. Wywleczono motorniczego. Niestety, nie udało się już z życiem, kiedy przeprowadzona rewizja wykazała, że Niemiec popełnił samobójstwo. Kartka znaleziona w jego mundurze mówiła, że cała jego rodzina zginęła w bombardowaniu w Berlinie. Dzięki temu motorniczy ocalał. Zajście widziałam z balkonu, a szczegóły poznaliśmy z podziemnej prasy.

Było coraz bardziej straszno i smutno. Wczesna godzina policyjna uniemożliwiała wyjście z domu, a więc z konieczności czytałam dużo różnych książek, czasem za trudnych dla dwunastoletniego dziecka. Dzieci wtedy dorastały jednak bardzo wcześnie, rozumiały wiele. Przypadkiem zobaczyłam coś, co wydarzyło się wczesnym popołudniem w naszym domu. Z pracy, około godziny 14.00, wracał mieszkający tutaj Niemiec, który podobno pracował w Gestapo na Szucha. W ślad za nim pojedynczo podążali dwaj chłopcy, nieco starsi ode mnie. Widziałam ich wcześniej już wielokrotnie, jak przechodzili przez podwórza, kierując się do tzw. ostatniej klatki schodowej. Tego dnia opuszczali podwórze dość szybkim krokiem, jeden za drugim. Później okazało się, że w windzie leży martwy gestapowiec, zabity harcerską finką. O tym, co widziałam, powiedziałam tylko rodzicom. Chłopcy podobno zdołali uciec.[...]



Niemiecki plakat propagandowy, b.d.m. (MZwZ)



Polacy przed rejestracją w Urzędzie Pracy w Łodzi, jeszcze przed zmianą nazwy miasta na Litzmannstadt w kwietniu 1940 r. (WBBH)

- Akcja Reinhardt. *Zagłada Żydów w Generalnym Gubernatorstwie*, red. Dariusz Libionka, Warszawa 2004.
- Auschwitz 1940-1945. *Węzłowe zagadnienia z dziejów obozu*, t. 1-5, red. nauk. Wacław Długoborski i Franciszek Piper, Oświęcim-Brzezinka 1995.
- Bartoszewski Władysław, *Warszawski pierścień śmierci 1939-1944. Terror hitlerowski w okupowanej stolicy*, Warszawa 2008.
- Engelking Barbara, Leociak Jacek, *Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście*, Warszawa 2001.
- Exodus Warszawy. *Ludzie i miasto po Powstaniu 1944*, t. 1-5, red. Emilia Borecka i in., Warszawa 1992-1995.
- Fajkowski Józef, *Wieś w ogniu. Eksterminacja wsi polskiej w okresie okupacji hitlerowskiej*, Warszawa 1972.
- Hrabar Roman, *Niemieckie obozy na Śląsku w czasie II wojny światowej „Polenlager”*, Katowice 1972.
- Hrabar Roman, Tokarz Zofia, Wilczur Jacek, *Czas niewoli, czas śmierci. Martyrologia dzieci polskich w okresie okupacji hitlerowskiej*, Warszawa 1979.
- Kotarba Ryszard, *Niemiecki obóz w Płaszowie 1942-1945*, Warszawa-Kraków 2009.
- Ludność cywilna w łódzkich obozach przesiedleńczych*, red. Joanna Żelazko, Łódź 2010.
- Łuczak Czesław, *Polityka ekonomiczna Trzeciej Rzeszy w latach II wojny światowej*, Poznań 1982.
- Łuczak Czesław, *Polityka ludnościowa i ekonomiczna hitlerowskich Niemiec w okupowanej Polsce*, Poznań 1979.
- Łuczak Czesław, *Praca przymusowa Polaków w Trzeciej Rzeszy i na okupowanych przez nią terytoriach innych państw (1939-1945)*, Poznań 2001.
- Madajczyk Czesław, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. 1-2, Warszawa 1970.
- Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945. Informator encyklopedyczny*. red. Czesław Pilichowski, Warszawa 1979.
- Obozy hitlerowskie w Łodzi*, red. Albin Głowacki i Sławomir Abramowicz, Łódź 1998.
- Obozy pracy na ziemiach polskich w latach 1939-1945*, cz. 1-2, oprac. Kazimierz Leszczyński. Warszawa 1967.
- Obozy w Lamsdorf / Łambinowicach (1870-1946)*, red. nauk. Edmund Nowak, Opole 2006.
- Ocaleni z Mauthausen. Relacje polskich więźniów obozów nazistowskich systemu Mauthausen-Gusen*, oprac. Katarzyna Madoń-Mitzner, wyd. 2, Warszawa 2011.
- Orski Marek, *Niewolnicza praca więźniów obozu koncentracyjnego Stutthof w latach 1939-1945*, Gdańsk 1999.
- Piątkowski Sebastian, *Więzienie niemieckie w Radomiu 1939-1945*, Lublin 2009.
- Polska 1939-1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami*, red. Wojciech Materski i Tomasz Szarota, Warszawa 2009.
- Rogalewska Ewa, *Getto białostockie. Doświadczenie Zagłady – świadectwa literatury i życia*, Białystok 2008.
- Rutowska Maria, *Lager Głowna. Niemiecki obóz przesiedleńczy na Głownej w Poznaniu dla ludności polskiej (1939-1940)*, Poznań 2008.
- Sakowska Ruta, *Ludzie z dzielnicy zamkniętej. Z dziejów Żydów w Warszawie w latach okupacji hitlerowskiej: październik 1939-marzec 1943*, wyd. II, Warszawa 1993.
- Sikora Mirosław, *Aktion Saybusch. Wsysiedlenie mieszkańców Żywiecczyzny przez okupanta niemieckiego 1940-1941*, Katowice 2010.
- Szarota Tomasz, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni. Studium historyczne*, wyd. 4, Warszawa 2010.
- Szurgacz Herbert, *Przymusowe zatrudnienie Polaków przez hitlerowskiego okupanta w latach 1939-1945. Studium prawno-polityczne*, Wrocław 1971.
- Tomkiewicz Monika, *Zbrodnia w Ponarach 1941-1944*, Warszawa-Gdańsk 2008.
- Wardzyńska Maria, *Był rok 1939. Operacja niemieckiej policji bezpieczeństwa w Polsce „Intelligenzaktion”*, Warszawa 2009.
- Wieluń był pierwszy. *Bombardowania lotnicze miast regionu łódzkiego we wrześniu 1939 r.*, red. Janusz Wróbel, Łódź 2009.
- Wołyń 1943 – rozliczenie. Materiały przeglądowej konferencji naukowej „W 65. rocznicę eksterminacji ludności polskiej na Kresach Wschodnich dokonanej przez nacjonalistów ukraińskich”*, red. Romuald Niedzielko, Warszawa 2010.
- Wsysiedlenia, wypędzenia i ucieczki 1939-1959. Atlas ziem Polski*, red. Witold Sienkiewicz i Grzegorz Hryciuk, Warszawa 2008.

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie oraz:

- Instytutu Pamięci Narodowej
- Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau
- Muzeum Zamojskiego w Zamościu
- Zakładu Historii Polskiego Ruchu Ludowego
- Zrzeszenia Dzieci Polskich Germanizowanych przez Reżim Hitlerowski
- Żydowskiego Instytutu Historycznego
- Bundesarchiv Koblenz
- Archiwum Państwowego m.st. Warszawy
- Archiwum Akt Nowych

